



# Ingrid Weaver

*Karnawałowa feta*

*Mój najdroższy Remy!*

*To będzie mój ostatni list do Ciebie. Jestem pewna, że zrozumiesz dlaczego. Odkryłam w sobie miłość do Williama i wiem, że będziesz mi dobrze życzył. Jest to mężczyzna, który mnie kocha i którego ja mogę kochać, nie deprecjonując tego, co czułam - i co jakaś część mojej osoby będzie zawsze czuła - do Ciebie. Czyż kobieta może wymagać więcej?*

*Ale jest zbyt wcześnie, abym mogła w spokoju cieszyć się tym nowo odkrytym szczęściem. Charlotte i ja jesteśmy brutalnie nakłaniane do sprzedaży hotelu przez ludzi, którzy woleliby zobaczyć go w ruinie niż w naszych rękach.*

*To szaleństwo, Remy, ale nawet jeśli nasze sprawy ułożą się źle, zawsze istnieje cień nadziei. Czy wykorzystujesz swoje wpływy, by poprawić naszą sytuację, mon cher? To jest pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy, gdy podczas największego nasilenia naszych kłopotów pojawił się dawny wielbiciel Charlotte, Jackson Bailey. Jeśli zawdzięczamy to twojej interwencji, to nie ustawaj w wysiłkach - przynajmniej do chwili, w której Charlotte znajdzie miłość swojego życia... Niezależnie od tego, co się wydarzy, obietnica, jaką Ci złożyłam, jest nadal aktualna. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić przetrwanie Hotelowi Marchand, który jest wymarzonym celem naszego życia.*

*Zawsze Twoja Anne*

Droga Czytelniczko!

„Karnawałowa feta" to opowieść o wierze w magię. Nie mam na myśli żadnych kuglarskich sztuczek polegających na wyciąganiu królików z cylindra, lecz ów irracjonalny przebłysk wiary, który leży u podstaw wszystkich ludzkich marzeń.

Niełatwo było, oczywiście, skłonić do wiary w cokolwiek oprócz bilansu firmy tak odpowiedzialną i rzeczową osobę jak Charlotte Marchand. Było to niemal tak trudne, jak wytłumaczenie wiecznemu tułaczowi, doktorowi Jacksonowi Baileyowi, że może już wrócić do domu. Ale czyż Nowy Orlean podczas karnawału nie był wymarzonym miejscem dla Charlotte i Jacksona, którzy właśnie tam odkryli na nowo magię miłości?

Wymagało to ode mnie kolejnego przebłysku wiary. Podobnie jak większość świata z przerażeniem patrzyłam, jak huragan Katrina zmienia ten region amerykańskiego wybrzeża w obszar klęski żywiołowej. Szczególnie trudno było mi się pogodzić ze stratami, jakich doznał Nowy Orlean. Kiedy pisałam „Karnawałową fetę", jego odbudowa znajdowała się jeszcze w fazie wstępnej. Ufam z całego serca, że do chwili ukazania się tej książki w tym cudownym mieście odrodzi się jego magia.

Szczerze oddana Ingrid

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Karnawałowa maska była fantastyczną kompozycją złożoną z białych piór i cekinów. Niewiele dłuższa, od ręki Charlotte, spoczywała na jej dłoni lekko i delikatnie, niczym ślad po pocałunku. Nie miała być elementem kamuflażu, lecz ozdobą stymulującą przebudzenie się baśniowej księżniczki.

Przeznaczone dla dzieci baśnie były oczywiście oderwane od życia i mało wiarygodne. Charlotte Marchand od dawna wiedziała, że człowiek musi znaleźć własne szczęście i kierować swoim losem. Dawno też odkryła, że realny świat nie wybacza nikomu słabości, więc i ona nie może sobie na nią pozwolić. Ale żałowała ogromnie, że nie potrafi już wierzyć w magię.

Poczuła w oczach piekące łzy. Zacisnęła wargi i oddychała głęboko przez nos, dopóki nie udało jej się powstrzymać wybuchu płaczu. Nie mogła sobie pozwolić na załamanie, nawet w zaciszu swego gabinetu. Był to luksus, na który po prostu nie było jej stać.

Zdecydowanym ruchem odłożyła maskę na biurko i skupiła uwagę na leżącym przed nią stosie wydruków. Było już późno, a ona urzędowała w hotelu od świtu, ale miała jeszcze przed sobą sporo pracy. Pokryte cyframi kartki kryły w sobie rozwiązanie problemu, a ona musiała je odkryć.

Ostatni tydzień karnawału był tradycyjnie szczytem sezonu turystycznego, okresem, który decydował o losach firm specjalizujących

się w usługach hotelarskich. W tym roku w Hotelu Marchand liczba rezerwacji spadała. Kłopoty nękające od kilku tygodni tę firmę odstręczały klientów i uszczuplały dochody właścicieli. Finanse rodziny były napięte do granic wytrzymałości. Jeśli Charlotte chciała, by hotel przetrwał do następnego karnawału, musiała odwrócić ten proces w ciągu najbliższych siedmiu dni.

Ludzie, którzy odwiedzali miasto w czasie karnawału, chcieli zapomnieć o kłopotach i poszaleć. Był to okres, w którym wszystko mogło się zdarzyć. A ona miała nadzieję, że i jej zdarzy się coś dobrego.

W świetle stojącej na biurku lampy maska zalśniła nagle tysiącem barw. Powiew przeciągu poruszył piórami, które zdawały się przez chwilę żyć własnym życiem, życiem magii...

Charlotte wyciągnęła rękę i przesunęła po nich końcem palca. Zdawała sobie sprawę, że zamykanie oczu na problemy nie przyczynia się do ich rozwiązania. Doszła do tego wniosku wtedy, gdy przestała mieć nadzieję, że jej marzenia mogą się spełnić.

Poczuła ucisk w gardle, ale nie była pewna, czy wywołało go wzruszenie, czy też irracjonalna chęć wybuchnięcia śmiechem.

Magia? Baśnie? Co się z nią dzisiaj dzieje? Może jest to wpływ nerwowego napięcia, na jakie naraża ją walka o uchronienie hotelu przed katastrofą. Nigdy dotąd nie pozwalała sobie na mrzonki. Była rozsądna i odpowiedzialna, zawsze postępowała racjonalnie i przestrzegała wszystkich zasad. Starła się też być dobrą córką, wnuczką, siostrą i ciotką, zawsze myśleć najpierw o innych, a dopiero potem o sobie. No dobrze, ale kiedy nadejdzie kolej na mnie?

- Tylko jeden raz - szepnęła. - Czy nie mam prawa liczyć na to, że

magia choć raz wpłynie na moje życie?

Jakby w odpowiedzi na te pytania panującą w gabinecie ciszę zakłócił ostry dźwięk przeciwpożarowej syreny alarmowej. Charlotte gwałtownie poruszyła ręką, zrzucając maskę na podłogę. Nie, to niemożliwe. To musi być jakaś awaria aparatury albo głupi pijacki żart któregoś z gości. Chwyliła telefon komórkowy i wystukała numer ochrony.

- Mac? - zawołała. - Co się dzieje?

Mac Jensen miał niebawem odejść ze stanowiska szefa hotelowej służby bezpieczeństwa. Zgodził się zostać do końca karnawału, ale Charlotte wiedziała, że chce jak najszybciej wrócić do własnej firmy.

- Coś uaktywniło wykrywacz dymu na zapleczu - wyjaśnił tak zdyszczanym głosem, jakby przed chwilą biegł. - Właśnie idę w tamtą stronę.

Charlotte wsunęła buty i podeszła do okna. Dziedziniec wyglądał tak samo jak zawsze o tej porze dnia. Zawieszane na drzewach małe latarnie rozjaśniały mrok, ustawione wokół lśniącego basenu stoły i krzesła tworzyły oazę elegancji. Schowała telefon do kieszeni żakietu, oparła ręce o parapet i wychyliła się, by śledzić przebieg wydarzeń.

Drzwi baru zostały gwałtownie otwarte. Wybiegający przez nie klienci pospiesznie zmięrzali w kierunku wyjścia na ulicę, potykając się o krzesła. Jakiś siwowłosy mężczyzna upadł na ziemię. Jeden z kelnerów natychmiast go podniósł. Inni starali się rozładować zator, kierując ludzi w stronę wyjść. Pracownicy hotelu byli przeszkoleni w zakresie awaryjnych procedur i wiedzieli dobrze, że najważniejszą sprawą jest bezpieczeństwo gości i personelu. Mac powiedział, że wykrywacz dymu

znajduje się na zapleczu, czyli w tym samym skrzydle co bar i kuchnia. Istnieje szansa, że uaktywniły go nagromadzone nad piecem opary.

Z otwartych drzwi baru buchnął ciemny dym. To wyjaśnia paniczną ucieczkę klientów. I dowodzi, że alarm nie jest fałszywy.

Charlotte cofnęła się od okna i wyszła na korytarz. Miała świadomość, że przynajmniej jej rodzina jest bezpieczna. Siostry spędzały każdą wolną minutę ze swymi partnerami, więc nie było ich w pracy, a matka przebywała w szpitalu z Williamem, swoim nowym narzeczonym. Wszystkie wierzyły, że Charlotte potrafi zadbać o hotel bez ich pomocy.

W holu roіło się od ubranych wieczorowo gości. Większość przepychała się w kierunku wyjścia, niektórzy jednak, wyraźnie zdezorientowani, kręcili się w kółko. Julie Sullivan, asystentka Charlotte, stała w tłumie, usiłując uspokoić ludzi przerażonych ostrym dźwiękiem syreny.

- Panno Marchand! - zawołał jeden z nich. - Żądam wyjaśnień!

Charlotte odwróciła się w jego stronę, oblekając twarz w maskę spokoju, którego bynajmniej nie czuła. Ujrzała przed sobą parę wieloletnich klientów. Państwo Shore rezerwowali od lat ten sam apartament, w którym kiedyś spędzili miesiąc miodowy, i nie opuścili jeszcze ani jednego karnawału.

- Przykro mi z powodu tego zamieszania, proszę państwa.

Będziemy się starali jak najszybciej udostępnić wszystkim gościom ich pokoje. Ale tymczasem muszą państwo, niestety, wyjść na zewnątrz.

Pan Shore objął żonę i ruszył w kierunku wyjścia.

- Nigdy by do tego nie doszło za dawnych czasów, kiedy hotelem zarządzali pani rodzice! - rzucił przez ramię.

Charlotte, nadal zmuszając się do uśmiechu, ponownie wyraziła ubolewanie, osładzając je obietnicą bezpłatnego posiłku. Przeciskając się przez tłum, uspokajała gości i dodawała otuchy swoim pracownikom. Wiedziała, że nie ma powodu do paniki. Podobnie jak wszystkie budynki zabytkowej dzielnicy francuskiej Hotel Marchand był stary, ale od dwóch stuleci wytrzymywał wszystkie najgorsze próby, na jakie narażali go ludzie i siły natury. Hotelowe urządzenie alarmowe było podłączone do telefonicznego systemu przeciwpożarowego, więc Charlotte wiedziała, że strażacy są już w drodze. Miała nawet wrażenie, że słyszy wycie syren. Umundurowani członkowie hotelowej ochrony stali już przed wejściem, by zapewnić porządek i wskazać strażakom drogę do wnętrza. Wszystko przebiegało zgodnie z planami ochrony hotelu przed pożarem.

Ale wszystkie, nawet najbardziej logiczne argumenty nie mogły wykluczyć wybuchu paniki.

Hotel nie był dla Charlotte tylko stosem cegieł ani sposobem zarabiania na utrzymanie. Był centralnym punktem jej życia, ostoją i kryjówką przed światem. Wiedziała, że może go stracić, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że może to nastąpić tak szybko.

Zanim jeszcze zabrzmiał alarm, Jackson poczuł niewyraźny zapach dymu i przyspieszone bicie serca. Nie wahał się jednak ani przez chwilę. Podczas gdy reszta gości baru biegła w stronę wyjścia, on ruszył w kierunku miejsca, w którym dym wydawał się najbardziej gęsty.

Nie był sam. Dwaj hotelowi ochroniarze z gaśnicami w rękach już biegli na zaplecze. Po chwili dotarli do dużego pomieszczenia i usłyszeli okrzyki krzątających się za chmurami dymu ludzi. Z zawieszonych pod sufitem spryskiwaczy tryskały strumienie wody, ale z otwartych drzwi w



połowie sali buchały nowe kłęby dymu.

W tym momencie ktoś chwycił go od tyłu za ramię.

- Proszę pana, tu nie wolno wchodzić!

Jackson obejrzał się przez ramię. Mężczyzna, który go zatrzymał, nie miał na sobie munduru, ale jego wygląd wskazywał, że jest ochroniarzem. Zamiast gaśnicy niósł w ręku telefon. Podobnie jak wszyscy spotkani tego dnia ludzie, wydał się Jacksonowi człowiekiem zupełnie obcym.

Minęło jednak niemal dwadzieścia lat od dnia, w którym po raz ostatni przebywał w Hotelu Marchand. Budynek wyglądał niemal tak samo, ale zatrudnieni w nim ludzie musieli się zmienić.

- Moja pomoc może wam być potrzebna - oznajmił Jackson.

Mężczyzna obrzucił podejrzliwym spojrzeniem jego długie włosy, wyblakłe dżinsy i znoszone buty.

- Dziękuję, ale...

- Jestem lekarzem.

W tym momencie rozległ się głośny wybuch, a zaraz potem usłyszeli krzyki i ujrzeli gęste kłęby zabarwionego na pomarańczowo dymu.

Ochroniarz zaklął głośno, puścił ramię Jacksona i pobiegł w głąb sali. Pożar wybuchł w jednym z magazynów. Stały tam liczne regały wypełnione bielizną pościelową, kartonowymi pudłami i środkami czyszczącymi. Gdy Jackson stanął w drzwiach do tego pomieszczenia, dostrzegł leżące na podłodze kawałki plastiku. Jedna z butelek najwyraźniej wybuchła pod wpływem ciepła. To właśnie ona była przyczyną głośnej eksplozji, którą przed chwilą słyszeli.

Woda tryskająca ze spryskiwaczy głośno szumiała, ale niemal natychmiast zamieniała się w parę. Nie mogła stłumić ognia, którego płomienie unosiły się nad stertą leżących na podłodze ręczników.

Mężczyźni z gaśnicami usiłowali pokryć je warstwą piany. Jackson, stojąc w bezpiecznej odległości, rozglądał się wokół siebie, odruchowo poszukując osób, które mogły wymagać pomocy lekarskiej.

Tuż za drzwiami dostrzegł jasnowłosego młodego człowieka, który stał oparty o regały. Z jego poczerniałej od dymu twarzy spływały krople wody. Miał na sobie mokrą koszulę i trzymał w rękach szarą marynarkę, stanowiącą część służbowego munduru pracowników. Wpatrywał się tępo w płomienie i był chyba na wpół przytomny. Nie zdawał sobie sprawy, że po jego dłoni spływa krew.

Jackson zdjął z półki kilka lnianych serwetek i dotknął ramienia mężczyzny, by zwrócić na siebie jego uwagę.

- Wyjdźmy stąd! - zawołał, usiłując przekrzyczeć otaczający ich hałas. - Chcę obejrzeć pańską ranę!

Młody człowiek nie ruszył się z miejsca.

- Próbowałem zgasić ogień - wymamrotał ochryplym głosem. - Przysięgam, że próbowałem zgasić ogień.

Jackson nie miał ochoty wywlekać go siłą z magazynu, więc uniósł jego rękę i odwinął mankiet koszuli, odsłaniając przedramię. Dostrzegł na nim długą ciętą ranę i przyłożył do niej serwetkę.

- Przyszedłem tu za późno. Nie myślałem, że będzie aż tak źle. - Mężczyzna spojrział na swoją rękę, a potem upuścił nadpaloną marynarkę i przycisnął dłonią zaimprovizowany opatrunek.

Jackson owinął jego przedramię drugą serwetką. Przeklinając w

myślach niezręczność swych palców, pochylił się i zacisnął węzeł zębami.

- Ta rana musi zostać zdezynfekowana i zszyta - powiedział do młodego człowieka.

Jeden z ochroniarzy krzyknął głośno i upuścił gaśnicę. Potem zaczął gasić rękami płomienie, które ogarnęły nogawkę jego spodni. Ale materiał już się zapalił. Obie jego nogi przypominały płonące pochodnie.

Jackson ściągnął z półki kilka prześcieradeł i owinął je wokół nóg mężczyzny, by stłumić ogień. Potem, korzystając z pomocy młodego blondyna, wyciągnął ochroniarza z pomieszczenia. Wynieśli go na dziedziniec i położyli na jednym z ustawionych wokół basenu leżaków, wybierając miejsce, w którym było dość światła, by obejrzyć jego obrażenia.

W panujących tu warunkach Jackson mógł udzielić tylko pierwszej pomocy, ale doszedł do wniosku, że lepsze to niż nic. Zrobił, co mógł, by zmniejszyć ból poparzonego mężczyzny i zapobiec jego szokowej reakcji. Po kilku minutach rozległy się syreny wozów strażackich. Wkrótce potem na dziedziniec wjechała karetka pogotowia. Podczas gdy ratownicy aplikowali ochroniarzowi kroplówkę, Jackson wykorzystał ich radiowy nadajnik, by upewnić się, że w szpitalu będzie na niego oczekiwał specjalista od oparzeń.

Pochłonięty pracą nie zwrócił uwagi na to, że alarm ucichł. Na hotelowy dziedziniec stopniowo powracał spokój. Gdy wiszący w powietrzu dym zaczął się rozpraszać, do zebranych dotarła wiadomość, że pożar został ugaszony. Nie był on zresztą bardzo groźny, a szybka akcja personelu pomogła stłumić go w zarodku. Niektórym z uczestników akcji ratunkowej aplikowano kilkuminutową dawkę tlenu. Ci, którzy byli

narażeni na wdychanie dymu przez dłuższy czas, musieli poddać się dalszej terapii. Na szczęście nikt oprócz ochroniarza nie odniósł żadnych obrażeń.

- Teraz my się nim zajmiemy, panie doktorze. Dziękujemy za pomoc.

Jackson odsunął się, a ratownicy wnieśli ofiarę poparzenia do karetki. Potem zaczęli pakować sprzęt, a on uznał, że nie ma tu nic więcej do roboty. Zirytowany swą bezradnością nerwowo poruszył palcami, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że mógł okazać się przydatny.

Kiedy karetka wyruszyła w drogę do szpitala, podszedł do stojącego w półmroku stołu i zdjął dżinsową marynarkę. W tym momencie zbliżył się do niego ochroniarz, który poprzednio usiłował go zatrzymać.

- Jestem Jensen, szef ochrony. - Wyciągnął rękę. - Chciałem panu podziękować za pomoc.

Jackson, nie chcąc narażać się na uścisk jego dłoni, podał mu lewą rękę, gdyż w prawej trzymał marynarkę.

- Jackson Bailey - powiedział. - Nie ma pan mi za co dziękować. Mam nadzieję, że nie nastąpią żadne komplikacje i wszyscy wrócą do zdrowia. - To samo powiedzieli ratownicy. Mieliśmy sporo szczęścia.

- Wygląda na to, że byliście dobrze przygotowani.

- Tak, nasze próbne alarmy w końcu się opłaciły. - Jensen rozejrzał się wokół siebie. - Gdzie jest Carter?

- Kto?

- Luc Garter, nasz animator wolnego czasu. Opatrywał pan jego rękę.

Jackson wyteżył wzrok, ale nigdzie nie dostrzegł jasnowłosego

młodego człowieka.

- Carter pomógł mi wynieść tego poparzonego ochroniarza.

Zapewne wsiadł razem z nim do karetki.

- Znajdę go później. Czy pan jest gościem naszego hotelu, doktorze Bailey?

- Tak. Zamieszkałem tu dziś wieczorem.

- Powitaliśmy pana niezbyt gościnnie. - Jensen dostrzegł kogoś, kto znajdował się za jego plecami i uniósł rękę. - Spróbujemy się panu jakoś odwdzięczyć za pomoc.

- To nie jest konieczne. Zrobiłem tylko to, co zrobiłby na moim miejscu każdy lekarz...

Urwał, słysząc tuż za sobą stukot wysokich obcasów. Po raz drugi w ciągu tej nocy poczuł przyspieszone bicie serca. Ale tym razem nie było ono skutkiem niepokoju, lecz symptomem radosnego oczekiwania. Jak to jest możliwe, że po tylu latach nadal rozpoznaję jej krok? - pomyślał ze zdumieniem. Choć chodziła szybko, wiedział, że nie będzie wyglądała na osobę, której się spieszy. Charlotte Marchand ma na to zbyt wiele klasy.

- Jak oceniasz rozmiary strat, Mac? Spokojny i rzeczowy głos Charlotte był równie

charakterystyczny jak jej krok. On również się nie zmienił. W pamięci Jacksona pojawiły się echa przeszłości. Jej śmiech, kiedy oboje ukradkiem wynosili ciasteczka z hotelowej kuchni, jej zaspany głos w telefonie. Zawsze była zbyt uparta, by jako pierwsza powiedzieć mu dobranoc, więc często rozmawiali do późnych godzin nocnych.

Odwrócił głowę, by na nią spojrzeć... i poczuł się jak człowiek, który otrzymał silny cios. Jej głos i sposób chodzenia nie uległy zmianie,

ale ona nie była już dziewczyną, którą pamiętał. Gdzie się podziały loki? Okrągłe policzki i wesoły uśmiech? Jej spokój był równie nieskazitelny jak jedwabny kostium i makijaż. Można by pomyśleć, że nie stoi na miejscu pożaru, lecz podaje herbatę w salonie swojej matki.

- Widziałem tylko magazyn gospodarczy - odparł Mac. - Straciliśmy część zapasów, ale sytuacja nie wygląda tak źle, jak się początkowo wydawało. Sprzątanie nie potrwa długo.

- Dzięki Bogu. Gdzie jest Emilio? Słyszałam, że został poparzony.

- Wiozą go karetką do szpitala - odparł Jackson, zanim Mac zdążył się odezwać. - Oparzenia są poważne, ale nie zagrażają jego życiu. Powinien szybko dojść do siebie. Charlotte spojrzała na niego z uprzejmym uśmiechem, jakim obdarza się nieznajomych.

Jackson nie mógł oderwać od niej wzroku. Dziewczyna, którą znał, była ładna, lecz delikatna uroda tej kobiety wydała mu się zachwycająca. Jej spojrzenie było tak samo zdecydowane jak zawsze, ale oczy o kształcie migdałów wydawały się jeszcze bardziej egzotyczne niż dawniej. Subtelne rysy, które pojawiały się w jego marzeniach, kiedy miał kilkanaście lat, nabrały teraz uroku, jaki przynosi dojrzałość, i stały się perfekcyjnie piękne.

To nie jest ta sama dziewczyna, która kiedyś złamała mu serce. Ale przecież on też nie jest już tym samym chłopcem...

Przechylił głowę i zdobył się na lekki uśmiech.

- Witaj, Charlie.

W oczach Charlotte pojawił się wyraz zdumienia.

- Jackson?

- Doktor Bailey dotarł do źródła ognia razem ze mną - wyjaśnił

Mac. - Od razu zaczął udzielać pierwszej pomocy. Miałem właśnie zamiar was sobie przedstawić, ale widzę, że to niepotrzebne.

- Nie - mruknęła Charlotte, nie odrywając wzroku od Jacksona. - Doktor Bailey i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

Przyjaciółmi? Ten dyskretny termin nie jest całkowicie ścisły, ale pasuje do tej nowej, poprawnej i subtelnej wersji Charlotte.

- Słyszałem, że to ty prowadzisz teraz hotel - stwierdził Jackson. - Moje gratulacje.- Dziękuję. Zdaję sobie sprawę, że nie wygląda on w tej chwili najlepiej, ale...

- Wygląda doskonale. Tak jak go zapamiętałem.

- W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy przeżył wiele trudnych chwil.

- Podobnie jak ty. - Uniósł zdrową dłoń, chcąc odgarnąć z jej policzka kosmyk włosów. - Co u was słychać?

Jego gest był całkowicie podświadomy i odruchowy, lecz ona zareagowała tak samo jak wtedy, kiedy użył zdrobnienia jej imienia. Cofnęła głowę, zanim zdążył jej dotknąć, a potem pokryła ten gwałtowny ruch atakiem kaszlu.

- Dziękuję, wszyscy jesteśmy zdrowi. A jak twoi rodzice? Podobno mieszkają teraz w stanie Iowa.

- Powodzi im się bardzo dobrze - odparł Jackson, opuszczając rękę.

- Miło mi to słyszeć. I dziękuję ci za pomoc.

- Zrobiłem, co mogłem.

- To musiało być niezbyt wiele w porównaniu z tym, do czego przywykłeś. Czy nadal pracujesz w organizacji, która pomaga biednym ludziom w krajach trzeciego świata?

Nie widzieliśmy się od dwudziestu lat, a rozmawiamy o naszej pracy, pomyślał Jackson. Ale czego się mogłem spodziewać? Łzawego pojednania? Przecież nie po to wracałem do kraju.

- Tak, wyjeżdżam za granicę, kiedy nie koliduje to z moimi zajęciami w szpitalu. Ostatnio byłem w Afganistanie.- Co cię sprowadza do Nowego Orleanu? - Wciągnęła głęboko powietrze. - Och, powinnam była się domyślić. Przyjechałeś spotkać się z wujem Williamem, prawda?

Zanim zdążył zdobyć się na odpowiedź, rozległ się sygnał telefonu. Charlotte przeprosiła go i wyjęła z kieszeni mały srebrny aparat. Zanim skończyła rozmowę, podszedł do nich umundurowany policjant, który zaczął jej zadawać pytania. Wkrótce przyłączył się do ich grupki komendant oddziału straży pożarnej oraz potężnie zbudowany mężczyzna, który przedstawił się jako oficer dochodzeniowy.

Charlotte traktowała ich wszystkich z zawodową uprzejmością, objawiając pełną wdzięku pewność siebie. Jackson był zachwycony, ale nie zaskoczony. Wiedział, że była od urodzenia przygotowywana do prowadzenia Hotelu Marchand. I zawsze o tym marzyła. Choć był moment, w którym marzyła o czymś więcej.

Przez jego umysł przebiegło kolejne wspomnienie; wspomnienie niewinnej pierwszej miłości. Zamiast eleganckiej, obwieszanej perłami obcej kobiety w jedwabnym kostiumie ujrzał dziewczynę, która opierała głowę na jego ramieniu i szeptem zwierzała mu się ze swych marzeń. Choć otaczał ich tłum ludzi, choć od tamtych czasów minęło wiele lat, miał ochotę wyciągnąć ręce i porwać ją w ramiona. Zawsze lubili się obejmować i oboje byli przekonani, że będą to robić do końca życia.

Jackson zmarszczył brwi i wsunął ręce do kieszeni. Sam nie



wiedział, co się z nim dziś dzieje. Wcale nie miał zamiaru nawiązywać bliższej znajomości z Charlotte. Poza tym od dawna już nie wierzył ani w bajki, ani w szczęśliwe zakończenia.

Jasne włosy mężczyzny, który przeciskał się między stosami ustawionych w magazynie pudeł, załśniły, kiedy mijał smugę światła. Mike Blount, ukryty za kuloodporną szybą odgradzającą biura firmy Cajun Syrup Company, w milczeniu obserwował jego marsz. Dopiero kiedy kroki przybysza rozbrzmiały na metalowych schodach, wskazał palcem drzwi swojego gabinetu.

- Wpuść go, Richard.

Richard Corbin zaciągnął się papierosem, a potem strzepnął popiół i zerknął nerwowo w kierunku brata.

Dan Corbin stał w niedbalej pozie obok szafki na dokumenty, ale nerwowe drganie policzka zdradzało jego napięcie. Podciągnął krawat i lekko skinął głową.

Mike, widząc tę bezgłośną wymianę sygnałów, zmarszczył brwi. Czy oni do tej pory nie zdawali sobie sprawy, kto tu rządzi? Przecież gdyby nie zapewnił im przepływu gotówki, ich szemrana firma hotelowa dawno by już upadła, a obaj bracia wpadliby w ręce organów ścigania. Są mu winni duże sumy, a on zamierza je wyegzekwować.

Gdy Richard Corbin spełnił jego polecenie, rozsiadł się wygodnie na fotelu i spojrzał badawczo na przybyłego mężczyznę. Luc Carter zajmował stanowisko, które umożliwiało mu bezkarne sabotowanie działalności Hotelu Marchand, był bowiem jego głównym recepcjonistą. Mike chciał się przekonać, czy Carter jest istotnie tak niesolidny, jak twierdzą bracia Corbin, czy też uczynili oni z niego kozła ofiarnego, by

zamaskować własną nieudolność.

- Dlaczego spotykamy się właśnie tutaj, Richard?

- spytał Carter, wchodząc do gabinetu. - Odkąd to zajmujesz się produkcją syropu do naleśników?

- Ten budynek należy do mnie, panie Carter

- oznajmił Mike. - A moje zainteresowania wykraczają daleko poza produkcję syropu.

Carter odwrócił się w kierunku, z którego dochodził głos, ale choć zmrużył oczy, nie widział ukrytej w cieniu twarzy.

- Kim pan jest? - spytał podejrzliwym tonem.

Mike domyślił się, że recepcjonista przyszedł prosto z miejsca pożaru. Z jego odzieży nadal bił zapach dymu, a koszula była poplamiona sadzą i zaschniętą krwią. Czysty był jedynie bandaż owinięty wokół jego ręki.

Mike, nie spuszczać z oczu Cartera, uniósł rękę i wskazał Dana.

- On panu wszystko wytłumaczy - oświadczył. Dan przestał się opierać o szafkę i głośno odchrząknął.

- To jest Mike Blount. Jest zainteresowany tym hotelem.

- Co to znaczy?

- To znaczy, że ma wobec niego pewne plany. Kiedy już kupimy hotel od Marchandów, przekazemy Mike'owi prawo jego własności.

Carter spojrzał z niedowierzaniem na Dana, a potem na Richarda.

- Nie rozumiem. Przecież zawarliśmy umowę. Richard sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów

i zapalił jednego z nich trzymanym w palcach niedopałkiem.

- No tak, ale my zawarliśmy porozumienie z Mikiem - zauważył. -

A ponieważ ty masz umowę z nami, stajesz się częścią naszego układu.

- Nikt mnie nie pytał o zgodę na zmianę warunków. Jakim...

- Zobowiązałeś się doprowadzić hotel do ruiny, żeby

Marchandowie byli zmuszeni go sprzedać. Nie ma większego znaczenia, kto zostanie w końcu jego właścicielem. Ważne jest to, że nie dotrzymałeś słowa.

- Powiedziałem wam, że sam poradzę sobie z tym pożarem.

Przecież chodziło o to, żeby nie wyrządził wielkich szkód.

- Co ci się stało w rękę, Luc? - spytał Mike. Carter odwrócił się w jego stronę. Był bardzo

przystojnym mężczyzną. Nie ulegało wątpliwości, że kobiety zachwycają się jego niebieskimi oczami i nieco banalnymi rysami twarzy.

- Wybuchła butelka z jakimś płynem do czyszczenia - odparł, unosząc przedramię. - Nie tylko ja odniosłem obrażenia. Podkładanie ognia w tym magazynie to błąd. - Widzę, że moje obawy były słuszne - mruknął Richard. - Po prostu zabrakło mu odwagi.

- To nie jest sprawa odwagi, tylko zdrowego rozsądku - warknął Carter. - Chodziło o to, żeby nikt nie odniósł obrażeń. Teraz ta sprawa wzbudzi nadmierną uwagę władz.

- Kontakty z władzami to moja sprawa - stwierdził Mike.

- Powinniście byli poczekać na mnie - oznajmił z naciskiem Carter.

- Przecież chodziło o to, żeby zepsuć opinię hotelu, a nie o to, żeby go doszczętnie spalić.

- To nie my podłożyliśmy ogień - odparł Richard. - Zrobili to ludzie Mike'a.

Carter zrobił krok w kierunku biurka.

- Twoi ludzie? Dlaczego?

- Mam zwyczaj działać skutecznie - odparł Mike. - Wiem od współpracowników, że udało ci się doprowadzić tylko do kilku drobnych awarii.

- Moja strategia była skuteczna. Dochody hotelu spadły.

- A jednak ta kobieta nadal nie chce go sprzedać. Nadszedł czas na bardziej energiczne kroki.

- W ciągu ostatnich kilku miesięcy dobrze poznałem członków rodziny Marchand. Kiedy się na nich wywiera presję, stają się jeszcze bardziej uparci.

Mike wychylił się do przodu w taki sposób, że Luc dojrzał w świetle lampy jego twarz.

- Twoi obecni tu przyjaciele nie wyjaśnili ci być może, że wyznaczyłem im określony termin- mruknął opryskliwym tonem. - Chcę przejąć Hotel Marchand jeszcze przed końcem karnawału.

- To już za tydzień... - Luc zerknął w kierunku braci. - Powiedziałem im, że potrzebujemy jeszcze trochę czasu.

Mike zabębnił palcami o blat biurka.

- Bracia uważają, że grasz na czas.

Na czole Luca pojawiły się drobne kropelki potu.

- Dlaczego miałbym postępować w taki sposób?

- Być może Richard ma słuszość. Być może nie masz dość odwagi, żeby podjąć bardziej zdecydowane kroki.

- Powiedziałem wam, że zdecydowane kroki nic nam nie dadzą. Musicie zdobyć się na cierpliwość.

- W kwestii Hotelu Marchand wykazałem już wiele cierpliwości -

powiedział Mike. Nie odrywając wzroku od Cartera, otworzył szufladę biurka i wyjął nóż. Od dawna już nie zajmował się skórowaniem piźmowców na bagnach Atchafalaya, ale nadal lubił narzędzia, których zalety poznał niegdyś dzięki swemu ojcu. Przesunął kciukiem po gładkiej płaszczyźnie ostrza. - Bracia Corbinowie złożyli pewną obietnicę, Luc, a ty dla własnego dobra musisz zrobić wszystko, żeby jej dotrzymani.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Charlotte pchnęła drzwi prowadzące do hotelowej kuchni i rozkoszowała się przez chwilę aromatem stygnących ciast i palonej właśnie kawy. Skwierczenie topionego masła, dzwonek automatycznego zegara i brzęczenie garnków tworzyły melodyjną kompozycję, przypominającą jej czasy dzieciństwa. Choć kuchnia została z biegiem lat rozbudowana i unowocześniona, wypełniające ją zapachy i dźwięki pozostały te same. Charlotte wyrosła w ich otoczeniu, a teraz były one dla niej zawsze najlepszym lekiem na stres.

- Jesteś nieoceniona, Keisho - powiedziała do telefonu. - Jestem ci wdzięczna za pomoc.

- Pierwsza partia pościeli wyjdzie z suszarek za pięć minut.

Furgonetka dostarczy ją wam w ciągu godziny.

- Wiedziałałam, że mogę na ciebie liczyć.

- Proszę mi nie dziękować. To pociągnie za sobą dodatkowe koszty.

Charlotte skrzywiła się z niechęcią. Choć z leżących w jej gabinecie wydruków wynikało, że hotel przynosi straty, zaoferowała bezpłatne posiłki wszystkim gościom, którzy zostali narażeni na niewygodę przez

wczorajszy pożar. Cały personel kuchenny przygotowywał w gorączkowym pośpiechu gratisowe śniadanie. Ale nawet bezpłatne jedzenie nie może na długo usatysfakcjonować klientów pozbawionych czystych ręczników i prześcieradeł.

- Zapłacę, ile zechcesz, Keisho. Wyznacz cenę. Ze słuchawki dobiegł wybuch pogodnego śmiechu.

- Nie ma powodów do niepokoju. Pomogliście mi, kiedy moja firma przechodziła bardzo trudny okres, więc nie zamierzam doprowadzić was do bankructwa. Chcę tylko dostać tego indyka w czekoladzie, którego przyrządza pani siostra. Z serem feta i przyprawą cayenne.

- Doskonale. Przyślę go dziś wieczorem.

- A czy mogę prosić o dodatkową porcję sera?

- Obiecuję, że indyk będzie w nim pływał. - Przerwała połączenie, a potem oparła się o szafkę na talerze i przetarła oczy.

Miała za sobą bardzo ciężką noc. Od chwili ugaszenia ognia musiała nieustannie rozwiązywać niekończące się kryzysy. Zdołała wyrwać się na chwilę do swego mieszkania, by wziąć kąpiel i się przebrać, ale gdy tylko wróciła do hotelu, problemy powróciły.

Poczuła, że ktoś dotyka jej ramienia, więc wyprostowała się i otworzyła oczy. Ujrzała zatroskaną twarz Melanie.

- Czy ty się choć trochę przespałaś?

- Oczywiście - odruchowo skłamała Charlotte. Nie była przyzwyczajona do tego, że młodsza siostra troszczy się o jej interesy. To ona była zwykle opiekunką swych sióstr. - Dziękuję ci, że przyszłaś dziś do pracy trochę wcześniej.

- Nie wiem, jak ty to robisz, Charlotte. - Melanie potrząsnęła głową

tak mocno, że jej koński ogon zatańczył w obie strony. - Wyglądasz po nieprzespanej nocy o wiele lepiej, niż ja po ośmiu godzinach odpoczynku.

- Jesteś bardzo uprzejma - odrzekła Charlotte. Melanie miała tak doskonałą figurę i tak piękną karnację, że nie potrzebowała ani makijażu, ani szytych na miarę strojów. Nie mogła wyglądać źle, nawet gdyby się o to postarała. - Ale po tym uroczym komplementcie trudno mi będzie cię prosić o jeszcze jedną przysługę.

- Tylko powiedz, co mogę dla ciebie zrobić.

- Obiecałam Keishy porcję twojego indyka w zamian za przyspieszenie prania.

- Nie ma problemu. Robert i ja jakoś sobie radzimy. Sytuacja jest pod kontrolą.

Rozległ się stukot jakiegoś uderzającego o podłogę przedmiotu, a potem potok francuskich przekleństw. Jeden z asystentów Roberta LeSoeura pobiegł po mopa. Charlotte wychyliła się w bok, by zobaczyć, co spadło, ale Melanie zasłoniła jej widok.

- Nie martw się. My naprawdę panujemy nad sytuacją.

- Ekipa sprzątaczek jeszcze nie skończyła pracy w restauracji.

Kiedy tam zaglądałam, wszystko było brudne od dymu.

- Już się tym zajęłam. Nie będziemy podawać posiłków w Chez Remy. Ustawiamy bufet na dziedzińcu.

- Może być na to za chłodno.

- Jest piękny poranek. Temperatura przez cały czas idzie w górę. -

Melanie chwyciła Charlotte za ramię i delikatnie wyprowadziła ją z kuchni. - Chodźmy, sama się przekonasz.

Gdy wyszły na dziedziniec, Charlotte odetchnęła z ulgą. Tu, w

miejscu osłoniętym przez budynki, w ciepłym powietrzu nie było ani odrobiny dymu. Zepchnięte na bok meble zostały już ustawione. Na pozłoconych przez słońce wierzchołkach drzew świergotały ptaki. Jak codziennie rano, wokół basenu przechadzali się nieliczni goście.

Wszystkie ślady wczorajszej katastrofy zostały już usunięte.

- Melanie, to wygląda wspaniale.

Odsunęły się na bok, by zrobić miejsce młodemu pikolakowi, który przynosił z restauracji krzesła.

- Spodziewamy się tłumu ludzi - rzekła Melanie.

- Och nie. Powinnam była cię uprzedzić o tym, że część gości postanowiła, niestety, skrócić pobyt.

- Słyszałam o tym, ale nie mam na myśli tylko klientów hotelu - odparła z uśmiechem Melanie. - Renee też ciężko pracowała.

Skontaktowała się z wszystkimi ekipami ratowniczymi, które tu wczoraj działały, i zaprosiła na śniadanie ich członków wraz z rodzinami.

- To znakomity pomysł. - Charlotte z uznaniem kiwnęła głową. Renee, druga pod względem wieku panna Marchand, była hollywoodzką producentką filmową, ale od kilku miesięcy wykorzystywała swoją wiedzę jako szefowa hotelowego działu PR. - Oni zasługują na największe podziękowania.

- Renee też była tego zdania. Wyraziła je w oświadczeniu dla prasy.

- Kontaktowała się z mediami? Myślałam, że powinniśmy umniejszać i bagatelizować nasze trudności.

- Ona uważa, że wiadomość o pożarze i tak trafi do gazet. Hotel powinien więc poszukać jakichś elementów pozytywnych i wykorzystać okazję do bezpłatnej reklamy.



- Chyba ma rację. To może nam wyjść na korzyść.

- Nie miałaś chyba zamiaru radzić sobie z tym ostatnim kryzysem na własną rękę, prawda?

Charlotte poradziłaby sobie z nim w razie konieczności, bo była do tego przyzwyczajona, wiedziała jednak, że pomoc siostry może okazać się bezcenna. Od ubiegłej jesieni, kiedy niespodziewany atak serca wyłączył z gry ich matkę, musiała nieść na barkach zbyt wielki ciężar. Zrzuciła więc dumę z serca i poprosiła wszystkie trzy siostry, by poprowadziły hotel razem z nią. I codziennie była im wdzięczna za to, że wyraziły zgodę. Rozumiała jednak dobrze, że hotel nie jest dla nich tak ważny jak dla niej. Dorastały w jego ścianach, więc były do niego bardzo przywiązane. Ale gdyby go straciły, umiałyby wypełnić swoje życie innymi sprawami.

W ciągu minionych dwóch miesięcy wszystkie trzy - Renee, Melanie i Sylvie - zakochały się i zaręczyły. Nawet ich matka ogłosiła, że zamierza ponownie wyjść za mąż. Było zadziwiające, że mimo wszystkich problemów, jakie przeżywał hotel, cztery kobiety o nazwisku Marchand znalazły czas na życie uczuciowe.

Kiedy nadejdzie moja kolej? - pomyślała Charlotte. Rozejrzała się po dziedzińcu, usiłując obliczyć w przybliżeniu ilość miejsc siedzących. Była naprawdę zadowolona, że matka i siostry umieją układać sobie życie. Bolesne doświadczenia przekonały ją, że ona sama nie nadaje się małżeństwa, więc nie zamierzała rozmyślać o swym braku szczęścia. Byłoby to równie absurdalne, jak wiara w magię. Usiłowała uwierzyć w nią poprzedniego dnia i doczekała się tylko wycia syren pożarowych.

- Kim jest ten mężczyzna, który stoi przy basenie obok Maca? -

zapytała Melanie. - On nie przestaje na ciebie patrzeć.

- To zapewne porucznik Fergusson. Obiecałam mu rano, że znajde dla niego chwilę czasu. - Charlotte zerknęła w stronę basenu. - Prawdę mówiąc, wolałabym mieć do czynienia z porucznikiem Rothbergiem, bo potrafi zachować dyskrecję. Nie chcę jeszcze bardziej zakłócać spokoju naszych gości.

- Rothbergiem?

- To ten, który w ubiegłym miesiącu prowadził śledztwo dotyczące śmierci jednego z gości. Wydał mi się bardzo kompetentny. Mam nadzieję, że ten Fergusson okaże się podobny, bo...Dalsze słowa uwięzły jej w gardle, gdyż ujrzała stojącego obok Maca mężczyznę. Poczowała, że robi jej się gorąco. To nie był tłustawy nowoorleański policjant prowadzący dochodzenie w sprawie pożaru. To był Jackson Bailey.

Stał niemal w tym samym miejscu, w którym widziała go poprzedniego dnia, ale tym razem jego twarzy nie maskował ani mrok, ani gruby pokład sadzy. Liczyła się z możliwością kolejnego spotkania, bo Mac powiedział jej, że ten człowiek jest ich gościem. A kiedy zajrzała do bazy danych, stwierdziła, że zarezerwował pokój na cały tydzień. Ale miała ochotę udawać, że go nie zauważa. Miała na głowie dość realnych kłopotów i nie chciała dodawać do nich problemów emocjonalnych.

Ale żadna kobieta nie mogłaby nie zauważyć takiego mężczyzny jak Jackson. Nie tylko z powodu jego wysokiego wzrostu i szerokich ramion. I nie z powodu pięknych, brązowych włosów, które opadały na kołnierz i tworzyły na czole kosmyk domagający się dotknięcia kobiecej ręki. Ani nawet z powodu pełnego wdzięku sposobu poruszania się. Jackson był człowiekiem, z którego emanowała silna osobowość i niezwykła,

tajemnicza energia.

W szkole nazywano go tyczką do fasoli, ale nikt chyba nie odważyłby się użyć tego przezwiska w chwili obecnej. Zamiast wyblakłego dzinsu miał teraz na sobie sportowe spodnie i eleganckie czarne polo. Chudy młodzieniec zmienił się w bardzo atrakcyjnego, dojrzałego mężczyznę. Z biegiem lat przeobrażeniu uległy również rysy twarzy. Doświadczenia, których Charlotte mogła się tylko domyślać, usiały ją siatką zmarszczek i nadały jej niezwykle interesujący wyraz. Nie było więc nic zaskakującego w tym, że wczoraj go nie rozpoznała, zwłaszcza w złym świetle. W tym wysokim mężczyźnie, z którego emanowała pewność siebie, pozostały tylko ślady chłopca będącego niegdyś obiektem jej miłości.

Jego uśmiech jednak się nie zmienił, a oczy nadal miały kolor błękitnego, sierpniowego nieba. Kiedy na nią patrzył, zawsze miała wrażenie, że dostrzega więcej niż inni, że przenika na wylot spojrzeniem idealną dziewczynę, którą usiłowała być, i kocha niedoskonałą dziewczynę, jaką była.

Jackson przerwał rozmowę z Jensenem i ruszył w ich kierunku, nie odrywając od niej wzroku.

- Czy to jest ten twój policjant? - spytała Melanie. - Nie wygląda na detektywa.

- Bo nim nie jest. To Jackson Bailey.

- Jackson... - Melanie wciągnęła powietrze i pochyliła się do ucha siostry. - Twój Jackson?

- On wcale nie jest mój.

- O Boże! To nie może być ta tyczka od fasoli. On jest

zachwycający!

- Przecież jesteś zaręczona.

- To nie ma żadnego wpływu na mój wzrok. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że on wrócił?

- Kiedy wyjechał, miałaś dopiero dziewięć lat. Nie sądziłam, że możesz go pamiętać.- Chyba żartujesz! Byłam w nim śmiertelnie zakochana.

- Co takiego?

- Wszystkie za nim przepadałyśmy. Byłam załamana, kiedy rzuciłaś go dla Adriana.

Charlotte nie zdążyła zaprzeczyć, bo Jackson zatrzymał się tuż obok nich. Zmarszczki okalające jego usta pogłębiły się w uśmiechu.

- Cześć, Charlotte.

Przynajmniej nie mówi już do niej Charlie. To właśnie tak nią wstrząsnęło poprzedniego dnia. Nikt nie zwracał się do niej w taki sposób od dwudziestu lat.

- Dzień dobry, Jackson.

- Jackson! - mruknęła Melanie. - Więc to naprawdę ty. Co za miła niespodzianka. - Kiedy na nią spojrział, stanęła na palcach i nadstawiła policzek. - Nie poznajesz mnie?

Przechylił lekko głowę i przez chwilę uważnie się jej przyglądał. Charlotte, widząc ten typowy dla niego gest, znów przypomniała sobie ich wspólną młodość.

- Ta, którą nazywaliśmy zarazą?

- A więc mnie pamiętasz! - Melanie uśmiechnęła się radośnie.

- Trudno byłoby cię zapomnieć. - Spojrział na nią z jeszcze

większym rozbawieniem. - Wygląda na to, że jesteś już dorosła.

- Melanie pełni teraz funkcję zastępcy szefa kuchni. I jest zaręczona z szefem. Oboje odwalają kawał dobrej roboty.- Nie jestem zaskoczony. Pamiętam, że zawsze kręciłaś się po kuchni za czasów ojca. - Mrugnął porozumiewawczo do Melanie. - Próbowalaś też kręcić się wokół nas. Zawsze wyskakiwałaś jak filip z konopi w najmniej odpowiednim momencie.

- No cóż, ktoś musiał powstrzymać ciebie i Charlotte od obściskiwania się pod schodami.

Charlotte poczuła, że się rumieni. Pragnąc opanować irytację, przypomniała sobie, że jest czterdziestoletnią kobietą, a nie podlotkiem.

- Czy nie powinnaś zająć się indykiem, którego trzeba przyrządzić dla Keishy? - zapytała siostrę.

- Oczywiście. - Melanie cofnęła się o krok. - Miło było cię znowu zobaczyć, Jackson.

- Ciebie też, zarazo.

- Choć wygląda na to, że Charlotte usiłuje się mnie pozbyć? - Roześmiała się i ruszyła w kierunku hotelu. - Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Gdy tylko siostra znalazła się poza zasięgiem głosu, Charlotte strzepnęła z sukni niewidzialny pyłek i uśmiechnęła się zdawkowo.

- Cieszę się, że cię spotykam, Jackson. Spojrzał na nią uważnie, unosząc brwi z takim

powątpiewaniem, jakby wiedział, że zamierzała go ignorować.

To chyba niemożliwe, żeby on nadał umiał czytać w moich myślach, pomyślała z niepokojem. Potem postanowiła zapanować nad przebiegiem

rozmowy i dotknęła dwoma palcami jego rękawa.

- Nie mieliśmy wczoraj szans na spokojną rozmowę, ale chciałam ci powiedzieć, że bardzo zmartwiło mnie to, co zdarzyło się twojemu wujowi.

Jackson przestał nagle się uśmiechać. Jego wuj, William Armstrong, został postrzelony podczas napadu na Anne Marchand. Wystąpił wtedy w jej obronie i omal nie przypłacił swego bohaterstwa życiem.

- Dziękuję.

- Czy już się z nim widziałeś?

- Prosto z lotniska pojechałem do szpitala.

- Słyszałam, że on zadziwiająco szybko zdrowieje.

- Jak na sześćdziesięcioletniego mężczyznę, któremu trzy dni temu wyjęto kulę z płuc, istotnie jest w dobrej formie.

- Nie potrafię wyrazić słowami naszej wdzięczności. Twój wuj uratował życie mamy. Zachował się jak bohater.

- Anne mówi, że śledztwo utknęło w martwym punkcie.

- Bo nie miała szans przyjrzeć się temu bandycie. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko.

- Kiedy ją widziałem, wyglądała na spokojną. Ale wiem od pielęgniarki, że prawie nie odchodzi od łóżka Williama.

- Czuje się za to wszystko odpowiedzialna. Przecież on został postrzelony tylko dlatego, że wystąpił w jej obronie.

- Czuwa przy nim nie tylko z wdzięczności. Podobno są zaręczeni.

- Owszem.

Jackson spojrzał jej badawczo w oczy.- A co ty o tym myślisz?

- Jestem zachwycona - odparła bez namysłu. Bo tak wyglądała

prawda. Kochała ojca, lecz on od ponad czterech lat już nie żył. A William był dobrym człowiekiem. Charlotte miała początkowo dość nieufny stosunek do jego związku z matką, ale potem przekonała się, że jego uczucia są szczere. A poza tym Anne była czarującą, życzliwą kobietą i zasługiwała na szczęśliwy romans.

- A jakie jest twoje stanowisko? - spytała. - Czy nie masz nic przeciwko ponownemu małżeństwu Williama?

- Dlaczego? Wydają się szczęśliwi i mają ze sobą wiele wspólnego. I są na tyle dorośli, żeby wiedzieć, co robią.

Nie tak, jak my, pomyślała. Ona i Jackson nie mieli z sobą nic wspólnego - mogli służyć za podręcznikowy przykład przyciągania się przeciwieństw. A w dodatku byli zbyt młodzi, by wiedzieć coś o życiu. Choć mimo młodości i ignorancji udawało im się coś niekiedy odkryć...

Zdała sobie sprawę, że nadal dotyka jego rękawa, i poczerwieniała jeszcze bardziej. Chciała wykonać zdawkowy gest, ale teraz czuła przez cienki materiał napięte mięśnie jego przedramienia. Zanim zdążyła cofnąć rękę, on przykrył jej dłoń swoją. Kontakt z jego skórą podziałał na nią elektryzująco. I przypomniała sobie nagle wszystko, co niegdyś ich łączyło.

Często trzymali się za ręce. Była to niewinna czułość, ale dla nastolatków w ich wieku miała ona szczególne znaczenie. Kiedy siedzieli na trybunie, zachęcając swą drużynę do gry, jechali tramwajem albo po prostu szli do domu, zawsze się dotykali. Jej drobna ręka tonęła w jego dłoni. Czasem, kiedy Jackson uśmiechał się w szczególny sposób, kręciło jej się w głowie. Najważniejsze było jednak to, że w jego towarzystwie czuła się niezwykła i wyjątkowa.

Spojrzała na ich dłonie. Palce Jacksona nie były już palcami znanego jej dobrze chłopca. Były palcami powszechnie szanowanego chirurga. Dopiero teraz przypomniała sobie, że Jackson został lekarzem.

O czym zawsze marzył. A potem odszedł, żeby zbawiać świat.

Targnął nią nagle silny gniew. Była tym zaskoczona. Myślała, że już dawno wyzbyła się tego uczucia.

I że nigdy nie poczuje już bólu.

Od strony ustawionego na dziedzińcu bufetu dobiegał brzęk sztućców. Ciche rozmowy zmieszane ze śpiewem ptaków i szelestem liści tworzyły melodyjne tło. Ale Charlotte wysiłkiem woli odrzuciła od siebie wspomnienia i powróciła do rzeczywistości. I dostrzegła na dłoni Jacksona głęboką, czerwoną szramę.

- *Mon Dieu* - szepnęła. - Nie powiedziałeś mi, że ty też zostałeś ranny...

- Co takiego?

- Podczas pożaru. Co się...

- Och nie, to się stało już jakiś czas temu - mruknął, cofając rękę. - Nasz szpital w Kabulu został zbombardowany. Trafił mnie odłamek szrapnela.

- To okropne.- Na tym polega ryzyko zawodowe.

- Panno Marchand, słyszeliśmy, że miała pani wczoraj jakieś kłopoty.

Charlotte zeszywniała. Była zbyt pochłonięta rozmową z Jacksonem, by zdać sobie sprawę, że ktoś do niej podchodzi. Rozpoznała ochryply od papierosów głos Richarda Corbina. Nie miała pojęcia, co ten człowiek tu robi. Odwróciła się, nie usiłując nawet przywołać na twarz



życzliwej miny.

Stali przed nią dwaj mężczyźni. Wyższy z nich patrzył na nią agresywnie, ale jej niepokój wzbudził w gruncie rzeczy jego towarzysz, który rozglądał się po dziedzińcu jak wypatrujący ofiary sęp.

Jackson przysunął się do niej bliżej.

- Czy znasz tych panów, Charlotte? Niższy z mężczyzn kiwnął potakująco głową.

- Nie osobiście, ale panna Marchand wie, kim jesteśmy. Nazywam się Dan Corbin, a to jest mój brat Richard.

- Panowie są zainteresowani kupnem naszego hotelu - wyjaśniła Charlotte. - Moja matka wielokrotnie odrzucała ich oferty.

- Jak się miewa pani Marchand? - spytał Richard. - Słyszeliśmy, że ona też miała ostatnio kłopoty.

- Została napadnięta, prawda? - Dan potrząsnął głową. - Co za nieszczęście. W dzisiejszych czasach przestępczość szerzy się coraz bardziej.

- Nie chcę być nieuprzejma, panowie - wtrąciła Charlotte - ale jestem bardzo zajęta, więc...

- Ponieważ pani matka jest ostatnio nieobecna, chcieliśmy prosić o przekazanie jej tego listu. - Dan sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął grubą białą kopertę. Było na niej napisane czarnym atramentem nazwisko jej matki. - To jest nasza propozycja handlowa. W tych okolicznościach powinna wam się wydać interesująca.

Charlotte skrzyżowała ręce na piersiach.

- Moja matka dała już panom wyraźnie do zrozumienia, że Hotel Marchand nie jest na sprzedaż.

- Spokojnie. Kłopoty, jakie przeżywał hotel, musiały zmniejszyć wasze dochody. - Dan uderzył kopertą o grzbiet dłoni. - Sprzedając go, postąpiłybyście bardzo przytomnie. Jeśli będziecie zwlekać, cena spadnie jeszcze bardziej.

Zanim Charlotte zdążyła odpowiedzieć, Jackson zrobił krok do przodu, stając między nią a braćmi.

- To zabrzmiało jak groźba - rzekł spokojnym tonem.

Dan musiał unieść głowę, by spojrzeć mu w oczy. Przez chwilę milczał, a potem schował kopertę do kieszeni i cofnął się o krok.

- Ależ skąd - odparł. - To była tylko zawodowa porada. - Spojrzał ponownie na Charlotte. - Ma pani nasz numer telefonu. Proszę dać nam znać, kiedy zmieni pani zdanie.

Bracia Corbinowie opuścili dziedziniec, nie przechodząc przez hotelowy hol, lecz przez wąski pasaż obok baru. Charlotte pozostała na miejscu, dopóki nie zniknęli jej z oczu. W ciągu przepracowanych w hotelu lat miała do czynienia z różnymi ludźmi i rzadko przejmowała się groźbami. Mimo to była wdzięczna Jacksonowi za jego interwencję.

Bracia zawsze byli natrętnymi prostytutkami, ale ich dzisiejsze zachowanie było wyraźnie agresywne, a nawet wrogie. Musieli zdawać sobie sprawę, jak ciężkim ciosem był dla hotelu wczorajszy pożar.

- Czy dobrze się czujesz? - spytał Jackson.

Nie, pomyślała, nie czuję się dobrze. Słońce wydaje mi się zbyt jasne, a poza tym irytuje mnie brzęk naczyń, szmer rozmów i śpiew ptaków. Miała wrażenie, że panuje nad sytuacją, ale wizyta Corbinów przypomniała jej, jak wiele jest jeszcze do zrobienia.

- Muszę wracać do biura - oznajmiła, ruszając w kierunku holu.

Jackson natychmiast się z nią zrównał.

- Czy gabinet dyrekcji jest w tym samym miejscu, w którym był za czasów twoich rodziców?

- Tak.

- W takim razie odprowadzę cię na górę.

- Dziękuję ci, ale...

- Myślę, że powinnaś zadzwonić na policję. - Zwolnił, by wpuścić ją do holu przed sobą, a potem położył dłoń na jej ramieniu. Nie odzywał się, dopóki nie weszli na schody. - Ten człowiek wyraźnie ci groził.

- On tylko usiłował wykorzystać sytuację.

- A ja sądzę, że chodziło o coś więcej. Ci Corbinowie wyglądają na opryszków.

Ona również odniosła takie wrażenie, ale usiłowała zachować obiektywizm.- Mac i twój wuj William sprawdzili ich dane, kiedy złożyli nam pierwszą ofertę. Zachowują się jak prostacy, ale wszystko wskazuje na to, że prowadzą uczciwy interes. Mają kilka hoteli na Dalekim Wschodzie, a teraz chcą rozszerzyć swą działalność na obszar Ameryki.

Charlotte zatrzymała się u szczytu schodów, by powitać kilku zmierzających na śniadanie gości. Jackson nie odzywał się przez chwilę, więc myślała, że postanowił nie wtrącać się w jej sprawy, ale gdy tylko znaleźli się w miejscu, w którym nikt nie mógł ich podsłuchać, wrócił do tematu.

- Jeden z tych facetów wspomniał coś o waszych dochodach. Czy hotel przeżywa trudności finansowe?

A więc nie zmienił się również pod tym względem, pomyślała.

Zawsze ingerował bez wahania w cudze sprawy, kiedy uważał, że istnieje

taka potrzeba. Była to jedna z cech, które w nim podziwiała - gotowość do wystąpienia w obronie słabszego. Ale ta właśnie cecha przyczyniła się do ich rozstania.

Poczuła nawrót złości, ale przypomniała sobie, że jej postawa jest pozbawiona sensu. Nie są już nastolatkami, tylko dorosłymi ludźmi. Zatrzymała się przed drzwiami swego biura i przyoblekła twarz w profesjonalny uśmiech.

- Całe miasto przeżywa problemy, a nasz hotel nie jest wyjątkiem. Przeżyliśmy trudne chwile, ale odzyskujemy formę.

- Czy dlatego tak źle sypiasz?- Co takiego?

- Maskujesz to bardzo zręcznie, ale widzę, że jesteś wyczerpana.

- Miałam po prostu ciężką noc. Nic mi nie dolega. Objął dłońmi jej ramiona i uważnie na nią spojrzał.

- Czy jesteś tego pewna, Charlie?

Poczuła nieodpartą ochotę, by ją przytulił. Chciała jak dawniej paść mu w ramiona i oprzeć głowę na jego barku. Poczuć bijące od niego ciepło i pozwolić na to, by dmuchnięciem zmierzwił jej włosy. Udawać, choćby przez krótką chwilę, że znów jest małą Charlie, która martwi się tylko o wynik najbliższej klasówki i o to, co włożyć na szkolny bal. Co się ze mną dzieje? - pomyślała, biorąc głęboki oddech.

- Doceniam twoją troskę, Jackson - powiedziała chłodnym tonem - ale nie chcę, żebyś mnie traktował jak pacjentkę.

- Co to ma oznaczać? - Był autentycznie zdumiony.

- Przepraszam, jestem trochę zdenerwowana. - Zrobiła krok do przodu i otworzyła drzwi gabinetu. - Pozdrów ode mnie wuja, kiedy go zobaczysz. Jestem pewna, że chciałbyś jak najprędzej wrócić do szpitala...

Głos zamarł jej w gardle, bo ujrzała na progu jakąś błyszczącą plamę. Była to niewielka kupka białych cekinów.

Pchnęła drzwi i weszła do pokoju. Dalsze cekiny były rozrzucone po podłodze i lśniły pod krzesłami dla interesantów.- Poczekaj, Charlotte! - Jackson otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie. - Niczego nie ruszaj!

Pod wpływem jego dotyku poczuła zawrót głowy i straciła na chwilę kontakt z rzeczywistością. Nie była już niewinną młodą dziewczyną, więc jej reakcja była przepojona świadomym erotyzmem. Zaciśnęła zęby, by się opanować, a potem obrzuciła gabinet uważnym spojrzeniem. Wydawał się równie czysty i nieskazitelny jak zawsze.

Potem spojrzała na zabytkowy stół, który służył jej za biurko, i poczuła, że uginają się pod nią kolana. Przywarła całym ciałem do Jacksona, szukając w nim pomocy i pociechy. Na stole, wśród stosu białych piór, leżała jej piękna karnawałowa maska. Była poobdzierana ze wszystkich ozdób i przybita do blatu nożem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jackson, oparty ramieniem o drzwi, obserwował porucznika Otisa Fergussona, który zapisywał coś w notatniku. Gdyby zamiast siwych wąsów nosił brodę, wyglądałby jak Święty Mikołaj sprawdzający listę prezentów. Miał okrągłe kształty, pełną twarz i dobrotliwy wygląd. Mimo to Jackson jakoś nie darzył go zaufaniem. Być może właśnie dlatego, że jak na policjanta wydawał się zbyt jowialny.

Tak czy owak, wykonywał czynności śledcze w sposób fachowy i

wydawał się kompetentny.

Biurko Charlotte, oszpecone dziurą w blacie, było teraz puste. Wszystkie ślady zniszczonej maski zostały usunięte. Fergusson wyrwał nóż i schował go do torebki na dowody rzeczowe. Ale wyznał, że nie sądzi, by ten ślad mógł go zaprowadzić do celu. Był to zwykły myśliwski kordelas służący do obdzierania zwierzyny ze skóry - ulubione narzędzie kłusowników polujących na bagnach i w zatokach. Takie noże można kupić w każdym sklepie ze sprzętem turystycznym.

- Zapewniam pana, że kiedy tu przyszedłam, drzwi były zamknięte na klucz - oznajmiła Charlotte, która siedziała za biurkiem, trzymając przed sobą splecione dłonie. - Podobnie jak drzwi prowadzące do pokoju mojej asystentki.

Fergusson usiadł na jednym z wolnych krzeseł, oparł notes na kolanie i wskazał drzwi długopisem.

- Nie chcę niczego krytykować, ale te zamki są bardzo prymitywne.  
- Do tej pory nie potrzebowaliśmy lepszych.  
- Czy ma pani jakieś przypuszczenia dotyczące sprawcy tego czynu?

Charlotte rozejrzała się po pokoju. Jak na osobę, która nie zmrużyła tej nocy oka i musiała walczyć z licznymi problemami, trzymała się zadziwiająco dobrze. Jackson czuł jednak, że nie jest wcale tak spokojna i opanowana, jak by chciała. Poznał prawdę, kiedy zadrżała w jego ramionach. Był zdumiony tym, że tak bardzo chciał ją w nich zatrzymać. Rozsądek podpowiadał mu, że nie powinien się do niczego mieszać. Charlotte miała rację, zbywając jego wcześniejsze pytania ogólnikami; hotel należy do niej. Była kompetentną szefową, kobietą o silnej oso-

bowości. Nie potrzebowała go - ani teraz, ani za czasów ich młodości. Dała mu to wyraźnie do zrozumienia, wychodząc za Adriana Granta.

A jednak nie mógł zmusić się do odejścia.

- Myślę, że powinien pan porozmawiać z braćmi Corbin - powiedział.

- Kim oni są? - spytał zdziwiony Fergusson.

- Richard i Dan. Byli w hotelu na kilka minut przed znalezieniem tego noża.

Przez chwilę wydawało się, że Charlotte zaprotestuje. Ale ona, po chwili namysłu, przytaknęła ruchem głowy.

- Nie chciałabym rzucać podejrzeń na kolegów z branży, ale muszę do tego podchodzić realistycznie. Braciom Corbin może zależeć na tym, żeby nas zastraszyć.

Detektyw odwrócił się gwałtownie.

- Dlaczego pani tak uważa?

- Oni chcą ten hotel kupić, a ja nie chcę go sprzedać. Być może chcieli skłonić mnie do zmiany zdania.

- Czy myśli pani, że w tej zniszczonej masce jest ukryte jakieś przesłanie?

- Być może. Wszystkie hotele spodziewają się zysków w okresie karnawału. Zniszczenie tej maski... może być interpretowane jako ostrzeżenie. Ale ktokolwiek to zrobił, nie przyniósł jej ze sobą. Ona już tu była.

- Naprawdę?

- To część mojego kostiumu na doroczny bal, który ma się odbyć w przyszłym tygodniu. Ostatni raz widziałam ją wczoraj, tuż przed

wybuchem pożaru.

- To otwiera nowe wątki śledztwa - oznajmił Fergusson, stukając piórem o notatnik. - Zajmę się nimi.

- Dziękuję panu. Ze względu na opinię hotelu mam nadzieję, że przeprowadzi pan to dochodzenie w sposób możliwie dyskretny. Nasi goście przyjeżdżają tu, żeby się dobrze bawić, a ja nie chciałabym im w tym przeszkadzać.

Detektyw odsłonił zęby w życzliwym uśmiechu.- Zrobię wszystko, żeby pójść pani na rękę. Wiem, że i bez tego mieliście ostatnio sporo kłopotów.

- Prawda. A czy już pan coś ustalił w sprawie pożaru?

- Takie sprawy wymagają czasu.

- Wspomniał pan o możliwości podpalenia - przypomniała mu Charlotte. - Czy nadal bierze pan taką ewentualność pod uwagę?

- Na tym etapie dochodzenia jestem skłonny obarczyć winą wadliwą instalację elektryczną. Ale niczego nie wykluczamy. - Wstał i zwrócił się do Jacksona. - Szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że uda mi się z panem dziś porozmawiać, doktorze Bailey. Podobno zjawił się pan na miejscu wydarzeń jako jeden z pierwszych?

- To prawda, ale nie mogę panu powiedzieć wiele na temat samego pożaru. Udzielałem pomocy poszkodowanym.

- Słyszałem, że jest pan w Nowym Orleanie tylko przejazdem. Czy to prawda?

- Owszem. Pracuję w filadelfijskim szpitalu i często wyjeżdżam za granicę jako przedstawiciel organizacji charytatywnej, niosącej medyczną pomoc mieszkańcom biednych regionów świata.



Detektyw przerzucił kilka kartek.

- Co może mi pan powiedzieć na temat recepcjonisty, który nazywa się Luc Carter?

- Opatrzyłem ranę na jego ramieniu.

- Owszem, słyszałem o tym. Jakie on zrobił na panu wrażenie?-

Nie bardzo rozumiem, o co panu chodzi.

- Jak się zachowywał? Czy zauważył pan w jego postępowaniu coś podejrzanego?

Jackson zdał sobie sprawę, że Charlotte patrzy na niego zza biurka tak uważnie, jakby jego odpowiedź miała dla niej wielkie znaczenie.

- Jeśli pan sądzi, że Luc miał coś wspólnego z wybuchem pożaru, to się pan myli. On usiłował ugasić ogień marynarką.

- Czy widział pan to na własne oczy?

- Nie, ale wiem to od niego, a nie mam powodu, żeby wątpić w jego prawdomówność. Był wstrząśnięty, a marynarkę zniszczył. Mimo że sam odniósł obrażenia, pomagał mi przy następnej ofierze poparzenia.

Fergusson wydał jakiś nieokreślony pomruk, a potem zamknął notatnik i schował go do kieszeni marynarki.

- Dziękuję za pomoc, doktorze Bailey. Panno Marchand, będę z panią w kontakcie.

- Chwileczkę - wtrącił Jackson. - Czy nie zamierza pan zapewnić pani Marchand jakiejś ochrony?

- Nie mogę tego zrobić, dopóki jej życiu coś wyraźnie nie zagraża.

- Ktoś wbił w blat jej biurka myśliwski nóż. Nie jestem ekspertem od procedur obowiązujących organa ścigania, ale wygląda mi to na bezpośrednie zagrożenie.

- Mogę polecić patrolom, żeby zwracały uwagę na wszystkie podejrzanе wydarzenia w tej okolicy - obiecał Fergusson, idąc w kierunku drzwi.- Ale przecież jest karnawał - przypomniał mu Jackson. - Jak można dostrzec coś podejrzanego w takim tłumie?

- Przykro mi, ale nasz budżet nie pozwala mi na podjęcie żadnych innych kroków.

Jackson miał w życiu do czynienia z wieloma biurokratami, więc potrafił rozpoznać niepokonaną przeszkodę. Poczekał na wyjście detektywa, a potem zamknął drzwi i zwrócił się do Charlotte.

- Jackson, wszystko jest w porządku - oznajmiła, zanim zdążył otworzyć usta. - Powiem Macowi, jak wygląda sytuacja, i poproszę go, żeby skłonił ochroniarzy do większej czujności.

- Mac odchodzi z pracy i otwiera firmę ochroniarską.

- Owszem, ale dopiero po zakończeniu karnawału. Jego stanowisko przejmie Tyrell Haynes, szef naszej nocnej ochrony. Jest bardzo kompetentny, a ja mu ufam.

- Czy jesteś pewna, że zwiększona czujność waszej ochrony okaże się wystarczająca?

- Wszystko będzie dobrze.

- Jest tu wiele wejść. Czy zauważyłaś, jak łatwo dostali się dziś na teren hotelu Corbinowie?

- Ten akt wandalizmu może się okazać po prostu wybrykiem szaleńca. Ale jeśli odpowiadają za niego Corbinowie, to najwyraźniej chcą, żebym wpadła w panikę. I właśnie dlatego nie mogę sobie pozwolić na przesadną reakcję.

- Ale...- Nie zamierzam zamknąć hotelu na okres karnawału,

Jackson. I nie chcę niepokoić gości obecnością policji. Mogę zwiększyć aktywność naszej ochrony, ale poza tym muszę się starać, żeby wszystko wyglądało tak jak zwykle. - Przesunęła końcem palca po uszkodzonym blacie biurka i wstała. - I bardzo proszę, żebyś nie wspominał o tym incydencie swojemu wujowi.

- Dlaczego?

- Moja matka ma i tak dość kłopotów, a ta okropna historia jeszcze bardziej ją wytrąci z równowagi. Znam stan jej serca i nie chcę ryzykować.

- Nie możesz ode mnie wymagać, żebym o tym zapomniał.

- Ale mogę cię o to prosić. I choć doceniam twoją dobrą wolę, sama się wszystkim zajmę. Jak powiedziałaś, nie jesteś ekspertem od procedur obowiązujących organa ścigania. I mówiąc szczerze, to nie twoja sprawa.

Jackson przesunął dłonią po włosach. Czuł się bezradny i zawiedziony, ale wiedział, że Charlotte ma rację. Sam doszedł do wniosku, że nie powinien się angażować w jej sprawy, ale kiedy usłyszał to od niej, zrobiło mu się przykro.

- Przecież powiedziałaś Macowi, że jesteśmy starymi przyjaciółmi.

- Bo to prawda. Byliśmy przyjaciółmi, bez względu na okoliczności, w których się rozstaliśmy.

- Więc jako przyjaciel mam prawo przejmować się twoimi sprawami.- Być może, ale nie masz prawa się do nich wtrącać.

- Jeśli mój wuj ożeni się z twoją matką, będziemy rodziną.

- I dlatego próbowałam być uprzejma. Ale to jest mój problem, a nie twój. I tak niedługo wyjeżdżasz, prawda? Do Afganistanu czy gdziekolwiek indziej.

- Owszem, jeśli wszystko ułoży się korzystnie - odparł, zaskoczony jej agresywnością. - Ale na razie nadal jestem tu potrzebny.

Charlotte obciągnęła żakiet i wyszła z za biurka.

- Skoro więc twoja wizyta ma charakter tymczasowy, nie ma powodów, żebyś się angażował w moje problemy.

- Charlotte...

- O ile sobie przypominam, był moment, w którym cię prosiłam, żebyś został. Ale choć możesz w to nie uwierzyć, dałam sobie radę bez ciebie.

- Zdaję sobie z tego sprawę. I tylko usiłuję ci pomóc.

- Prowadzenie hotelu dwadzieścia lat temu nie było dla ciebie ani wystarczająco szlachetnym zajęciem, ani dość podniecającym wyzwaniem. Beztrąsko zniknąłeś wtedy z mojego życia, więc jestem pewna, że trzymanie się z dala od niego też nie sprawi ci teraz większych trudności.

Jacksonowi cisnęły się na usta tysiące odpowiedzi. Pamiętał swe bolesne przeżycia, mógł obrzucić Charlotte licznymi oskarżeniami. Zniknął wtedy z jej życia, ponieważ ona go z niego wypchnęła. Nie było w nim miejsca dla niego i dla jej nowo poślubionego męża. Przypomniawszy sobie jednak, że są to stare dzieje, a on nie przyjechał do Nowego Orleanu po to, by zmieniać przeszłość. Reakcja Charlotte wydawała mu się przesadnie emocjonalna. Zauważył już wcześniej, że wydaje się wyczerpana, a teraz dostrzegł w niej symptomy ogromnego napięcia.

- Co się tutaj dzieje, Charlotte?

Przeszła obok niego i ostentacyjnie otworzyła drzwi.

- Do widzenia, Jackson.

Wyciągnął rękę i je zatrzasnął. Charlotte stała przez chwilę nieruchomo, jakby porażona jego zuchwalstwem. Potem odchyliła głowę do tyłu i obdarzyła go spojrzeniem, w którym odbijała się mieszanina różnych uczuć. Ale nie było w nim wiele gniewu. Jej pozorny spokój opadł z niej na jego oczach, jak zniszczona karnawałowa maska.

Miał ochotę ją objąć i przytulić. Ale gdyby to zrobił w tej chwili, nie występowałby w roli przyjaciela ani potencjalnego członka rodziny. Zachowałby się jak mężczyzna, który chce przytulić do siebie atrakcyjną kobietę. A żadnemu z nich nie są w tej chwili potrzebne uczuciowe komplikacje. Wziął więc głęboki oddech i opanował tę pokusę.

- Ten wybuch uczuć nie miał nic wspólnego z naszymi stosunkami, prawda?

- Co takiego?

- Pochlebiałaby mi myśl, że szalałaś z tęsknoty za mną. Ale nie sądzę, żeby tak wyglądała prawda. - Oczywiście, że to bzdura.

- Skoro więc do tego wybuchu nie skłoniły cię uczucia, jakie mogłabyś do mnie żywić, to pewnie chodzi o hotel. Czy mam rację?

Oczy Charlotte wypełniły się nagle łzami.

- Dawałam sobie doskonale radę, dopóki się tu nie zjawiłeś - wykrztusiła drżącym głosem.

- Gdyby tak było istotnie, to nie stałabyś teraz na skraju katastrofy. Ale mam wrażenie, że istotnie jestem, ostatnią kroplą, która przepełniła czarę.

- Tak, i niech cię diabli wezmą!

- Dlaczego?

- Jak śmiesz udawać, że przejmujesz się moimi kłopotami, kiedy

byłbyś zadowolony, gdyby hotel upadł?

- To absurdalne.

- Wcale nie. Nienawidzisz tego budynku. Sam to powiedziałeś podczas naszego ostatniego spotkania.

- Byłem wtedy wściekły. Wiesz, że to nie była prawda.

- Więc dlaczego tak pośpiesznie wyruszyłeś na wyprawę krzyżową, której celem było zbawienie świata? Masz szczęście, że wróciłeś właśnie teraz. Możesz rozkoszować się widokiem mojej klęski.

Jackson usiłował się powstrzymać od złośliwej odpowiedzi, ale nie było to łatwe. Prowadzili tę dyskusję od wielu lat i w gruncie rzeczy nie skończyli jej do tej pory.

- Charlie...- Nie mów tak do mnie! - Podeszła z powrotem do biurka, ale tym razem jej kroki były ciężkie.

- Naprawdę jest tak źle? - spytał cicho.

- Nie mamy już rezerw finansowych. Zaciągnęliśmy ogromny kredyt hipoteczny. Jeśli do przyszłego tygodnia nie zaczniemy osiągać dochodów... - Urwała nagle i schyliła się, by podnieść coś z podłogi. Było to małe, białe piórko.

Jej ramiona zadrżały nagle, jakby widok tego piórka pozbawił ją resztek samokontroli. Zacisnęła dłoń w pięść.

- Ten hotel to całe moje życie, Jackson. Perspektywa jego utraty... - Jej głos załamał się, a po policzkach zaczęły spływać strumienie powstrzymywanych dotąd łez.

Jackson doszedł do wniosku, że to załamanie musiało wisieć w powietrzu już od dawna. Wiedział, że może ono zbawiennie wpłynąć na stan nerwów Charlotte, więc stłumił w sobie chęć, by ją objąć. Ale pokusa

była bardzo silna.

Nagle zdał sobie sprawę ze znaczenia tego, co mu przed chwilą oznajmiła. Że może stracić hotel...

- Zdaję sobie sprawę, co przeżywasz, Charlie...

- Nie sądzę, żebyś był w stanie to zrozumieć. - Przetarła oczy zaciśniętymi pięściami. - Ty zrealizowałeś swoje marzenia. Ułożyłeś sobie życie, tak jak chciałeś. Nikt nie może ci tego odebrać.

- Mylisz się. Wiem, jak czuje się człowiek, któremu wymyka się z rąk wszystko, co zbudował.

- Skąd to wiesz? Jackson uniósł w górę prawe przedramię.

- Czy wiesz, ile jest nerwów w ludzkiej ręce? Ile mięśni, kości i ścięgien?

- Nie mam pojęcia. Dlaczego o to pytasz?

- Popatrz uważnie. - Rozstawił palce tak szeroko, że poczuł silny ból. - Widziałaś już odwrotną stronę. Teraz popatrz na miejsce, w które trafił szrapnel.

Widok jego zmasakrowanej ręki zmusił ją do zamknięcia oczu. Cała środkowa część dłoni była pokiereszowana.

- Och, Jackson... - szepnęła, chwytając go delikatnie za palce. - To musiało być okropne.

- Ciało ludzkie nie jest wystarczającą przeszkodą dla kawałka metalu, który leci z szybkością trzydziestu metrów na sekundę.

- Nie wiedziałam, że byłeś tak ciężko ranny.

- Miałem szczęście. Trafili mnie tylko w rękę, więc przeżyłem.

- Wygląda na to, że dobrze się goi.

- Ale tylko z zewnątrz.

- A co jest pod skórą? Czy obrażenia są poważne?

- Nie mogę utrzymać w ręku skalpela ani nawet zabandażować rany.

- Och, to niemożliwe! - W oczach Charlotte znowu rozbłysły łzy.

- Z tego powodu wróciłem do kraju. Wybieram się do Tulane, gdzie mój przyjaciel zrobi badania, które ustalą, czy ta ręka może odzyskać sprawność. Zarezerwowałem bilet na samolot, zanim William został postrzelony.- Jackson... Jest mi strasznie przykro...

- Nie potrzebuję twojej litości, Charlie. Chcę tylko ci uzmysłwić, że jestem ostatnią osobą na świecie, która mogłaby triumfować z powodu twoich kłopotów. - Delikatnie uwolnił rękę z jej uścisku. - Wszystko wskazuje na to, że oboje mamy ich mnóstwo. Nie musimy przywoływać tych, które odeszły w przeszłość.

Charlotte przechadzała się powoli po sali bankietowej, przesuwając od czasu do czasu ręką po liściach paproci doniczkowych. Przez wychodzące na ulicę wielkie okna sączyła się muzyka - w Dzielnicy Francuskiej trwały już karnawałowe imprezy. Ale tu słychać było tylko stukot jej obcasów o parkiet. Przyjęcie weselne, które miało się odbyć w tej sali, zostało w ostatniej chwili odwołane, gdyż niedoszli nowożeńcy postanowili nie brać ślubu. Panująca w sali pustka powinna ją martwić, gdyż kojarzyła się z utraconym dochodem. Ale ona była zadowolona, że może przez jakiś czas pobyć sama ze swoimi myślami.

Nie wiedziała, jakim cudem przebrnęła przez ten dzień. Robiła, co mogła, by skłonić personel do wyteżonej pracy i zadowolić pozostałych w hotelu gości. Przejrzała nawet listę spraw dotyczących karnawałowego balu, który miał odbyć się właśnie w tej sali w najbliższy wtorek.



Ale przez cały czas prześladował ją widok okaleczonej dłoni Jacksona. Nie potrafiła zrozumieć, co ją skłoniło do wyładowania na nią frustracji. Miała za sobą ciężki dzień, a spotkanie z Jacksonem jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi, ale jej zachowanie było niewybaczalne. I choć gniew, który ją do niego skłonił, bardzo szybko wygasł, echo wypowiedzianych przez nią słów wisiało w powietrzu jak gryzący dym po pożarze.

Musiła przyznać, że Jackson zachował imponującą powściągliwość. To było coś nowego; chłopiec, którego znała, był równie impulsywny jak ona. Ale bijąca z jego oczu życzliwość była taka sama jak dawniej. Podobnie jak umiejętność czytania w jej myślach.

Stała przy wielkim wykuszowym oknie w narożniku sali i przesunęła dłonią po pluszowym obiciu stojącej pod nim kanapy. Czy Jackson będzie w stanie wyczuć miękkość tego aksamitu? Czy zachowa zdolność rozkoszowania się takimi prostymi przyjemnościami, jak dotyk liści paproci przesuwających się między palcami?

Prawdę mówiąc, nie wyobrażała sobie Jacksona w roli lekarza. Kiedy postanowił studiować medycynę, nie popierała jego wyboru, bo miała inną wizję ich wspólnej przyszłości. Jako młoda i uparta idealistka pragnęła pójść śladem uwielbianych przez siebie rodziców. Miała nadzieję, że pewnego dnia będzie prowadzić ten hotel wraz z Jacksonem i wychowywać swe dzieci w tych samych warunkach, w jakich dorastała. Przez jakiś czas wydawało się, że jej marzenia mają szansę się spełnić. Ale potem Jackson dostał stypendium, które pozwoliło mu na realizację jego własnych marzeń. I miał do tego prawo. Do kariery popchnęła go nie ambicja, lecz chęć służenia innym. Nie chciał poświęcić się tylko swojej

rodzinie; pragnął ratować życie ludzi. Medycyna stała się jego życiem na tej samej zasadzie, na której hotel był życiem Charlotte. Poszli własnymi drogami, ale ironicznym zrządzeniem losu po dwudziestu latach spotkali się w tym samym punkcie. Oboje stanęli przed groźbą utraty tego, czemu poświęcili całe życie...

- Ciociu Charlotte!

Odwróciła się w stronę drzwi, w których stała drobna postać, i z uśmiechem wyciągnęła przed siebie rękę.

- Daisy Rose! Jak się miewa moja ulubiona siostrzenica?

Dziewczynka podbiegła do niej, objęła jej kolana i odchyliła się do tyłu, unosząc w górę uśmiechniętą twarz.

- Mam skrzydła!

- Oczywiście, że masz skrzydła - powiedziała Charlotte, odgarniając z twarzy siostrzenicy jej kręcone rude włosy. - Jesteś przecież naszym aniołkiem.

- Ja mam prawdziwe skrzydła! - zawołała dziewczynka, poruszając ramionami. - Popatrz!

Charlotte pochyliła się i stwierdziła, że do pleców dziewczynki przymocowana jest para skrzydeł z drutu i białego tiulu. - Są cudowne!

- Popatrz, jak ja fruwać. - Daisy Rose podskoczyła w górę, wyginając szyję. - Widzisz? Jestem czarodziejem, a to moja magiczna różdżka. Taka, jaką opisują w bajkach.

- Tak, moja kochana. Wszystko jest jak w bajce.

- Popatrz, mam! Zaraz kogoś zaczaruję! Charlotte ponownie spojrzała w kierunku drzwi

i ujrzała siostrę. - Sylvie Marchand miała na sobie żółtobrązową

jedwabną suknię. Matka i córka były do siebie niezwykle podobne. Obie miały rude włosy i nieodparty urok osobisty. Sylvie zatrzymała się na chwilę, by poprawić skrzydła Daisy, a potem podeszła do siostry.

- Nadał pracujemy nad resztą jej kostiumu, ale chciała ci koniecznie pokazać to, co jest już gotowe.

- Na pewno będzie pięknie wyglądać - powiedziała Charlotte.

- Jest zachwycona, bo pozwoliliśmy jej się bawić do późnego wieczora. To jej pierwszy karnawałowy bal.

- Właśnie dlatego mama i ja postanowiłyśmy zerwać z tradycją i oprzeć kostiumy na motywach bajek. - Charlotte spojrzała na siostrzenicę, która biegała po sali, dotykając kolejnych paproci swoją różdżką. - Daisy ma bujną wyobraźnię.

- Ona uwielbia bajki, które jej czytasz.

- Ja też je lubiłam, kiedy byłam w jej wieku. Jestem pewna, że będzie się świetnie bawić.- A ja myślę, że szybko się zmęczy i prześpi całą resztę imprezy.

- Tak właśnie zrobiła Melanie, kiedy po raz pierwszy wzięła udział w balu. Pamiętasz?

- Oczywiście. - Sylvie wsparła dłonie na biodrach i rozejrzała się po sali. - Znaleźliśmy ją zwiniętą w kłębek na tej kanapie obok okna.

- Wydaje mi się, że to było wczoraj.

- A skoro już rozmawiamy o dawnych czasach...

- Sylvie zniżyła głos. - Słyszałam, że wrócił Jackson.

Charlotte westchnęła cicho.

- Owszem.

- Słyszałam też, że wygląda jeszcze bardziej atrakcyjnie - mruknęła

Sylvie, sugestywnie unosząc brwi.

- Mężczyźni mają szczęście. Kobiety po prostu starzeją się z upływem lat. Co słyszeć w galerii?

- spytała, chcąc zmienić temat. Sylvie przejęła niedawno należącą do hotelu galerię sztuki.

- Kwitnie. Wybrałam się do ciebie z tą informacją już wcześniej, ale nie chciałam ci przeszkadzać.

- Przecież wiesz, że zawsze mam dla ciebie czas.

- Kiedy stanęłam pod drzwiami, odniosłam wrażenie, że kłócisz się właśnie z udoskonaloną wersją Jacksona. - Sylvie uśmiechnęła się życzliwie. - To zabawne. Od jego wyjazdu nie słyszałam, żebyś tak podniosła na kogoś głos.

Charlotte przycisnęła dłonie do skroni.

- Więc to słyszałaś?

- Nie docierały do mnie poszczególne słowa, ale nie ulegało wątpliwości, że jesteś wzburzona. - To nie było wzburzenie, tylko skutki stresu.

- Hm. A ja odniosłam wrażenie, że Jackson nadal nie jest ci obojętny.

Chciała zaprzeczyć, ale stosowne słowa jakoś nie przychodziły jej do głowy. Nie tęskniła za Jacksonem, ale przez cały dzień nie była w stanie o nim zapomnieć. Kiedy ją objął, poczuła nagły przyływ podniecenia, ale nie zamierzała dociekać jego przyczyn. Jej uczucia wobec Jacksona były i tak wystarczająco skomplikowane.

- Czy to prawda, że się w nim podkochiwałaś? Sylvie spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami.

- Przysięgłyśmy sobie, że zachowamy to w tajemnicy. Kto ci powiedział? Melanie?

- Ona mówi, że wszystkie miałyście do niego słabość.

- To było nieuchronne. Sama wiesz, że zawsze próbowałyśmy naśladować naszą najstarszą siostrę. A ty wybrałaś jego, więc musiał być fantastyczny. Miał niebieskie oczy, niesforne włosy i wspaniałe poczucie humoru... - Splotła dłonie na piersiach i dodała teatralnym szeptem: - Był taki romantyczny... A poza tym nie znosiła go Królowa, więc musiał nam się wydawać jeszcze bardziej atrakcyjny.

Królowa. Sylvie miała na myśli ich babkę, Celeste Robichaux, która nie kryła swej niechęci do „chłopaka Baileyów”. Jej postawa była wynikiem subtelnie prowadzonej, ale długoletniej wojny. Celeste, jako konserwatywna Kreolka, była dumna z dziejów swojej rodziny i z jej przynależności do nowoorleańskiej elity. Twierdziła z uporem, że Charlotte, jej najstarsza wnuczka, musi wybrać kogoś z pieniędzmi i imponującym rodowodem.

Jackson nie spełniał żadnego z tych wymogów. Jego ojciec zajmował się naprawą sprzętu gospodarstwa domowego, a potem otworzył własny sklep. Matka była owocem skandalicznego romansu pewnej jazzowej pianistki z Bennettem Armstrongiem, jednym z filarów towarzystwa, do którego należała Celeste. Choć prawowity syn Bennetta, William Armstrong, utrzymywał stosunki ze swą przyrodnią siostrą i jej synem, czyli Jacksonem, reszta klanu Armstrongów uparcie odmawiała przyjęcia ich istnienia do wiadomości. Dla Charlotte nie miało to znaczenia, ale jej babka nie potrafiła tego zignorować.

Celeste akceptowała Adriana. To ona przedstawiła go swej wnuczce

i była tak zadowolona z ich związku, że tańczyła do białego rana na weselnym przyjęciu, które również odbyło się w okresie karnawału.

Charlotte mogła tylko mieć nadzieję, że tegoroczny karnawał nie stanie się okazją do następnej katastrofy.

- Mamo! Ciociu!

Charlotte ujrzała Daisy, która biegła w ich kierunku, nadal trzymając w ręku swoją różdżkę.

- Popatrzcie na moją laseczkę!

Charlotte spojrzała na złotą gwiazdę, która zdobiła czubek różdżki. Było to zapewne złudzenie optyczne - lub uboczny skutek łez, które napłynęły do jej oczu- ale miała wrażenie że sączy się z niej smuga złocistego światła.

- Wymyśl jakieś życzenie, ciociu! - zawołała Daisy, machając różdżką. - To jest magia!

Magia? Och nie, pomyślała Charlotte. Nawet dla zabawy nie zamierzała po raz drugi podejmować ryzyka, z jakim wiązała się wiara w magiczne moce.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

- Czy wiesz, dlaczego się mówi, że lekarze są najgorszymi pacjentami, Jacques?

- Pewnie dlatego, że nie płacą.

- Nie. Dlatego, że chcą sami stawiać diagnozę i decydować o przebiegu terapii. - Doktor Yves Fortier dotknął wskazującym palcem zdjęcia rentgenowskiego na podświetlonej tablicy. - Prosiłem cię, żebyś

oszczędzał tę rękę, a ty co robiłeś? Dostarczałeś lodówki do sklepu ojca?

- Nie mógłbym, nawet gdybym bardzo chciał - odparł Jackson. - Po ostatnim huraganie ojciec przeniósł firmę do Des Moines. - Zerknął na zdjęcie. Jego zdaniem nie różniło się ono niczym od tych, które przesłał przyjacielowi przez kuriera tydzień temu. - Nie próbuj mnie straszyć, Yves. Stan tej ręki się nie pogorszył.

- Ale powinien był się poprawić. - Doktor Fortier wskazał zarys jednej z kości uszkodzonej przez szrapnel. - Miałem nadzieję, że dostrzegę objawy absorpcji, a tymczasem nic się nie zmieniło.

- Ta kość nie ma większego znaczenia. Ona nie ogranicza swobody ruchu.

- Ale może, jeśli w rękę pozostały jej fragmenty blokujące połączenia nerwowe. Żałuję, że nie mogłem cię leczyć od samego początku. Ktokolwiek to robił, musiał chyba używać młotka i siekiery.

- Po tym bombardowaniu nasz szpital nie był zbyt dobrze wyposażony w sprzęt. Wiesz, jak to jest, Yves.

- Aż za dobrze. Będę musiał poprosić Marie, żeby przygotowała ci talizman gris-gris, który może przeciwdziałać skutkom tego partactwa.

Jackson z trudem powstrzymał się od lekceważącego grymasu. Marie, żona Yves'a, była w pełni wykwalifikowaną pielęgniarką, ale jako ekscentryczka wzbogacała niekiedy praktykę medyczną o pewne elementy wudu. Było to nieszkodliwe hobby, które poprawiało samopoczucie niektórych pacjentów, ale Jackson zawsze traktował je z lekką ironią.

- Czy te czary pociągną za sobą dodatkowe koszty? - spytał z uśmiechem.

- Przecież sam powiedziałeś, że lekarze nie płacą za terapię. - Yves studiował zdjęcie jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się w stronę pacjenta. - No dobrze, mój czas jest zbyt cenny, żebym go tracił na pogawędki. Zobaczmy, jak bardzo jesteś pokiereszowany.

Mały pokój, w którym Yves badał pacjentów, znajdował się na terenie wydziału medycyny uniwersytetu Tulane. Każdy kawałek wolnej przestrzeni zajmowały półki z książkami, czasopismami i sprzętem diagnostycznym. Yves podprowadził Jacksona do dużego stołu obitego blachą z nierdzewnej stali i przysunął do niego taboret. Posadził pacjenta na taborecie, włączył silną lampę i zaczął oglądać uszkodzoną rękę przez lupę. Najpierw obejrzał grzbiet dłoni, robiąc notatki i dokonując szczegółowych pomiarów. Badanie wewnętrznej strony trwało trzykrotnie dłużej. Yves, jeden z najbardziej znanych neurochirurgów na świecie, nie przywiązywał przesadnej wagi do technologii diagnostycznej. Zawsze twierdził, że naukowiec powinien się posługiwać nie tylko mózgiem, lecz również sercem i intuicją.

Jackson poznał Yves'a i Marie w obozie dla uchodźców na terenie Erytrei. W promieniu stu kilkudziesięciu kilometrów nie było żadnej specjalistycznej aparatury. Stojący obok szpitalnego namiotu archaiczny generator wytwarzał tak niewielką ilość energii, że wystarczało jej z biedą na oświetlenie wnętrza. Mimo to państwo Fortier pracowali nieprzerwanie przez sześć godzin, by uchronić przed kalectwem dziesięcioletnią dziewczynkę, której noga została niemal odcięta maczetą na wysokości uda.

Szanse osiągnięcia sukcesu w tak prymitywnych warunkach były równe zeru, lecz Yves i Marie nie dali za wygraną. Podczas gdy Marie



niezmordowanie wprawiała w ruch ręczny wentylator i odpędzała muchy wachlarzem z koziego włosia, Yves przeprowadził skomplikowaną operację, w wyniku której następnego ranka dziewczynka nie tylko usiadła, ale zaczęła poruszać palcami nogi.

- Następnym razem włóż baseballową rękawicę - mruknął Yves.-

Co takiego?

- Wszystko wskazuje na to, że usiłowałeś złapać ten pocisk w locie

- odparł Yves, dotykając blizny zakończonym gumką końcem ołówka.

- Coś w tym rodzaju.

- Jaka odległość dzieliła cię od miejsca wybuchu?

- Niestety, nie pamiętam szczegółów.

- Może powinieneś być za to wdzięczny losowi.

- Chyba tak. - Jackson kiwnął głową. - Wszyscy widzieliśmy rzeczy, o których wolelibyśmy zapomnieć.

Yves potwierdził tę opinię niewyraźnym pomrukiem, ale nie podjął tematu. Jak wszyscy ludzie, którzy pracowali na terenach objętych wojną, wiedział, że nie należy stawiać kropki nad i. Skupił więc ponownie uwagę na ręce Jacksona.

- W jakim stopniu odzyskałeś czucie? Jackson wskazał podstawę swego kciuka.

- Na tym obszarze mniej więcej w trzydziestu procentach. Tu - czterdzieści. Reszta około sześćdziesięciu. To wystarczy, żebym mógł coś utrzymać w ręku, ale za mało na pełną kontrolę ruchów.

Yves wyłączył lampy i odłożył lupę.

- No cóż, tym razem przesadziłeś, Jacques. Jesteś naprawdę nieźle poharatany.

- Jak wiesz, zawsze robię, co w mojej mocy.  
- Czy ty myślisz, że ja nie mam nic lepszego do roboty?  
- Odkąd stałeś się taki skromny, Yves? Przecież wszyscy wiemy, że jesteś geniuszem.- To prawda. - Poklepał Jacksona po plecach. - Przyjdź do mnie za dwa dni, a ja przygotuję urządzenia. Zmierzymy impulsy nerwowe i zobaczymy, na czym stoimy.

- Dzięki, Yves.  
- Za wcześnie na podziękowania, kolego. To jest dopiero pierwszy krok.

Jackson wyczuł w głosie przyjaciela powściągliwość. Sam przemawiał do pacjentów takim tonem wtedy, kiedy nie był pewien wyniku leczenia. Podobnie jak Yves, zdawał sobie sprawę, że jego szanse na pełny powrót do zdrowia są niewielkie. Ale nie zamierzał się poddawać. Cóż by mu zostało, gdyby został pozbawiony możliwości pracy?

Stanął mu przed oczami wizerunek Charlotte, kobiety, która poprzedniego dnia podniosła na niego głos, a potem ze łzami w oczach oglądała jego bliznę.

W zamyśleniu potarł podbródek, a potem ruszył za lekarzem w stronę drzwi. Od chwili powrotu do Nowego Orleanu nieustannie stawał w obliczu pytań, na które nie umiał odpowiedzieć.

- Charlotte, czy znajdziesz dla mnie chwilę?- spytał Luc Carter, wychodząc zza biurka recepcji.

Charlotte, która przechodziła właśnie przez hol, zwolniła kroku. Marzyła o tym, by jak najszybciej dotrzeć do samochodu, pojechać do domu, wziąć kąpiel i położyć się spać. Ale widocznie nie było jej to dane.

Zatrzymała się przy stoliku blisko wejścia i położyła teczkę na wiklinowym krześle.- Oczywiście, Luc. Co mogę dla ciebie zrobić? Luc poprawił krawat i przygładził włosy.

- Chcę z tobą porozmawiać o tym pożarze. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Nigdy dotąd

nie zauważyła, by wykonywał tak nerwowe ruchy, typowe dla osoby o nieczystym sumieniu. Potem dostrzegła wystający z rękawa jego koszuli skrawek bandaży i skrzywiła się pod wpływem nagłego ukłucia poczucia winy.

Dopóki Jackson nie oznajmił jej stanowczo, że widział na własne oczy, jak Luc gasi ogień, nie wykluczała jego udziału w podpaleniu. Nękające hotel kłopoty zaczęły się w kilka miesięcy po jego przyjęciu do pracy. Asystentka Charlotte posunęła się do stwierdzenia, że Luc celowo prowokuje problemy, chcąc zasłużyć na opinię człowieka, który umie je rozwiązywać. Hotelowa ochrona zbadała jego przeszłość i nie znalazła w niej nic podejrzanego. A Charlotte, znając dobrze Jacksona, była przekonana, że ocenił właściwie postępowanie Luca podczas pożaru.

Nie chciała podejrzewać Luca o sabotowanie interesów hotelu. Był on znakomitym pracownikiem, a poza tym sympatycznym i czarującym młodym człowiekiem. Potrafił też znaleźć wspólny język z Daisy Rose, a matka i siostry Charlotte bardzo go polubiły. Byłyby załamane, gdyby się dowiedziały, że zawiódł ich zaufanie.

- Czy twoje obrażenia są bardzo bolesne? - spytała, dotykając czubkiem palca jego rękawa. - Jeśli chcesz wziąć kilka dni wolnego, chętnie ci pozwolę.- Nie, nawet nie czuję, że zostałem zraniony. Nie chcę cię o nic prosić, lecz zaproponować pomoc.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że straciliśmy klientów z powodu tego pożaru. Jestem gotów zrezygnować z części moich poborów, żeby przyczynić się do wyrównania strat.

- Twoja propozycja jest bardzo szlachetna - oznajmiła Charlotte, nie kryjąc zaskoczenia.

- To najmniej, co mogę zrobić. Wiem, że pracuję tu od niedawna, ale wszyscy byliście dla mnie bardzo mili... - Odchrząknął. - Traktowaliście mnie jak członka rodziny.

Uśmiechnęła się. Słyszała te słowa wielokrotnie od innych swoich pracowników. Właśnie to poczucie wspólnoty było gwarancją sprawnego funkcjonowania hotelu. Przynajmniej do niedawna.

- Cieszę się, że tak uważasz.

- Obejmując tę posadę, wcale na to nie liczyłem, ale teraz czuję, że znalazłem swoje miejsce. Dzięki tobie, twojej matce i twoim siostrom zrozumiałem, na czym polega lojalność wobec pracodawcy.

- To dobrze. My...

- Nie miałem nigdy żadnych siostr ani kuzynek. Ale gdybym je miał, chciałbym je ochraniać.

- Ochraniać? - Charlotte przestała się uśmiechać. - Luc, co ty usiłujesz mi powiedzieć?

Od strony recepcji dobiegł dźwięk dzwonka. Stojący obok niej siwowłosa mężczyzna rozglądał się po holu, niecierpliwie bębniąc palcami o blat. Luc zerknął w jego stronę i cicho zaklął. - Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby ochronić was przed kłopotami - oznajmił. - Ale bardzo proszę, żebyście zachowały ostrożność.

Czyżby dowiedział się o nożu wbitym w biurko? - pomyślała z niepokojem.. Starła się zachować ten wybryk w tajemnicy, ale nie mogła wykluczyć przecieku informacji.

- Porozmawiajmy w moim gabinecie - zaproponowała, biorąc do ręki teczkę. - Odnoszę wrażenie, że wiesz coś, o czym ja nie mam pojęcia.

Dzwonek rozległ się po raz drugi. Luc zacisnął zęby tak mocno, że jego policzek zaczął nerwowo drgać.

- Bardzo chciałbym z tobą porozmawiać, ale nie w tej chwili. Muszę załatwić kilka spraw. Przepraszam.

Szybkim krokiem wrócił do recepcji, by zająć się klientem. Mężczyzna natychmiast zalał go potokiem słów. Charlotte stała zbyt daleko by je usłyszeć, ale widząc wyraz twarzy Luca, domyśliła się, że nie były one życzliwe. Ruszyła w kierunku recepcji, by pomóc w negocjacjach i nie dopuścić do utraty kolejnego klienta. W tym momencie zderzyła się z potężnie zbudowanym mężczyzną. Jej teczka upadła na podłogę, a ona musiała unieść rękę, by nie stracić równowagi.

- Czy nic ci się nie stało?

Rozpoznała tego człowieka, zanim jeszcze usłyszała jego głos. I ponownie poczuła zamęt w głowie.

- Jackson... - mruknęła cicho. - Przepraszam. To moja wina. Nie patrzyłam przed siebie.- Nie szkodzi - odparł, chwytając ją za łokieć. - Wchodzisz czy wychodzisz?

- Sama nie wiem. Chciałam pomóc... - wykrztusiła, usiłując zebrać myśli.

Zerknęła w stronę recepcji, ale nie dostrzegła ani Luca, ani mężczyzny, z którym przed chwilą rozmawiał. Doszła więc do wniosku,

że problem został rozwiązany. Ponownie spojrzała na Jacksona. Miał na sobie znowu dzinsową marynarkę, a w wyniku zderzenia jej dłonie spoczęły na jego koszuli. Poczuła jego ciepło i zapach wody po goleniu.

- Charlotte? Szybko opuściła rękę.

- Wygląda na to, że wychodzę.

- A więc wybierasz się do domu?

- Jeśli przed wyjściem nie wpadnę na kolejnego gościa.

- Myślałem, że mieszkasz w hotelu. Czy twoja rodzina nadal zajmuje ten apartament nad barem?

- Podczas ostatniego remontu został on zmniejszony, więc przejęła go moja matka. Ja mam domek na Faubourg Marigny - odparła, wyciągając rękę po teczkę. Ale on, zamiast ją jej podać, wskazał gestem drzwi.

- Ja też wychodzę. Odprowadzę cię do samochodu.

- Dziękuję, ale to nie jest konieczne.

- Nie zamierzam wszczynać z tobą następnej dyskusji na temat bezpieczeństwa. Mac powiedział mi, że obaj z Tyrellem nakłonili ochronę do wzmożenia czujności. Chcę po prostu porozmawiać. Wczoraj nie udało nam się znaleźć wspólnego języka, a ja chciałbym podjąć następną próbę porozumienia, więc jeśli nie jesteś zbyt zajęta... - Urwał. - A może jesteś z kimś umówiona?

Pytanie było tak absurdalne, że z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Nawal pracy już od dawna nie pozwalał jej na jakiegokolwiek życie osobiste. Może właśnie dlatego reaguję tak silnie na kontakty z Jacksonem? - pomyślała ze smutkiem. Może przyczyną jest długotrwała wstrzeźliwość w połączeniu ze stresem i zmęczeniem? Ale przecież

nigdy dotąd żaden mężczyzna nie budził we mnie takich odruchów...

Potrząsnęła głową, podniosła na niego wzrok i ponownie poczuła dreszcz podniecenia. Jackson miał twarz dorosłego mężczyzny, ale zachował niebieskie oczy tak dobrze jej znanego młodego chłopca. Jego niesforne włosy jak zwykle opadały na czoło. Lekki zarost uwydatniał kości policzkowe, nadając mu jeszcze bardziej męski wygląd.

Zaledwie przed chwilą marzyła o kąpieli i łóżku, ale teraz ta perspektywa wydała się jej mniej atrakcyjna.

- Prawdę mówiąc, ja też miałam nadzieję, że uda mi się z tobą porozmawiać - oświadczyła, ruszając w kierunku drzwi. - Rozstaliśmy się wczoraj w atmosferze...

- ...bezsensownej wrogości - dokończył Jackson. Gdy znaleźli się na dworze, przeżyli wstrząs. W porównaniu z ciszą panującą we wnętrzu hotelu, to, co działo się na ulicach, przypominało pandemonium. Cała dzielnica rozbrzmiewała wesołym gwarem. Jakaś kobieta w kolorowej pasiastej sukni hałaśliwie zachwalała niesione na kiju karnawałowe maski. Po bruku tętniły kopyta koni, ciągnących wypełnioną turystami dorożkę. Uliczni artyści otoczeni gromadkami widzów recytowali swe utwory, a głośna muzyka, dobiegająca z co najmniej czterech różnych źródeł, odbijała się od ścian zabytkowych budynków, tworząc kakofonię dźwięków. W powietrzu unosił się zapach smażonych krewetek i rozlanego piwa.

Jackson przymknął oczy i głęboko wciągnął powietrze.

- Wszystko wygląda tak, jak we wspomnieniach.

- Doskonale wiem, co masz na myśli - odrzekła. - Atmosfera naszego karnawału jest niepowtarzalna.

- Cieszę się, że przyjechałem tu właśnie w tym okresie. Ty masz szczęście, bo możesz oglądać to wszystko co rok.

- Może to zabrzmieć niewiarygodnie, ale nie mam zwykle czasu na to, żeby się cieszyć karnawalem. Dla mnie jest to najbardziej pracowity okres roku.

- Tak samo było wtedy, kiedy hotel prowadzili twoi rodzice.

- Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, jak oni ciężko pracują.

Zapamiętałam głównie kolory. I tłumy ludzi, którzy zdawali się być w ciągłym ruchu.- A ja pamiętam muzykę. To miasto jest zawsze pełne muzyki, ale o tej porze roku rozbrzmiewa po prostu feerią dźwięków.

Charlotte przypomniała sobie, że Jackson odziedziczył miłość do muzyki po swej skandalizującej babce. Podobnie jak długie, delikatne palce. I tak jak ona wybrał zawód, w którym mógł je w pełni wykorzystać...

Zdała sobie sprawę, że niesie jej teczkę w lewej ręce, a prawa zwisa bezwładnie wzdłuż jego ciała. Ciemna plama na grzbiecie dłoni była w tym świetle ledwie widoczna, ale kciuk odchylony był od nasady pod niezwykłym kątem.

- Możesz mnie spytać, o co chcesz - rzekł Jackson.

Uniosła wzrok i dostrzegła, że uważnie ją obserwuje.

- Przepraszam. Nie zdawałam sobie sprawy, że patrzę...

- Nic nie szkodzi, Charlie. Nie jestem jeszcze przyzwyczajony do mojej ograniczonej sprawności, więc nie wymagam tego od ciebie. - Przynął się do niej bliżej, by ominąć grupkę idących w przeciwnym kierunku ludzi. - Zawsze byliśmy wobec siebie szczerzy, więc nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy z tego teraz zrezygnować.



- Czy to dobrze, że poruszasz tą ręką tak swobodnie? Czy nie powinieneś nosić jej na temblaku?

- Nie na tym etapie. Zostanie całkowicie unieruchomiona dopiero po operacji.- Czy to... boli?

- Dobrą stroną uszkodzenia nerwów jest to, że niewiele czuję.

- Chciałabym powiedzieć, że mnie to cieszy, ale cała ta sprawa okropnie mnie przygnębia. To jest po prostu niesprawiedliwe.

- Już dawno przestałem liczyć na sprawiedliwość losu. Kiedy podjąłem pracę w międzynarodowej służbie pomocy medycznej, przekonałem się, że jest on nieprzewidywalny.

Wydawało się, że temat jest wyczerpany, więc ruszyli w kierunku parkingu, na którym Charlotte zostawiła auto.

- Czy widziałeś się już ze swoim przyjacielem z Tulane? - spytała Charlotte, a Jackson kiwnął głową.

- Pojutrze ma przeprowadzić kilka dalszych badań, które pomogą ustalić, na ile poprawił się stan mojej ręki.

- Czy ona może odzyskać sprawność bez udziału medycyny?

- Teraz już nie. - Zszedł z drogi dwu roześmianym młodym kobietom, których dekolt zdobiły sznury koralików. - Dlatego zwlekałem z terapią. Kiedy ma się do czynienia z obrażeniami tego typu, trzeba dać nerwom szansę zregenerowania się. Wszystko, co mogło wrócić do normy, już to zrobiło.

- Czy operacja może przywrócić ci pełną sprawność?

- Muszę w to wierzyć, Charlie. - Powiedział te słowa bardzo cicho, ale w jego głosie zabrzmiała powaga, która żywo kontrastowała z wesołością otaczających ich ludzi. - Ale Yves jest za mądry, żeby składać

mi jakiegokolwiek obietnice - ciągnął. - Z jego wstępnej diagnozy wynika, że mój przypadek jest beznadziejny. Zastanawia się czy nie przepisać mi gris-gris.

- Coś mi mówi, że to niezły dziwak.

- To prawda, ale jest też znakomitym lekarzem. Jego osiągnięcia w neurochirurgii laparoskopowej są imponujące.

- Mam nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, Jackson. Chyba wiesz, jak dobrze ci życzę.

- Wiem. I jestem przekonany, że ty również wybrniesz ze swoich kłopotów.

Przechodzili akurat obok jakiegoś nocnego klubu, przez którego otwarte drzwi buchały dźwięki saksofonu. Charlotte milczała, bo Jackson i tak by jej nie usłyszał.

- Chcę cię przeprosić za moje wczorajsze zachowanie - powiedziała, gdy znaleźli się w miejscu, w którym było trochę ciszej. - To niewybaczalne, że jestem tak drażliwa we wszystkich sprawach dotyczących hotelu.

- Jestem zadowolony, że tak się stało. Bo inaczej nadal pewnie próbowałabyś traktować mnie jak obcego.

- Tak czy owak przepraszam - mruknęła, usiłując ukryć zadowolenie, jakie poczuła, słysząc jego słowa. - Ty po prostu usiłowałeś otoczyć mnie przyjazną opieką.- Przestań się tłumaczyć. Mam skłonność do wtykania nosa w nie swoje sprawy. A skoro już o tym mowa, to podejrzewam, że twoja rodzina nie wie, w jak opłakanym stanie są Finanse hotelu.

- Masz rację. Wiedzą, że grozi nam kryzys, ale nie mają pojęcia, jak

bliscy jesteŝmy utraty hotelu. Ukrywałam przed nimi rozmiary katastrofy.

- Ze względu na chorobę Anne?
- Owszem, to był główny powód.
- A poza tym dlatego, że ten hotel znaczy dla ciebie więcej niż dla nich.

Zacisnęła rękę w pięść i uderzyła go lekko w klatkę piersiową.

- Nie mogę uwierzyć w to, że nadal tak dobrze mnie znasz. Nie widzieliŝmy się od dwudziestu lat.

Jackson zatrzymał się pod narożną latarnią, wyciągnął rękę i delikatnie uniósł w górę jej podbródek. Potem spojrzał jej badawczo w oczy.

- Wiem, jaka byłaś, ale nie jestem pewien, czy znam osobę, którą jesteŝ teraz.

- Czy aż tak się zmieniłam?

- Trochę. Kiedy zaczęłaś prostować włosy?

- Włosy? Jestem zaskoczona, że to zauważyłeś. Jackson odgarnął z jej policzka kosmyk.

- Pamiętam, jak zawijałem je w loki na palcach. Pamiętam też, że w twoje włosy wplątał się mój pasek od zegarka.

Roześmiała się niepewnie i dotknęła jego ramienia.

- Och, ja też nigdy tego nie zapomnę. Było bardzo późno, więc bałam się, że jeśli ojciec mnie zobaczy, otrzymam dożywotni zakaz wychodzenia z domu. A ty chciałeś rozbić swój zegarek, żeby nie musiała obcinać włosów.

- Były zbyt piękne, żeby je skracać.

- A ja nie mogłam ci pozwolić na rozbicie zegarka. Wygrałeś go w

konkursie z dziedziny nauk ścisłych.

- Więc w końcu ukryłaś ten zegarek we włosach i poszłaś z nim do łóżka.

- I jak się okazało, postąpiłam słusznie. Nie zostałam ukarana zakazem opuszczania domu, ale następnego ranka nie mogłam wyczesać tego zegarka z moich włosów. Na szczęście pomogła mi Renee.

- Więc kiedy pozbyłaś się tych długich loków?

- Och, dawno. Chyba jeszcze przed rozwodem. Jackson milczał przez chwilę, bo znów znaleźli się

w hałaśliwym tłumie roześmianych ludzi. Odezwał się dopiero wtedy, kiedy byli już blisko parkingu.

- Powinienem pewnie wyrazić ubolewanie, że twój związek z Adrianem nie ułożył się pomyślnie. Ale nie powiem tego, bo nigdy cię nie okłamywałem. Nie lubiłem go.

- Prawie go nie znałeś.

- Nie obracałem się w tych samych kręgach co on, ale znałem ten rodzaj ludzi.

Charlotte potrzebowała aż pięciu długich lat, by przekonać się, jaki jest jej mąż, a upłynęły jeszcze trzy, zanim się z nim rozwiodła.. Upór, z jakim przy nim trwała, nie był podyktowany małżeńską lojalnością, lecz niechęcią do rezygnacji z marzeń i spojrzenia prawdzie w oczy. Ale nigdy z nikim o nim nie rozmawiała. Wydawało jej się to zbyt upokarzające.

- Nie chcę, żeby między nami znów się pogorszyło - powiedziała - ale nie zamierzam dyskutować z tobą o moim byłym mężu.

- Nie ma problemu. Mnie ten temat też nie wydaje się fascynujący. Ale skoro już mówimy o przeszłości, to chcę wyjaśnić pewną sprawę.

- A mianowicie?

- Ja wcale nie nienawidzę tego hotelu.

- Jackson...

- Kiedy twoja rodzina tu mieszkała, spędziłem w nim tyle czasu, że uważałem go za swój drugi dom - Zwolnił kroku. - I właśnie dlatego nie przyszło mu do głowy zatrzymać się gdziekolwiek indziej, kiedy tu wróciłem.

- No cóż, oboje tutaj dorastaliśmy.

- I niezależnie od tego, jak się to wszystko skończyło, mam wiele pięknych wspomnień związanych z tym budynkiem.

Gdy tylko próbowała odgrodzić się od niego jakąś zaporą, on za każdym razem umiał skrócić dzielący ich dystans. Miała ochotę zawołać: Tak, mamy oboje wiele dobrych wspomnień, znacznie więcej niż złych. Ja byłem twoją Charlie, a ty moim najlepszym przyjacielem... i moją pierwszą miłością.

Zdała sobie sprawę, że są już przy wejściu na parking. Widziała stąd budkę Desmonda, który jak zwykle drzemał, siedząc na stołku i opierając głowę o szklaną ściankę. Hałas dobiegający z Dzielnicy Francuskiej był tu mniej słyszalny. Otaczał ich dyskretny mrok.

Przypomniała sobie liczne wieczory, podczas których oboje z Jacksonem spacerowali po tych ulicach, chcąc opóźnić moment rozstania. A potem uświadomiła sobie, że było to przed wieloma laty...

- Gdzie stoi twój samochód?

- Słucham? Och, to ten beżowy sedan pod latarnią.

Ruszyli we wskazanym przez nią kierunku.

- Przypominam sobie, że zawsze marzyłeś o sportowej corvette,

takiej jaką miał twój ojciec.

- Ten jest bardziej praktyczny. A poza tym bardzo mało pali - dodała, choć sama nie wiedziała, dlaczego czuje się w obowiązku bronić słuszności swego wyboru.

Jako nastolatka marzyła o wielu rzeczach, które teraz wydawały jej się niepotrzebne lub nieosiągalne.

- Moje kluczyki są w teczce - oznajmiła, wyciągając rękę w kierunku Jacksona. Zatrzymał się przy tylnym zderzaku, postawił teczkę na ziemi i chwycił ją za ramię.

- Do jasnej cholery, to niemożliwe!

- Co...?

Przyciągnął ją do siebie i mocno objął, a potem zaczął wołać w kierunku budki parkingowego.

- Hej! Obudź się!

Desmond nawet nie drgnął. Charlotte widziała kątem oka jego nieruchomą sylwetkę, ale Jackson trzymał ją tak mocno, że nie mogła odwrócić głowy. Dopiero teraz dostrzegła to, co wcześniej zauważył on.

Wszystkie szyby w jej samochodzie były rozbite. Ich drobne odłamki leżały na tablicy rozdzielczej i siedzeniach jak niebieskawe cekiny. Spod pociętych na strzepy obić foteli wystawały sprężyny i kawałki gąbki. W zagłówek siedzenia kierowcy wbity był długi myśliwski nóż, taki sam, jaki znaleźli na blacie jej biurka.

Z jego trzonka zwisała makabryczna dekoracja: sznur karnawałowych paciorków zawiązany w taki sposób, że przypominał pętlę.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nie wypuszczając Charlotte z objęć, Jackson spojrział jej w oczy. Bijące od niego ciepło dodawało jej otuchy.

- Głęboko oddychaj, Charlie - szepnął jej do ucha. - Nic ci nie będzie.

Nerwowo wciągała powietrze, powstrzymując wybuch histerycznego płaczu. Z niewiadomego powodu paciorki wydawały jej się bardziej przerażające niż nóż. Tylko zwyrodnialec może przekazywać swe groźby za pomocą przedmiotów będących symbolem radosnej zabawy.

- Czy masz przy sobie telefon? - spytał Jackson.

- Jest w kieszeni.

- Połącz się z 911, a ja obejrzę tymczasem tego parkingowego.

Oderwała wzrok od samochodu i zerknęła w kierunku budki.

Siedzący w niej człowiek nadal się nie poruszał.

- Możesz zostawić mnie samą. Dam sobie... Przerwała, bo od strony ulicy dobiegł ją głos matki.

- Charlotte? Jackson? Czy coś się stało?

Przy bramie na parking stał samochód Anne Marchand, a ona szła w ich stronę. Na jej twarzy malował się niepokój. Charlotte wyrwała się z objęć Jacksona. Troska o zdrowie matki wzięła górę nad wszystkimi

innymi uczuciami.

- Mamo! Nic mi nie jest! Proszę cię, nie biegaj!

Lecz Anne Marchand jak zwykle zignorowała radę córki i błyskawicznie pokonała dzielącą je odległość.

- Jechałam właśnie do domu i zobaczyłam, że oboje tu stoicie... O Boże! Co się stało?

- Ktoś rozbił szyby. - Charlotte wzięła matkę pod rękę i spróbowała odwrócić jej uwagę od zdemastowanego auta. - Dzwonię na policję - dodała, wystukując numer.

Jackson spojrział badawczo na twarz Anne, a potem uściśnął jej ramię i cofnął się.

- Nie jest blada i oddycha regularnie, więc nie martw się o jej zdrowie - szepnął do Charlotte.

Anna obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

- Nie zaczynaj traktować mnie w taki sposób, jakbym była inwalidką, Jackson - powiedziała. - Wystarczy, że moja córka uważa mnie za kalekę.

Jackson nie odpowiedział, tylko ruszył w kierunku budki. Zanim do niej wszedł, Charlotte połączyła się z dyspozytorem policyjnego pogotowia. Podając mu adres, obserwowała Jacksona, który usiłował zbudzić parkingowego.

- Co się stało Desmondowi? - spytała Anna. Charlotte dostrzegła na głowie młodego człowieka

krwawą plamę, poprosiła więc dyspozytora, by przysłał nie tylko radiowóz, lecz również pogotowie. Potem wyłączyła telefon i położyła dłoń na ramionach matki.



- Nie masz tu nic do roboty, mamó - rzekła łagodnym tonem. -  
Najlepiej będzie, jeśli pojedziesz do domu.

- Nic mi nie jest. Nie wiem, po co robisz wokół mnie tyle szumu. -  
Zerknęła ponownie w stronę auta, a potem zakryła usta dłonią. - Czy to  
jest nóż?

- Mamó...

- *Mon Dieu!* - Uwolniła się z uścisku córki i zajrzała do wnętrza  
auta. - Koraliki? Kto i po co mógłby coś takiego zrobić?

Charlotte powstrzymała jęk rozpaczy. Nie chciała przysparzać matce  
zmartwień, więc zdobyła się na spokojny ton.

- Sama wiesz, co się dzieje podczas karnawału. Ludzie piją za dużo  
i robią różne głupstwa.

- Ale... to jest przerażające.

- Zaraz zajmie się tym policja.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa przez dobiegające z ulicy dźwięki  
muzyki przebił się sygnał syreny policyjnej. Charlotte zauważyła, że  
Jackson przyciska do czoła Desmonda coś, co wygląda jak chustka do  
nosa. Stwierdziła też z ulgą, że młody człowiek zaczyna się poruszać.

- To okropne! - rzekła Anne. - Wiem, że to miasto ma problemy, ale  
ostatnio nasza rodzina ma ich wyjątkowo dużo.

Charlotte usiłowała zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale  
słowa matki zabrzmiały w jej uszach jak sygnał alarmowy. Zaledwie  
poprzedniego dnia podobną uwagę wygłosił detektyw Fergusson. Ilość  
problemów, jakie przeżywał hotel, była z punktu widzenia statystyki  
nieracjonalnie wysoka. Ten ostatni akt wandalizmu był wyraźnie  
zaplanowany i skierowany osobiście przeciwko niej, podobnie zresztą jak

poprzedni. Ale dawne kłopoty mogły być wynikiem pechowego zbiegu okoliczności.

Spojrzała w głąb ulicy. Jeszcze przed chwilą panujący tu mrok wydawał się jej nastrojowy i romantyczny. Teraz czuła się zagrożona. Miała wrażenie, że w ciemności kryje się ktoś, kto bacznie ją obserwuje...

Pochyliła się, by podnieść teczkę.

- Zaraz odwiozę cię do domu, mamó. Naprawdę nie masz tu nic do roboty. Och...!

Zamek teczki musiał zostać uszkodzony, kiedy Jackson upuścił ją na ziemię. Gdy tylko Charlotte ją podniosła, teczka otworzyła się szeroko, a papiery wypadły na trotuar. Zaczęła je odruchowo zbierać, gdy nagle dostrzegła wśród nich długą białą kopertę, na której czarnym atramentem było napisane imię i nazwisko jej matki.

Poczuła bolesny ucisk w żołądku. Wiedziała dobrze, że nie włożyła tej koperty do swej teczki. Poprzednio widziała ją ubiegłego ranka, w ręku Dana Corbina.

Mike Blount rozsiadł się wygodnie w fotelu i zabębnił palcami po jego poręczy. Przez przyciemnione okna limuzyny wdarły się migające światła wyprzedzającego ich z lewej strony radiowozu. Pancerna obudowa samochodu zagłuszyła w znacznej części ryk syreny, ale jej dźwięk i tak przyprawił go o nerwowy dreszcz.

Richard Corbin wychylił się, by nie stracić z oczu policyjnego samochodu, który skręcił z ulicy w kierunku parkingu. Siedział obok swego brata na tylnym siedzeniu i miarowo stukał podeszwą buta o podłogę. Udział w napadzie na samochód Charlotte Marchand podniecił go do tego stopnia, że do tej pory nie mógł usiedzieć bez ruchu. Dan

natomiast zachowywał całkowity spokój.

- Czy jesteś pewien, że dostarczyłeś ten list, Luc? Mike odwrócił głowę w kierunku siedzącego obok

niego mężczyzny i czekał na jego odpowiedź.

- Umowa sprzedaży jest w teczce Charlotte - odparł Luc Carter.

- Doskonale - mruknął Mike. - Jeśli do tej pory nie wiedzą, co jest grane, to z pewnością niedługo zrozumieją.

Luc wskazał ruchem głowy oddalający się radiowóz.

- Skoro siostry i matka będą w stanie dodać dwa do dwóch, to policja też może wpaść na nasz trop.

- Nie martw się o policję - odparł Mike. - Ona nie będzie brała udziału w tej rozgrywce.

- Musisz zachować spokój, Luc - dodał Dan. - Gliniarze nie mają w ręku nic, co mogłoby nas powiązać z problemami pań Marchand. Richard przestał stukać butem o podłogę i odwrócił się do Cartera.

- Módl się, żeby ci policjanci nie zaczęli węszyć w hotelu, bo jeśli to zrobią, wpadniesz im w oko jako pierwszy.

Policzek Luca Cartera zaczął nerwowo drgać.

- Wolałbym, żebyś przestał się tam pokazywać. Siostry nie powinny widzieć nas razem, bo zaczną coś podejrzewać.

- No właśnie - warknął Mike. - Podobno stałeś się tam niezastąpiony. Marchandowie nie zatrudnialiby człowieka, który nie byłby im do niczego potrzebny. Ja też nie.

- Jaki będzie nasz następny krok? - spytał Luc. Mike spojrzał nad jego ramieniem w kierunku

miejsca, w którym lśniły majestatycznie światła Hotelu Marchand.

Słusznie uchodził on za prawdziwą perłę Dzielnicy Francuskiej. Jego opinia była równie imponująca jak jego wygląd. Mike wiedział, że gdy zostanie jego właścicielem, zamieni go w prawdziwą kopalnię złota. Nie tylko otworzy w nim kasyno, lecz sprowadzi również luksusowe prostytutki. Nie będzie już musiał ukrywać swych interesów pod szyldem firmy produkującej syrop. Zostanie bogatym i wpływowym członkiem nowo-orleańskiej elity.

- Następny krok? - powtórzył. - To będzie zależało od tego, jak szybko właścicielki zaakceptują ofertę braci Corbin.

- Będą żałowały, że zwlekały tak długo - mruknął drwiącym tonem Richard. - Proponowana im cena jest już znacznie niższa niż poprzednio.

- Zanim zorganizujemy następny numer, musicie im dać czas do namysłu - wtrącił Luc. - One alergicznie reagują na próby zastraszenia.

- Czy chcesz mnie uczyć, jak mam prowadzić interesy, Luc? - spytał Mike niebezpiecznie łagodnym tonem.

- Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy.

- I słusznie. - Mike otworzył osłonę tablicy wbudowanej w poręcz jego fotela i nacisnął jakiś guzik, odblokowując drzwi, obok których siedział Luc. - Wracaj do pracy, zanim ktoś zauważy twoją nieobecność.

- Ale...

- Skontaktujemy się z tobą, kiedy będziesz nam potrzebny.

Luc otworzył drzwi. Mike obserwował go, dopóki nie zniknął w drzwiach hotelu, a potem kazał kierowcy ruszyć.

Być może panie Marchand są na tyle głupie, by ufać Carterowi, ale on, Mike, nie zamierza popełniać tego samego błędu. Postanowił jednak chwilowo pozostawić go na miejscu, bo jako recepcjonista mający dostęp

do tajemnic hotelu może jeszcze być przydatny. Ten idiota Richard ma rację - jeśli następna faza operacji nie przebiegnie zgodnie z planem, to właśnie Carter zostanie kozłem ofiarnym.

Charlotte owinęła ramiona pledem i sięgnęła po filiżankę z kawą. Znane jej dobrze odgłosy dowodziły, że hotel budzi się do życia. W okno saloniku jej matki uderzały ciężkie krople porannego deszczu, nadając scenerii ponadczasowy wymiar. Choć Anne była jedyną osobą mieszkającą obecnie w hotelu, Charlotte czuła wyraźnie obecność pozostałych członków rodziny.

Sącząc kawę, oglądała fotografie, które matka umieściła w różnych kątach pokoju. Babka Celeste miała dumnie uniesiony podbródek i mimo swych osiemdziesięciu czterech lat wyglądała jak dystygowana przedstawicielka panującej rodziny. Na małym stoliku stało zdjęcie Anne i jej brata Pierre'a, wuja, którego Charlotte nigdy nie poznała. Jako młody człowiek był lekkomyślnym rozrabiaką, więc bezkompromisowa Celeste wygnała go z domu w dniu jego osiemnastych urodzin. Mimo to Anne nadal go kochała i nie traciła nadziei, że pewnego dnia ich drogi się skrzyżują.

Podeszła do kominka, znad którego uśmiechał się do niej serdecznie jej ojciec. Remy wyciągał ręce do raczkującej po dywanie małej Melanie. Charlotte spojrzała na następną fotografię i niemal usłyszała śmiech Sylvie, która biegała po dziedzińcu, goniąc puszczone przez dziadka bańki mydlane. Potem patrzyła przez chwilę na zdjęcie, na którym stała obok matki w czarnym birecie, otrzymanym w dniu ukończenia studiów. Jak powiedział Jackson, w tych murach utrwalone są nie tylko rodzinne wspomnienia, lecz i gorące uczucia. I całe jej życie...Podejrzenia, które

zrodziły się w niej na parkingu, przybrały w ciągu nocy formę głębokiego przekonania. Była teraz pewna, że ma do czynienia ze spiskiem mającym na celu przejęcie hotelu. Napad na jej matkę nie mógł być przypadkiem. Podobnie jak wypadek, którego ofiarą padła miesiąc wcześniej potrącona przez samochód Melanie. I niezależnie od tego, co twierdzi porucznik Fergusson, przyczyną pożaru nie była wadliwa instalacja.

Rozważyła w ciągu nocy wszystkie wydarzenia, które przyczyniły się do zmniejszenia dochodów. Kiedy traktowało się je jako pojedyncze epizody, każdy z nich dawał się racjonalnie wytłumaczyć. Ale gdy zaczęła je układać w logiczną całość, dostrzegła przerażający związek przyczynowy, który nie mógł być dziełem przypadku.

Odstawiła filiżankę na stół i raz jeszcze obejrzała fotografie. Ukrywała przed matką i siostrami prawdziwy stan rodzinnych finansów, ale teraz doszła do wniosku, że musi ujawnić przed nimi obraz sytuacji, gdyż niewiedza może być dla nich niebezpieczna.

Zadzwoił telefon. Charlotte podeszła do krzesła, na którym powiesiła żakiet, i wyjęła z kieszeni komórkę.

- Cześć. Czy cię obudziłem?

Spokojny jak zawsze głos Jacksona przywrócił jej przynajmniej częściowo poczucie bezpieczeństwa.

- Nie, piję już drugą kawę.

- Jak się miewa Anne?

Charlotte zerknęła w głąb korytarza, by przekonać się, że drzwi do sypialni matki są nadal zamknięte, a potem usiadła na kanapie, na której spędziła noc, i ponownie owinęła się pledem.

- Doskonale. Jest wściekła, że troszczę się o jej zdrowie, ale chyba

zadowolona z mojego towarzystwa.

- Czy podzieliłaś się z nią swymi podejrzeniami? Charlotte przycisnęła wolną dłoń do skroni.

- Ty nie umiesz niczego owijać w bawełnę, co?

- Zawsze lubiłem zmierzać prosto do celu.

- To prawda. Owszem, mam zamiar powiedzieć jej prawdę. Jej i moim siostram. Musimy wspólnie wymyślić jakiś sposób rozwiązania tego problemu.

- Czy chcesz usłyszeć, co ja o tym myślę?

- Przecież dzwoniś właśnie po to, prawda? Wybuch jego pogodnego śmiechu rozgrzał ją bardziej niż wypita przed chwilą kawa.

- Dzwonię, bo nie chciałem ryzykować wizyty. Nigdy nie byłaś o tej porze przyjaźnie nastawiona do świata.

- A ty zawsze byłeś irytująco pogodny. Nie masz pojęcia, ile razy miałam ochotę walnąć cię w głowę szkolnym podręcznikiem.

- A jak myślisz, dlaczego nosiłem twoją teczkę?

- Nawiasem mówiąc, skąd masz numer mojej komórki?

- Dała mi ją Melanie, kiedy wpadłem rano do kuchni.

- Co tam robiłeś?

- Kradłem ciastka. - Wydał odgłos imitujący przełykanie. - Nie są tak dobre jak te, które wypiekał twój ojciec, ale niewiele im brakuje. Czy chcesz, żebym ci je przyniósł?

Charlotte położyła się na kanapie.

- Miałeś mi powiedzieć, co o tym wszystkim myślisz.

- Aha. - Jego głos stał się poważny. - Wiem, że niepokoi cię stan serca Anne. Chyba będzie ci łatwiej opowiedzieć jej o groźbach

Corbinów, jeśli będę przy tym obecny, żeby się nią w razie czego zaopiekować.

- Jackson...

- Wiem, że hotel to nie moja sprawa, ale przecież byłem przy tobie, kiedy odkryłaś ślady działalności Corbinów w gabinecie i w samochodzie. Oboje rozmawialiśmy z policją, więc tak czy owak jestem już w to zamieszany.

- Tak, ale...

- Charlie, nie odrzucaj mojej pomocy.

Może była zmęczona, a może dosłyszała w głosie tego dojrzałego mężczyzny echo głosu chłopca, który był niegdyś jej najlepszym przyjacielem. Tak czy owak, ciche słowa Jacksona przedarły się przez mur jej wewnętrznych oporów.

Duma budziła w niej chęć odrzucenia jego oferty, ale zmusiła się do logicznego myślenia. Jackson i tak jest już wplątany w całą aferę, a obecność lekarza podczas czekającej ją rozmowy z rodziną jest niewątpliwie wskazana. Zdawała też sobie sprawę, że jeśli pragnie zachować hotel, musi skorzystać z pomocy każdego, kto zechce ją jej okazać.

- Nie mogę stracić hotelu, Jackson.

- Dobrze to rozumiem.

W ustach innego człowieka zdanie to zabrzmiałoby jak banał. Ale Charlotte wiedziała, że Jackson naprawdę potrafi wczuć się w jej sytuację i pojąć motywy jej działania.

- Możemy zamknąć okiennice i zabarykadować się w hotelu, ale wtedy na pewno czeka nas bankructwo. Musimy wykorzystać ostatnie dni karnawału i odnieść wielki sukces finansowy.



- To prawda.
- A ja nie dam się zastraszyć tym bandziorom.
- Jestem tego pewien.
- Ale nie mam prawa żądać od mojej rodziny, żeby podejmowała ryzyko, na które się zdecydowałam.

- Jeśli twoja rodzina nie zmieniła się, to nie będziesz musiała jej o to prosić.

- To jest oburzające! - Anne Marchand stuknęła końcem palca w ofertę kupna. - Ci ludzie to po prostu złodzieje!

Wszystkie córki natychmiast zareagowały na jej wybuch. Sylvie szeptała słowa pociechy, Melanie podała matce szklanek wody, Renee delikatnie poklepała ją po ręce, a Charlotte wzięła dokument i schowała go do teczki.

Anne spojrzała kolejno na swe córki. W jej wzroku malowała się zmieszana z niepokojem miłość.

Jackson odsunął od ściany krzesło, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem. Zgodnie z jego oczekiwaniami, Anne trzymała się doskonale i nic nie wskazywało na to, że może potrzebować pomocy lekarskiej. Mimo ukończonych sześćdziesięciu dwóch lat była nadal energiczna. Jackson złożył ręce na oparciu krzesła i obserwował rozgrywkę między nią a córkami, z których każda też odznaczała się silną osobowością.

Zawsze podziwiał Anne Marchand. Choć Celeste traktowała go wręcz wrogo, Anne zawsze okazywała mu życzliwość. Nigdy nie wspomniała o pochodzeniu jego matki ani o ubóstwie ojca. Podczas gdy jego rodzice nie mogli sobie pozwolić na bywanie w Hotelu Marchand, on, dzięki jej dobroci, czuł się w nim jak u siebie w domu.

Prywatna jadalnia, w której Charlotte zorganizowała to spotkanie, mieściła się na tyłach hotelowej restauracji. Choć jej matka i siostry były początkowo zdziwione obecnością Jacksona, zaakceptowały jego udział w rodzinnej konferencji, gdy tylko usłyszały o wypadkach, do których doszło w ciągu minionych dwóch dni. One zresztą również nie przyszły same - przyprowadziły swoich narzeczonych.

Kiedy uczestniczki dyskusji zaczęły rozważać różne metody mogące uchronić hotel przed Corbinami, Jackson przyjrzał się uważnie obecnym w pokoju mężczyznom. Poznał już podczas swej wizyty w kuchni narzeczonego Melanie, Roberta LeSoeura. Zaskoczył go natomiast wybraniec Sylvie, Jefferson Lambert. Wytworny i sztywny prawnik z Nowej Anglii wyglądał na ostatniego człowieka, w jakim mogłaby się zakochać tak niekonwencjonalna kobieta jak Sylvie Marchand. Trzeciego z mężczyzn, ukochanego Renee, nie trzeba było nikomu przedstawiać. Peter Traynor był znanym hollywoodzkim reżyserem, a ponieważ wyglądał jak gwiazdor filmowy, gazety często zamieszczały jego zdjęcia. Jackson rozpoznał go, gdy tylko wszedł do jadalni. Choć wszyscy trzej mężczyźni bardzo się od siebie różnili, bijąca z ich twarzy troska sprawiła, że wyglądali niemal identycznie.

- Dlaczego policja nie może ich aresztować? - zapytał Pete. -  
Przecież złamali prawo.

- Jackson i ja rozmawialiśmy o Corbinach z porucznikiem Fergussonem w środę i ponownie wczoraj - odparła Charlotte. - Twierdzi, że już ich przesłuchał, ale nie ma podstaw do aresztowania, bo nie dysponuje dowodami przestępstwa. Dopóki ich nie zdobędzie, nie może nic zrobić.

- Na tym zawsze polega problem z policją - wtrącił Jefferson, wypełniając swym donośnym głosem małą salkę. - Musi ona niejako z definicji przestrzegać prawa, które nie ogranicza swobody ruchów ściganych przez nią przestępców.

- Fergusson używa tego argumentu jako pretekstu do zachowania bierności - oznajmił Jackson. - Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który byłby gotów wkładać duszę w prowadzone przez siebie śledztwo.

- Czy mam przez to rozumieć, że nie zrobił na tobie dobrego wrażenia? - spytał Robert. - Jak na policjanta, wydaje się zbyt nonszalancki. Mam wrażenie, że ogranicza się do rutynowych czynności.

- Tak czy owak przynajmniej wiemy, z czym mamy do czynienia - zauważyła Renee. - To daje nam przewagę.

- Znamy też ramy czasowe, które wyznaczyli Corbinowie - dodała Charlotte. - Ich oferta traci ważność w chwili zakończenia karnawału.

Jackson zerknął na teczkę, do której schowała dokument.

- To interesujące, że wybrali właśnie ostatki. Jeśli przejęcie hotelu jest dla nich tak ważne, to dlaczego wyznaczyli nieodległą datę?

- Zapewne uważają, że jeśli będziemy mieli udany sezon, ich szanse na kupno hotelu zmaleją do zera - odparła Charlotte.

- A więc wszystko powinno szybko się rozstrzygnąć.

Charlotte pochyliła głowę.

- Owszem, za kilka dni będziemy znali wynik tej batalii. Mac i ja zamierzamy utrzymywać ochronę w stanie podwyższonej gotowości, żeby zminimalizować potencjalne zagrożenie dla gości. Ale chyba Corbinowie zmienili taktykę. Ich ostatnie działania wymierzone były przeciwko mnie, a nie przeciwko hotelowi.

- Widocznie uznali, że łatwiej osiągną cel, nękając osoby zarządzające hotelem - mruknął Jefferson.

- Ale te noże... - Sylvie zadrżała tak gwałtownie, że jej bransoletki głośno zadzwoniły. - Charlotte, jestem przerażona. Jeśli odważyli się zaatakować twój gabinet i samochód, to co będzie dalej? Głowa konia w twoim łóżku? Nie chciałabym dotknąć Renee ani Pete'a, ale to wszystko przypomina mi kiepski film o mafii.

- Tyle że rozgrywa się w realnym życiu - zauważyła Charlotte. - Nie sądziłam, że Corbinowie mogą posunąć się aż tak daleko, więc za późno skojarzyłam ich propozycję z naszymi problemami. Przepraszam was za to i biorę na siebie całą odpowiedzialność. Mam zamiar nadal pełnić swoje obowiązki, ale nie wymagam, żebyście...

- Charlotte, posuwasz się za daleko! - przerwała jej ostrym tonem matka. - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie musisz nas dźwigać na swoich barkach?

- Mamo...

- To prawda - wtrąciła Melanie. - Ty ciągle grasz rolę najstarszej siostry, a przecież ten problem dotyczy nas wszystkich.

- Oczywiście - poparła ją Renee. - To Corbinowie popełnili błąd, a nie ty. Chcieli nas zastraszyć, ale wybrali sobie niewłaściwy cel.

Sylvie pochyliła się i uścisnęła dłoń Charlotte.

- Nie jesteś sama, *cherie*.

- Nie ustąpimy tym draniom! - zawołała Melanie, kładąc rękę na ich dłoniach. Po chwili to samo zrobiła Renee.

- W jedności siła - oznajmiła energicznym tonem. - W czwórkę będziemy niepokonane. - W piątkę - poprawiła ją matka. - Nie zapomi-

najcie, że oficjalnie nadal jestem właścicielką tego hotelu. W żadnym wypadku nie dopuszczę, żeby to, co zbudował ojciec, wpadło w ręce tych dwóch świń, co to udają biznesmenów.

Oczy Charlotte rozbłysły radością.

- Zanim się do czegokolwiek zobowiązecie, muszę wam coś powiedzieć. Porucznik Fergusson oznajmił mi, że policja nie może nam zapewnić żadnej ochrony.

- A ja i tak nie polegałbym na Fergussonie - oświadczył Pete, podchodząc do narzeczonej i kładąc dłonie na jej ramionach. - Jak słusznie powiedziała Renee, w jedności siła. I dlatego nie spuszczę cię z oka aż do końca karnawału.

Jefferson głośno odchrząknął.

- Podzielam opinię Pete'a na temat obowiązków mężczyzny i będę strzegł mojej kochanej Sylvie oraz Daisy Rose, ale potrzebujemy czegoś więcej. Nikt z nas nie został przeszkolony w zawodzie ochroniarza.

- Mac! - wtrącił Robert. - On może nam doradzić, w jaki sposób zmniejszyć ryzyko.

- To brzmi sensownie - przyznała Anne. - Wiem, że William zrobiłby wszystko, żeby mnie ochronić, gdyby tu był, ale ponieważ go nie ma, przeprowadzę się do *grand-mere*. Charlotte, ty też. Jej dom jest dobrze zabezpieczony przed intruzami. Możemy polecić któremuś z ochroniarzy, żeby towarzyszył ci w ciągu dnia. - Mój dom jest bezpieczny - odparła Charlotte. - Ochrona musi skupić całą uwagę na swoich obowiązkach wobec hotelu i jego gości, a ja nie chcę uszczuplać ich składu tylko dlatego, że jestem samotna. Corbinowie chcą nas zastraszyć, ale nie posuną się do aktów przemocy, więc zamierzam zachować czujność...

- Znowu popełniasz ten sam błąd - przerwała jej Melanie. -

Troszczysz się o wszystkich, ale nie o siebie.

Jackson zauważył, że Charlotte unosi wojowniczo głowę, więc postanowił nie dopuścić do ostrej wymiany zdań.

- Ja mogę zamieszkać u ciebie, Charlotte. Zapadła wymowna cisza. Siostry Charlotte wymieniły spojrzenia, a ona wstała i wzięła ze stołu teczkę.

- Dziękuję ci, Jackson - powiedziała oschłym tonem. - Zdaję sobie sprawę, że chcesz nam pomóc, ale nie mamy prawa nadużywać twojej życzliwości.

- To nie byłoby żadne nadużycie. Proponowane przeze mnie rozwiązanie jest racjonalne. - Chwycił za poręcz krzesła i wstał. - Wiem, jak działają tacy brutale jak ci bracia. Obserwowałem te metody w wielu rządzonych przez skorumpowanych dyktatorów krajach. Wybierają zawsze łatwe cele, więc twoja matka i siostry mają rację: nie możesz wyglądać na osobę pozbawioną opieki.

- Mój dom jest mały.

- To mi nie przeszkadza. Sypiałem już w barakach z gliny.- Musiałbyś towarzyszyć mi stale w godzinach pracy - powiedziała, przyciskając do piersi teczkę.

- Znam rozkład hotelu tak dobrze, jak jego pracownicy. Mógłbym bez trudu mieć cię stale na oku.

- On ma słuszość, *cherie*. - Anne splotła dłonie i spojrzała badawczo na Charlotte i Jacksona. - A ponieważ obserwowałam cię uważnie, wiem, że od chwili powrotu do miasta i tak nie spuszczałeś oka z mojej córki.

Jej słowa nieco go zaskoczyły. Jego propozycja miała mieć charakter pragmatyczny, ale ona nadała jej charakter... bardziej osobisty.

Renee uniosła brwi i spojrzała na siostry. Melanie uśmiechnęła się, a Sylvie mrugnęła do niej porozumiewawczo. Jackson z trudem powstrzymał się od głośnego jęku. Znał dobrze tego rodzaju reakcje. On i Charlotte zostali potraktowani w taki sam sposób lata temu, kiedy przyłapano ich na całowaniu się pod schodami.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Charlotte nigdy dotąd nie uważała, że jej dom jest mały - mógłby się co prawda zmieścić w jednym narożniku rezydencji matki - ale całkowicie zaspokajał jej potrzeby. Uważała go również za dobrą inwestycję, gdyż mieścił się na obrzeżu Dzielnicy Francuskiej i jego wartość rosła. Stał w cieniu wielkiego dębu i przypominał domek z piernika, więc już na pierwszy rzut oka wydawał się przytulny. Dekorując jego wnętrze, Charlotte poszła w ślady matki: kupowała w sklepach z antykami i na aukcjach stare meble, związane z bogatą historią regionu. Zwracała uwagę nie na ilość, lecz na jakość, więc dom wcale nie wydawał się zatłoczony.

Dopóki nie zjawił się w nim Jackson Bailey. Jego osoba natychmiast wypełniła całe wnętrze. Charlotte obawiała się, że nie będzie pasował do politurowanych mebli, kremowych obić i kwiecistych tapet, ale on natychmiast poczuł się jak u siebie w domu. Można było odnieść wrażenie, że kobiecy wystrój wnętrza czekał na mężczyznę, którego obecność zrównoważy jego charakter.

- Ten dom doskonale oddaje twoją osobowość, Charlotte - powiedział, stawiając swoją torbę przy kanapie.

- Dziękuję. - Zapaliła lampę stojącą obok regału z książkami, mając nadzieję, że rozproszy intymną atmosferę. Ale żółtawe światło wydobyło z mroku rysy twarzy Jacksona, uświadamiając jej po raz kolejny, że jest on bardzo przystojnym mężczyzną. - Na szczęście nasza dzielnica położona jest dość wysoko, więc uniknęliśmy skutków powodzi - dodała, chcąc sprowadzić rozmowę na jakiś neutralny temat.

- Od jak dawna tu mieszkasz? Podeszła do okna i zaciągnęła zasłony.

- Od niemal dwunastu lat.

- To mi wiele tłumaczy.

- Na przykład co?

- Ten dom nie spodobałby się Adrianowi. Powiedziała mu już, że nie życzy sobie rozmów

o swoim małżeństwie, ale on nie mówił o nim, tylko o domu. I miał rację. Adrian uważałby, że pobyt w tym malowniczym, ale małym dworku uwłacza jego godności. Zmusił ją do zamieszkania w wielkim, martwym jak mauzoleum domu, oddalonym o jedną przecznicę od rezydencji jej matki.

Jackson odchylił głowę i oglądał namalowany akwarelą pejzaż nad stolikiem. Niesforny pukiel włosów, który nigdy nie chciał pozostać na swoim miejscu, zasłaniał częściowo jego czoło. Miał dziś na sobie wyblakłe džinsy i cienki błękitny sweter, podkreślający mięśnie jego ramion.

Adrian dbał o wygląd i nawet w lecie rzadko pojawiał się w



miejscach publicznych bez garnituru i krawata. Miał regularne rysy, olśniewający uśmiech i pełne wyrazu piwne oczy, więc wyglądał jak dżentelmen z Południa. Wszyscy zgodnie mówili, że ona i jej mąż tworzą czarującą parę.

Ale nawet najbardziej wytwornie ubrany Adrian nie wytrzymał porównania z Jacksonem, choć ten ostatni miał zmierzwiłone włosy i nosił stare dżinsy.

Charlotte potarła palcami skronie. Jak mogła w takim momencie myśleć o wyglądzie Jacksona? Czyżby chciała ułatwić zadanie siostrom? Od chwili zakończenia rodzinnej narady zachowywały się tak, jakby znowu były w szkole; wymieniały znaczące uśmiechy i szeptały coś za jej plecami.

Godząc się na to, żeby Jackson zamieszkał w jej domu, kierowała się logiką i rozsądkiem. Jej decyzja nie miała nic wspólnego z tym, że kiedyś była w nim zakochana. Uważała go po prostu za starego przyjaciela, który chce jej pomóc. Kryzys dotyczący hotelu był dla niej w tym momencie najważniejszy, a możliwość wskrzeszenia dawnego romansu w ogóle nie przychodziła jej do głowy.

- Czy coś się stało? - spytał Jackson. - Wyglądasz tak, jakbyś miała migrenę.

Potrząsnęła głową i poprawiła zasłony, a potem podeszła do półki, na której stała fotografia Daisy Rose.

- Po prostu myślałam o rodzinie. One mają dobre chęci, ale chyba sam rozumiesz, że możesz zmienić zdanie i nie wprowadzać się do mojego domu.- Dlaczego miałbym zmieniać zdanie?

- Wiem, że masz dość problemów. To bardzo szlachetnie, że chcesz

mi pomóc, ale...

- Jeśli masz na myśli ten problem - przerwał jej, unosząc w górę rękę - to nie mogę zrobić nic, dopóki Yves nie postawi diagnozy. To ty wyświadczasz mi przysługę, a nie ja tobie.

- Jak mam to rozumieć?

- Dzięki tobie będę miał zajęcie. Bierne oczekiwanie to koszmar.

O tym nie pomyślała. Powinna się była domyślić, że taki człowiek jak on poszuka jakiegoś ujścia dla rozsadzającej go energii. Dlatego tak chętnie został jej ochroniarzem. Zawsze pomagał ludziom, ale tym razem chodzi mu przede wszystkim o to, by oderwać myśli od własnych spraw.

W tej sytuacji zastanawianie się nad poprawnością tego układu byłoby dowodem małostkowości.

- Dziękuję ci, Jackson - powiedziała. - Jestem wdzięczna za pomoc. Chętnie się za to jakoś zrewanżuję.

- Jeśli chcesz się mnie pozbyć, bo uważasz, że na nic ci się przydam z powodu mojej ręki...

- Ależ skąd - przerwała mu pośpiesznie. - Taka myśl w ogóle nie przyszła mi do głowy.

- ...to chcę ci powiedzieć, że niesprawna jest tylko moja prawa ręka. Reszta nadal funkcjonuje normalnie. Tak czy owak, jeśli stanie się coś złego, wezwę policję.

- Powiedziałam ci już, że nie o to chodzi. Ja tylko nie chciałam, żeby ktokolwiek źle zrozumiał całą sytuację.

- Ach, teraz już pojmuję. - Na jego twarzy pojawił się przewrotny uśmiech. - Chodzi o to, jak patrzyły na nas twoje siostry...

- Więc coś zauważyłeś?

- Trudno byłoby to przeoczyć. Były subtelne jak słoń w składzie z porcelaną.

- Czy to cię nie irytuje?

- Raczej wzrusza. Przypomniałem sobie dawne czasy.

- Czyżby już wtedy były nieznośne?

- Czasami. Może raczej przesadnie zainteresowane naszą znajomością.

- Wyjaśnię im, że jesteśmy przyjaciółmi.

- Zgoda, jeśli tak chcesz to nazwać.

Nawet gdyby wiedziała, co odpowiedzieć, nie zdążyłaby tego zrobić, bo w tym momencie rozległ się sygnał telefonu. Wyjęła więc z kieszeni aparat, przyłożyła go do ucha i usłyszała ochryply męski głos.

- Dzień dobry, panno Marchand.

- Kto mówi?

Jackson stanął obok niej i odsunął słuchawkę od jej ucha na tyle, by śledzić przebieg rozmowy.

- Archie Manning. Z firmy ubezpieczeniowej. Odetchnęła z ulgą, bo w pierwszej chwili wydawało jej się, że rozmawia z nią Richard Corbin.

- Witam, panie Manning. Jak się pan miewa?

- Jak pani słyszy, jestem trochę zaziębiony, ale chyba z tego wyjdę. Dzwonię, bo rozpatrzyliśmy już pani wniosek o wypłatę odszkodowania.

Charlotte zerknęła na Jacksona, który obejmował palcami przegub jej ręki. Chciała się wyzwolić z jego uścisku, ale on trzymał ją bardzo mocno.

- Który wniosek ma pan na myśli, panie Manning? - zapytała. -

Złożyliśmy dwa: jeden dotyczył zniszczonego samochodu, a drugi pożaru w hotelu.

- Nie zdążyłem jeszcze rozpatrzyć sprawy pani samochodu, ale mam złe wieści w tej drugiej sprawie. Dostałem właśnie oficjalny protokół dotyczący pożaru. Jego przyczyną była wadliwa instalacja elektryczna.

- Porucznik Fergusson powiedział mi, że dochodzenie nie jest jeszcze zakończone.

- Teraz już jest. Bardzo mi przykro, panno Marchand. Zgodnie z warunkami ubezpieczenia nie możemy wypłacić odszkodowania, jeśli przyczyną szkody są zaniedbania ze strony właściciela polisy.

Charlotte zmarszczyła brwi. Argumenty Manninga wydawały jej się bezsensowne. Była przekonana, że ogień podłożyli bracia Corbin.

- Znam dobrze warunki ubezpieczenia. Niedbalstwo nie wchodzi w rachubę. Zlecaliśmy wszystkie remonty koncesjonowanym firmom. I przestrzegaliśmy wszystkich zasad ostrożności.

- Przykro mi - powtórzył jej rozmówca. - Protokół nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nic nie mogę zrobić.

Charlotte usiłowała zachować spokój, ale czuła skurcz paniki. Sprzątanie po pożarze pochłonęło jej ostatnie rezerwy finansowe.

- Łączna suma wpłat z tytułu składek ubezpieczeniowych, jakie wnieśliśmy w ciągu kilku ostatnich kilku lat, znacznie przekracza kwotę odszkodowania. Jestem pewna, że w drodze negocjacji możemy osiągnąć jakiś kompromis.

- Będzie pani musiała negocjować z wykonawcami remontu. Do widzenia pani.

Połączenie zostało przerwane. Jackson puścił jej rękę i odsunął ucho od słuchawki.

- Dziwna sprawa... - mruknął.

- To coś więcej niż dziwna sprawa, to katastrofa - oznajmiła. - Katastrofa, której hotel może nie przetrwać.

- Mam na myśli ten protokół policyjny. Dlaczego Fergusson sporządził go tak szybko, skoro nie wkłada wiele wysiłku w żadne inne działania?

- Niestety, podzielam twoją opinię na temat jego kompetencji - przyznała, żałując po raz kolejny, że sprawa nie trafiła w ręce bardziej doświadczonego policjanta.

- Albo jest zbyt leniwy, żeby przeprowadzić dokładne śledztwo, albo celowo je skrócić.

- Zażądam od niego wyjaśnień - oznajmiła, wystukując numer Fergussona, ale w słuchawce rozległ się tylko nagrany komunikat. Zirytowana kolejnym niepowodzeniem, przerwała połączenie tak energicznie, że o mało nie złamała paznokcia.

- Czego się dowiedziałas? - spytał Jackson.- Że nie będzie go przez cały dzień. Agent ubezpieczeniowy pracuje, choć jest przeziębiony, a policjant robi sobie wolne w trakcie śledztwa. - Wystukała inny numer. - Dzwonię do Manninga. Jak on śmie odmawiać wywiązania się z warunków umowy?

Jackson szybkim ruchem wyrwał jej z ręki aparat.

- Może lepiej zrób najpierw kilka głębokich wdechów.

- Oddaj mi ten telefon - zażądała, wyciągając rękę.

- Chyba tego nie zrobię - odparł, kładąc aparat wysoko na półce. -

Jesteś tak zdenerwowana, że możesz go upuścić.

- Jackson...
- Odetchnij spokojnie co najmniej dziesięć razy.
- Och, na miłość boską! - mruknęła, sięgając po aparat.

Jackson chwycił ją za rękę.

- Masz zaciśniętą pięść i przyspieszone tętno. To może ci zaszkodzić, Charlie.

- Mianowałeś się moim ochroniarzem, ale nie jesteś moim terapeutą.

- Chcę cię uchronić od stresu, żebyś za dwadzieścia lat nie dostała takiego samego ataku serca, jaki przeżyła twoja matka.

- Nie jesteś też moim lekarzem.
- Nie bądź uparta. Ja tylko próbuję ci pomóc.
- Nie potrzebuję twojej litości, Jackson.
- Więc czego właściwie chcesz?

To nie było łatwe pytanie, zwłaszcza że nadal trzymał ją za rękę. Jego bliskość budziła w niej podniecenie, które bezskutecznie usiłowała ignorować. Zagryzła wargi, zastanawiając się, czy przyczyną jej przyspieszonego tętna jest tylko napięcie nerwowe. Jackson przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej.

- No dobrze, skoro postanowiłaś się nie odzywać, to może pozwolisz mi powiedzieć, czego ja chcę od ciebie. Choć będzie jeszcze lepiej, jeśli ci to zademonstruję.

- Jackson...

Wyciągnął ręce i przytulił ją do siebie. Obejmował ją już wcześniej, ale tym razem było inaczej. Bijące od niego ciepło wydawało się

zaproszeniem. Nakłaniało ją, by zapomniała o całym świecie i ukryła się w jego ramionach. Przez kilka sekund stała sztywno, zaciskając pięści. Wiedziała, że na jej barkach spoczywa zbyt wielka odpowiedzialność, by mogła sobie pozwolić na chwilę zapomnienia. Że musi myśleć nie o sobie, lecz o hotelu. Potem westchnęła, zaniknęła oczy i go objęła.

- Marzę o tym od trzech dni - mruknął, przyciskając policzek do czubka jej głowy.

- To nie jest dobry pomysł.

- Do diabła, dobrze o tym wiem. Właśnie dlatego tak długo zwlekałem.

Z trudem opanowała wybuch śmiechu, zastanawiając się, jak może być rozbawiona, postępując tak nierozsądnie. Ale przecież знаła to uczucie bardzo dobrze. Ich związek nigdy nie był oparty na rozsądnych założeniach.- Czy chcesz, żebym cię puścił? - spytał szeptem.

- Jeszcze nie. Przesunął dłoń na jej kark.

- To nie do wiary - mruknął cicho. - Jesteś inna, a jednak taka sama.

Wiedziała, że ma na myśli jej zmienioną fryzurę, ale równie dobrze mógł mówić o czymś innym. Przeszłość mieszała się z terażniejszością, nadając jej odczuciom dodatkowy, szczególny wymiar. A ona stała się na chwilę młodą dziewczyną, do której Jackson mówił „Charlie”.

Myśl o tym wzbudziła jej niepokój. Zdała sobie sprawę, co robi. Choć perspektywa wydawała się kusząca, nie mogła pozwolić na to, by dawne uczucia zmieniły tok jej obecnego życia. Przecież jej nastrój jest tylko skutkiem stresu zmieszanego z nostalgią. Doszukiwanie się w nim czegokolwiek innego byłoby czystym szaleństwem.

Otworzyła oczy i odkryła, że jej nos znajduje się na poziomie

nasady jego szyi. Poczula zapach mydła zmieszany z aromatem ciała. Ujrzała w wycięciu swetra czarne włosy porastające jego klatkę piersiową. Odchyliła głowę, by spojrzeć mu w oczy. Kiedy się poruszyła, Jackson przytulił ją mocniej, a ona zdała sobie sprawę, że ogarniająca ją fala ciepła nie ma nic wspólnego z nostalgią. Przez cienki materiał dzinsów poczuła wyraźnie jego pożądanie.

Tym razem trzymał ją w ramionach nie młody chłopiec, lecz dojrzały mężczyzna. Jej serce zaczęło bić tak mocno, że na chwilę zapomniała o całym świecie. Opuściła ręce, którymi go obejmowała, i zrobiła pół kroku do tyłu.

- Charlie...

Nie wiedziała, co chce jej powiedzieć, ale uniosła dłoń, by go powstrzymać. Miała nadzieję, że nie zauważył jej nerwowego podniecenia.

- Muszę porozumieć się z hotelem - mruknęła, robiąc kolejny krok do tyłu. - Skorzystam z telefonu, który stoi w kuchni.

Jackson wszedł do parującej wody i oparł głowę o obudowę wanny. Była dla niego zbyt krótka, więc leżał w niewygodnej pozycji, ale już po chwili poczuł, że pod wpływem ciepła jego napięte mięśnie zaczynają się rozluźniać. Po nocy, którą spędził na kanapie, czuł się jak połamany. Mebel ten też nie został zaprojektowany z myślą o wysokim mężczyźnie, ale on wiedział, że prawdziwym powodem jego złego samopoczucia jest brak snu. Przez pół nocy przewracał się z boku na bok, myśląc o tym, jak dobrze byłoby mu w łóżku Charlotte.

To jego wina. Nie powinien był jej obejmować. Charlotte nadal budziła jego pożądanie, ale on jest w końcu dorosły, więc nie ma prawa



zachowywać się jak nastolatek.

Kłopot polegał na tym, że był na tyle dorosły, by wiedzieć, że Charlotte również go pożąda. Jej reakcja na jego dotyk nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Kiedy na nią spojrział i usłyszał przyspieszone bicie jej serca, był bliski zapomnienia o całym świecie. Na szczęście ona miała dość rozsądku, by uwolnić się z jego uścisku i przerwać tę czułą scenę, zanim zrobili coś, czego mogliby żałować.

Poruszył głową tak gwałtownie, że stuknął w obudowę wanny, Nie może sobie pozwolić na angażowanie się w kolejny romans. To byłoby kompletnie pozbawione sensu. Ona się nie zmieniła. Hotel jest dla niej nadal najważniejszą sprawą na świecie. Kiedy zagrożenie minie, on nie będzie jej już na nic potrzebny. I dobrze się składa, bo jeśli Yves naprawi jego rękę...

Nie, nie "jeśli", tylko „kiedy”. Żadna inna możliwość nie wchodzi w rachubę. Wyjął z wody prawą dłoń i patrzył przez chwilę na bezwładne palce, a potem zerknął na zegarek, który położył na stojącej obok wanny szafce. Wiedział, że musi odwiedzić Charlotte do hotelu, ale chciał przedtem odwiedzić w szpitalu wuja. A ponieważ golenie się lewą ręką nadal sprawiało mu kłopoty, nie mógł dłużej leżeć w wannie. Wyszedł z wody i sięgnął po ręcznik.

Kiedy stanął w drzwiach kuchni, zastał w niej Charlotte. Choć była to sobota, miała na sobie kremową jedwabną bluzkę i elegancką spódnicę. Stała przy oknie wychodzącym na niewielki taras, a jej włosy błyszczały w promieniach porannego słońca. Gdyby nie trzymała w jednej ręce kubka z kawą, a w drugiej aparatu telefonicznego, wyglądałaby jak kobieta, która wyszła przed chwilą z ram impresjonistycznego obrazu.

- Będę ci bardzo wdzięczna, jeśli skontaktujesz się z osobami, które są na tej liście - mówiła do słuchawki. - Dziękuję, Renee. Och, i jeszcze jedna sprawa. Genevieve zostawiła wiadomość, że nasze kostiumy są już gotowe... W porządku. Zobaczymy się później.

Jackson odczekał do końca rozmowy, a potem wszedł do kuchni.

- Nie spodziewałem się, że tak wcześnie wstaniesz - rzekł z uśmiechem.

- Czeka mnie mnóstwo roboty. Czy masz ochotę na kawę? - Wskazała ruchem głowy ekspres. - Jadam zwykle w hotelu, więc nie mogę cię poczęstować niczym więcej.

- Więc nadal nie umiesz gotować?

- Jakoś udaje mi się tego unikać. Zostawiam gotowanie ludziom, którzy się na nim znają.

Jackson zdał sobie sprawę, że ma rozpiętą koszulę, więc zaczął ją zapinać.

- Z tego, co słyszałem, wynika, że już zaczęłaś pracę.

- Owszem. Zastanawiałam się nad sytuacją i muszę przyznać, że podzielam twoją nieufność wobec Fergussona. Uważam, że trzeba zdobyć inne opinie dotyczące przyczyn pożaru.

- Jak chcesz się do tego zabrać?

- Przede wszystkim poproszę Maca i Tyrella, żeby zebrali oświadczenia od wszystkich członków personelu, którzy byli tego wieczoru w pracy. Renee skontaktuje się z funkcjonariuszami służb, które brały udział w akcji ratowniczej. Wie, jak ich odnaleźć, bo zaprosiła wszystkich na śniadanie. - Wypiła łyk kawy. - Uważamy, że jeśli znajdziemy odpowiednią ilość ludzi, którzy zakwestionują opinię

Fergussona, będziemy w stanie zmusić policję do ponownego otwarcia dochodzenia. A przynajmniej zdobędziemy argumenty, które będzie można przedstawić sądowi, kiedy dojdzie do procesu z ubezpieczycielem.

- To brzmi przekonująco. Chętnie dołączę moją relację z przebiegu pożaru.

- Dziękuję.

- Jeśli będziecie mieli odrobinę szczęścia, może znajdziecie coś, co skieruje policję na trop Corbinów.

- Tak wygląda najbardziej optymistyczny scenariusz. - Zerknęła niepewnie na jego klatkę piersiową. - Czy potrzebujesz pomocy przy zapinaniu tych guzików?

- Nie, dziękuję. Zajmuje mi to trochę czasu, ale jakoś sobie radzę.

Charlotte wyjęła z szafki drugi kubek i napełniła go kawą. Bez pytania wrzuciła do niej dwie kostki cukru i wlała kilka kropli śmietanki. Jackson, wzruszony jej pamięcią, nie zdradził się z tym, że od pewnego czasu woli czarną kawę.

- Czy nosisz kowbojskie buty właśnie dlatego, że nie trzeba ich sznurować? - zapytała.

- Nie. Zacząłem w nich chodzić kilka lat temu. Odkryłem, że wkłada się je szybciej niż mokasyny. Są też bardziej trwałe, co okazuje się bardzo ważne tam, gdzie nie ma w pobliżu sklepów.

Z kubkami w rękach podeszła do stołu i usiadła na krześle, na którego oparciu wisiał jej żakiet. - Twoje życie tak bardzo różniło się od mojego, że trudno mi je sobie wyobrazić.

Jackson zapiął prawy mankiet, rezygnując z prób zapięcia lewego. Potem usiadł naprzeciw niej.

- Przez część każdego roku mieszkam w Filadelfii i operuję prywatnych klientów, żeby zarobić na utrzymanie.

- Ale wolisz przebywać za granicą, prawda?

- Bo tam mogę zrobić najwięcej dobrego.

- Powiedz mi, co przeżywa człowiek, który podróżuje po świecie, pracując na obszarach objętych klęskami żywiołowymi i w obozach dla uchodźców.

- Trudno na ten temat generalizować, bo każde z tych miejsc posiada swój własny klimat, tak samo jak Nowy Orlean.

- Więc opowiedz mi o jakimś konkretnym przypadku.

Obrazy, które przychodziły mu do głowy, były zbyt posępne, by prezentować je w tym słonecznym pomieszczeniu. W końcu znalazł jednak w pamięci wspomnienie, którym mógł się z nią podzielić.

- W 2005 roku, po trzęsieniu ziemi, spędziłem kilka tygodni w Kaszmirze. Góry były tak piękne, że ich dzika uroda co rano zapierała mi dech w piersiach. - Przysunął do siebie kubek z kawą, nadal przetrząsając pamięć. - Cieszyłem się wtedy, że mam te buty. Deszcze, które nadeszły zaraz po trzęsieniu ziemi, wszystko zalały. Miejski szpital groził zawaleniem, więc pracowaliśmy w namiotach, które przemakały jak sita.- Jak dawaliście sobie radę?

- Rodzice pacjenta, którym się zajmowałem, zbudowali pewnego dnia coś w rodzaju daszku z kawałka plastikowej folii i kilku metalowych prętów pochodzących z rozbitego autobusu. Kiedy składałem nogę ich syna, stali obok mnie i dbali o to, by na stół operacyjny nie spadła ani jedna kropla deszczu. Potem przekazali ten zaimprovizowany parasol następnej rodzinie. - Uśmiechnął się gorzko. - Ale składała się ona tylko z

dzieci, które były zbyt niskie, by utrzymać go nad moją głową, więc siedziały sobie na ramionach. Trudno mi było zszywać ranę, bo stale mnie potraçały.

- Kogo zszywałeś?

- Ich matkę. Dlatego nie mogłem wygnać ich z namiotu. Została ciężko ranna, kiedy wynosiła swe potomstwo z ruin domu. Wpadała w histerię, gdy któreś z nich znikowało z jej pola widzenia.

Charlotte poczuła, że do jej oczu napływają łzy. Chcąc ukryć je przed wzrokiem Jacksona, pochyliła się i zapięła guzik lewego rękawa jego koszuli.

- Nie znam drugiego człowieka, który miałby tyle współczucia dla innych. Ci ludzie mają szczęście, że chcesz im pomagać. Nawiasem mówiąc, zawsze podziwiałam twój idealizm, nawet wtedy, kiedy miałam do ciebie pretensje o to, że odszedłeś.

- Ja też ceniłem cię za to, że wiedziałaś, czego chcesz i co jest dla ciebie ważne. Czy to nie ironia losu, że spotykamy się po tylu latach w tym samym miejscu, w którym nastąpiło nasze rozstanie?- Mnie też przyszło to do głowy.

Zapadła cisza. Ich dawny spór nadal nie był rozstrzygnięty i wisiał w powietrzu jak miecz Damoklesa.

- Nigdy nie łudziłem się, że mogę zbawić świat - rzekł w końcu Jackson. - Ale dopóki będę mógł uratować choćby jednego człowieka, będę robił swoje.

- Wiem, że tak myślisz. - Przesunęła palcami po bliźnie na grzbiecie jego dłoni. - I rozumiem powody, dla których stąd wyjedziesz, gdy tylko odzyskasz sprawność.

Wstał z krzesła i postąpił krok w jej stronę.

- Mam ochotę cię pocałować, ale to chyba nie jest dobry pomysł - powiedział stłumionym głosem.

- Masz rację. To byłoby znacznie gorsze niż to, co zrobiłeś wczoraj.

- W takim razie pocałuję cię bardzo szybko.

- Jackson, to do niczego nie prowadzi... Przerwał ten protest, przyciskając wargi do jej ust.

A ona poczuła się tak jak za dawnych lat, kiedy oboje byli bardzo młodzi. Wtedy wszystko wydawało się takie proste i niewinne. Ich wzajemne uczucia były dla nich powodem radości, więc nigdy ich nie ukrywali. Teraz było inaczej. W drzeniu ust Charlotte wyczuwał jej obawy. Więc szybko przerwał pocałunek i zrobił krok do tyłu.

Nie chciał na nowo otwierać rany, która liczyła już dwadzieścia lat. I bez tego miał dosyć kłopotów.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Jest cudowna! - zawołała Renee. - Genevieve przeszła samą siebie! Będziesz królową balu!

Charlotte stała przed wiszącym w pracowni lustrem, usiłując obiektywnie ocenić suknię. Ale było to równie bezskuteczne jak próba analizy pięknego zachodu słońca. Genevieve Gagnon była nie tylko krawcową, lecz i artystką. Projektowała i szyła karnawałowe suknie dla pań Marchand od niepamiętnych czasów. Wszystkie odznaczały się wielką klasą, a ta nie była wyjątkiem.

Uszyta z satyny utrzymanej w kolorze letniego nieba o zmierzchu,

łśniła setkami białych cekinów. Szerokie rękawy i opadający aż do ziemi tren były obszyte delikatnymi pasmami białych piór. Charlotte wyglądała w niej jak księżniczka z bajki, a ozdobna maseczka potęgowała czarodziejski charakter jej kostiumu.

- To jest dzieło sztuki, Genevieve - oświadczyła z zachwytem. - Nie potrafię zrozumieć, jak ty to robisz.

Genevieve zaśmiała się, nacisnęła jakiś guzik w obudowie swego inwalidzkiego fotela i podjechała do stojącego w rogu stołu. Ta drobna, siwa kobieta była demonem energii, choć już przed wielu laty utraciła władzę w nogach w wyniku wypadku podczas jazdy na nartach wodnych. Odgarnęła ze stołu garść skrawków materiału i wzięła do ręki książkę.

- Muszę przyznać, że w tym roku trochę oszukiwałam - powiedziała z uśmiechem, podając Charlotte książkę. - Oto źródło mojej inspiracji.

- To wygląda jak tom bajek, który dostałam od taty, kiedy byłam dzieckiem - oznajmiła Charlotte.

- Zgadłaś za pierwszym razem - roześmiała się Renee.

- Ale skąd...?

- Pożyczyła mi ją Renee - wyznała Genevieve.

- Uznała, że będzie pani zadowolona, jeśli uda mi się ożywić

Królewnę Śnieżkę.

- Wpadłam na ten pomysł, kiedy czytałaś te bajki Daisy Rose. Ona bardzo je lubi, a ja przypomniałam sobie, że ty też za nimi przepadałaś.

- Jest na nie jeszcze trochę za mała, ale zachwyca się obrazkami.

Szczególnie wizerunkiem Królowy Śnieżki.

Przewróciła kilka kartek i ujrzała ilustrację, na której Królowa tańczyła ze swym przystojnym księciem. Jej wytworna błękitna suknia

była obszyta białymi piórami i lśniła od błyszczących klejnotów.

- Nie mogę w to uwierzyć! - zawołała Charlotte.

- Dokonałaś prawdziwego cudu, budząc tę suknię do życia!

Rozpoznałam ją już na pierwszy rzut oka.

- Jest idealna - dodała Renee. - Wyglądasz tak samo jak na obrazku.

Teraz musimy ci tylko znaleźć księcia.

Charlotte poczuła skurcz niewyjaśnionej tęsknoty. Zamknęła książkę i odłożyła ją na stół, a potem odpięła ukryty pod szwem zamek błyskawiczny i zaczęła zdejmować suknię. W gruncie rzeczy miała ochotę zedrzeć ją jak najszybciej i włożyć na powrót między kartki książki.

- Dziękuję ci, Genevieve - powiedziała do krawcowej. - Renee ma rację, tym razem przeszłaś samą siebie.

- To dla mnie przyjemność. - Genevieve podjechała wózkiem inwalidzkim do dzielącej pracownię od jej sklepu zasłony, zza której dochodziły męskie głosy. - Gdyby mnie panie potrzebowały, proszę zawołać.

- Wygląda na to, że Pete i Jackson znudzili się czekaniem - mruknęła Renee, pomagając siostrze zdjąć suknię.

- Jestem pewna, że Genevieve potrafi ich zabawić.

- Och, ona będzie z nimi bezwstydnie flirtować

- oznajmiła z rozbawieniem Renee. - Czy jesteś pewna, że chcesz, aby Jackson wszędzie ci towarzyszył?

- On jest dorosły i może chodzić, gdzie chce

- odparła Charlotte, wkładając spódnicę. - Nie robi mi to żadnej różnicy.

- Włożyłaś spódnicę na lewą stronę.



- O co ci chodzi?- O twoją spódnicę.
  - A, tak... - mruknęła z zażenowaniem Charlotte. Szybko skończyła się ubierać i sięgnęła po torebkę. - Dziękuję ci za pomoc.
  - Wydajesz się zdenerwowana.
  - Nie. Mam dziś po prostu mnóstwo roboty. Czy dostałaś już jakieś informacje od członków ekip ratunkowych?
  - Kilka. Na razie nie wyglądają one zbyt obiecująco, ale poczekajmy. Usiłuję się skontaktować z porucznikiem Rothbergiem. On jest chyba bardziej operatywny niż ten Fergusson.
  - Zgadzam się. Ale powiedziano mi, że jest zajęty.
  - Tak czy owak nie zamierzam zrezygnować. A skoro już jesteśmy przy tym temacie, to powiedz mi, jak ci się układa z Jacksonem.
- Charlotte włożyła pantofle i podeszła do siostry.
- Wiem, że masz dobre intencje - powiedziała cicho - ale nie chcę rozmawiać o Jacksonie. Jesteśmy po prostu przyjaciółmi.
  - To samo usiłowałam wmówić wszystkim znajomym na początku mojej znajomości z Pete'em.
  - Ale nasza sytuacja wygląda inaczej. Wobec problemów, jakie nękają hotel, nie mam czasu nawet na myślenie o swoim życiu osobistym.
  - To kiepska wymówka, Charlotte. Właśnie w momentach kryzysu potrzebujesz kogoś, na kim mogłabyś się oprzeć.
- Charlotte przycisnęła palce do skroni.
- Jackson i ja mieszkamy pod tym samym dachem, ale nic z tego nie wynika. Żadne z nas nie życzyłoby sobie powrotu do przeszłości.
  - To zdanie też brzmi znajomo, ale nie można być niczego pewnym. Wszystkie widziałyśmy, że między wami coś zaiskrzyło. Więc może

powrót do przeszłości już się zaczął.

Zza kotary dobiegł wybuch śmiechu Genevieve, a potem głęboki bas Jacksona. Wszystko wydawało się tak normalne i spokojne, że Charlotte poczuła się wzruszona.

- Kiedy spotykałam się z Jacksonem, oboje byliśmy jeszcze dziećmi - powiedziała. - Przyznaję, że odczuwam słabość do chłopca, którego kiedyś znałam, ale od tej pory minęło wiele czasu. I bardzo się zmieniliśmy.

- Ważne rzeczy się nie zmieniają, Charlotte. Kiedy Pete pojawił się na nowo w moim życiu, nie przyszło mi do głowy, że nasz związek może mieć jakąkolwiek przyszłość. Wiedziałam, że musielibyśmy pokonać liczne problemy, ale wcale nie byłam pewna, czy warto podejmować taką próbę. A teraz jestem szczęśliwa, że ją podjęliśmy.

- Bardzo się z tego cieszę, Renee. To wspaniale, że znalazłaś kogoś, kto cię uszczęśliwia. To samo dotyczy Melanie, Sylvie i mamy. Ale proszę cię, nie wtrącaj się do moich spraw.

- Charlotte...

- Masz rację, ważne rzeczy się nie zmieniają. Jackson i ja nie pasowaliśmy do siebie, i niech tak pozostanie.- Czy jesteś tego pewna?

- Kocham cię za to, że się o mnie troszczysz. - Wspięła się na palce, by ucałować policzek siostry, a potem jeszcze raz zerknęła na niebieską suknię. - Ale to jest życie, a nie bajka. Nikt nie machnie różdżką, żeby...

Przerwała, bo niewyczuwalny dla niej ruch powietrza poruszył białymi piórami, którymi obszyta była balowa kreacja. A ona wyobraziła sobie, że tańczy na wspaniałym balu z cudownym mężczyzną, którego niebieskie oczy pasują do koloru jej kostiumu. W bajce, którą znała od

dzieciństwa, Królowę Śnieżkę obudził pocałunek księcia...

A Jackson pocałował ją tego ranka.

Ale to nie był prawdziwy pocałunek. Ich usta zetknęły się tylko na chwilę. Mimo to nadal czuła smak jego warg. A dobiegający z sąsiedniego pomieszczenia głos budził w niej przyjemne skojarzenia. Kiedy zaś pomyślała o tym, że spędzi z nim pod jednym dachem kolejną noc, przechodził ją podniecający dreszcz.

Ten przelotny pocałunek zmienił jej sposób postrzegania świata. Wiedziała, że nie ma to nic wspólnego z magią. Że jest po prostu normalną reakcją kobiety na towarzystwo bardzo atrakcyjnego mężczyzny. Była zbyt rozsądna, by dopatrywać się w swych odczuciach czegokolwiek innego.

Oderwała wzrok od sukni, włożyła żakiet i wyszła za Renee z pracowni. Mike Blount bębnił palcami po oparciu fotela limuzyny, obserwując wychodzące z budynku dwie pary ludzi. Domek ten stał niedaleko od magazynów jego hurtowni, ale nigdy dotąd nie zwrócił na niego uwagi. Był to po prostu mały zakład krawiecki, wciśnięty między lombard a zabity deskami lokal, w którym mieściła się niegdyś pralnia chemiczna. Podobnie jak niezliczone inne drobne firmy w Nowym Orleanie przynosił zyski tylko w okresie karnawału, więc nie mógł być na tyle dochodowy, by warto było się nim interesować.

Ale ze względu na swe położenie doskonale nadawał się na miejsce napadu. Uliczka była oddalona od zatłoczonej Dzielnicy Francuskiej, a jej mieszkańcy znali życie na tyle, by nie wtrącać się do cudzych spraw. Stara właścicielka, poruszająca się na fotelu inwalidzkim, też nie mogła sprawić nikomu żadnego kłopotu. Można więc było za jednym zamachem

porwać obie siostry.

Czuł jednak, że będzie musiał poczekać na następną okazję. Dwaj mężczyźni, którzy towarzyszyli pannom Marchand, nie wyglądali na ludzi, których łatwo przestraszyć. Mike widział już przedtem Pete'a Traynora - głupi bracia obudzili jego czujność, inscenizując wypadek samochodowy, w wyniku którego został ranny jego bratanek. Cała akcja była przeprowadzona równie nieudolnie jak próba porwania Anne Marchand. Mieli szczęście, że nie trafili do więzienia.

Mike wiedział, że kiedy on zdecyduje się na wykonanie jakiegoś ruchu, wszystko będzie przygotowane w sposób perfekcyjny. I że nic nie zagrozi mu ze strony policji.

- Kim jest ten facet w dżinsowej marynarce, Otis? - spytał, wskazując palcem ciemnowłosego mężczyznę, który siedł obok Charlotte. - Widziałem go w czwartek w hotelu. Wtedy też kręcił się wokół tej Marchand.

Otis Fergusson przybliżył twarz do zaciemnionej szyby limuzyny i zmrużył oczy. Potem znów rozsiadł się wygodnie, splatając ręce na potężnym brzuchu.

- Nazywa się Jackson Bailey. To jakiś chirurg z Filadelfii. Jest najwyraźniej starym przyjacielem rodziny.

Mike skwitował tę informację kiwnięciem głowy. Wciągnięcie Otisa na listę płac było jednym z najbardziej przebiegłych posunięć w jego karierze. Zawarł znajomość z tym detektywem już kilkadziesiąt lat temu. On sam zaczynał wtedy rozkręcać nielegalny system gier hazardowych, a Otis, jako patrolujący ulice policjant, chętnie przymykał oczy na pewne sprawy w zamian za kopertę. Ilość znajdującej się w niej gotówki

wzrastała wraz ze wzrostem jego przydatności.

Ten korzystny dla obu stron układ trwał dłużej niż każde z małżeństw Mike'a. I podobnie jak każdy udany związek, wykluczał udział osób trzecich. Nawet bracia Corbinowie nie mieli pojęcia, że Otis pracuje dla Blounta.

- Rozmawiałem z tym Baileyem kilka dni temu- ciągnął Fergusson.

- Nakłaniał mnie, żebym przesłuchał Corbinów na okoliczność pożaru w hotelu.

- Czy masz pewność, że on jest tylko lekarzem?

- Sprawdziłem go. To jeden z tych szlachetnych harcerzy, którzy pracują na obszarach objętych klęskami żywiołowymi. Prawdziwy bohater. Wiem, że ci się to nie spodoba, ale on twierdzi, że Luc Carter naprawdę próbował ugasić ogień podłożony przez twoich ludzi.

Mike zmarszczył brwi. A więc podejrzenia, które wzbudziło w nim tego wieczoru nerwowe zachowanie Cartera, nie były całkowicie bezpodstawne.

- Być może Corbinowie mają rację. Carter jest tchórzem.

- A może jeszcze gorzej. On chyba zaczyna odczuwać wyrzuty sumienia.

- Dlaczego tak myślisz? Czy wspomniał o nich, kiedy go przesłuchiwałeś?

- Nie, ale sprawdziłem niedawno jego dane osobowe. Odkryłem, że jest spokrewniony z Marchandami.

Mike nie lubił niespodzianek. Corbinowie nie wspomnieli mu o żadnym powinowactwie, więc albo sami o tym nie wiedzieli, albo nie byli z nim całkiem szczerzy.

- W jaki sposób?

- Ojciec Cartera był bratem Anne. Uchodził za czarną owcę, więc został wygnany jako bardzo młody człowiek.

- A więc Luc jest bratankiem Anne Marchand- mruknął Mike, rozważając wszystkie wnioski płynące z tej informacji. - A te siostry są jego kuzynkami.

- Tak, ale one o tym nie wiedzą. To tylko przypuszczenie, ale wydaje mi się, że Carter zaczął współpracować z Corbinami, żeby się zemścić. Chce zrujnować tę rodzinę, żeby odpłacić jej za wyrzucenie ojca.

- Czy jesteś pewien, że siostry nie wiedzą, kim on jest?

- W stu procentach. Używa nazwiska matki, więc nie mają pojęcia...

- Chwileczkę. - Mike spojrzał badawczo na swego rozmówcę. - Powiedziałeś, że jego ojciec był bratem Anne Marchand. Jak on się nazywał?

- Pierre Robichaux. Mike wybuchnął śmiechem.

- Pierre Robichaux? To niezwykły zbieg okoliczności.

- Dlaczego?

- Dlatego, że go znałem. Był jednym z moich najlepszych klientów. Nigdy się nie skapował, że gry są ustawiane. Przegrał ogromne sumy... - Mike rozparł się wygodnie na siedzeniu, zachwycony ironią losu, która doprowadziła do tej sytuacji. Jeśli Luc chce pomścić ojca, powinien skierować ostrze swego gniewu przeciwko niemu.

- Czy chcesz, żebym go wyłączył z gry? - spytał Otis.

Po namyśle Mike potrząsnął głową.

- Nie, nie chcę się go jeszcze pozbywać. To idealny kandydat do

odegrania roli czarnego charakteru. Kiedy zrealizujemy nasz plan, możesz go zastrzelić w ramach swoich obowiązków służbowych. Podrzucimy tyle obciążających go dowodów, że dostaniesz pochwałę albo awans.

- To by mi się przydało - powiedział Otis, wybuchając śmiechem. - Mój kapitan stale się mnie czepia, odkąd siostry zaczęły wypytywać swoich ludzi o przebieg pożaru. Wygląda na to, że usiłują prowadzić własne dochodzenie.

- Ale dasz sobie z tym radę, prawda?

- Bez problemu. Gwarantuję, że nic nie znajdą. Mike otworzył skrytkę pod fotelem i wręczył Otisowi jego tygodniowe wynagrodzenie.

Koperta robiła się coraz grubsza, ale ten gliniarz zasługuje na wysokie honoraria.

W laboratorium wydziału medycyny, usytuowanym na najwyższym piętrze budynku uniwersytetu Tulane, słychać było tylko cichy stukot klawiatury komputera, nad którym pochylał się doktor Yves Fortier. Jego żona, Marie, monitorowała puls Jacksona i zmiany napięcia prądu, który przepływał przez jego rękę.

Charlotte wiedziała, że badanie nie jest bolesne, ale domyślała się, że może być nieprzyjemne. Cała dłoń Jacksona pokryta była elektronicznymi czujnikami, których splątane przewody wyglądały jak dziwaczna, metalowa rękawica. Elektrody były kolejno uaktywniane, a precyzyjna aparatura odnotowywała reakcję danego odcinka ręki na prąd. Wszystkie uzyskane dane wpływały do programu komputerowego, który miał zbudować trójwymiarową mapę naruszonego przez pocisk obszaru ręki i ustalić stopień uszkodzenia nerwów.

Obserwowanie tego powolnego procesu było dla niej frustrujące,

więc wyobrażała sobie, jak przykre musi być to badanie dla Jacksona. Był wyraźnie napięty, ale za każdym razem, gdy spojrzała mu w oczy, zdobywał się na pogodny uśmiech. Jego przyjaciele, państwo Fortier, powitali go jak brata, a ją też potraktowali bardzo życzliwie. Kiedy przystąpili do badań, widać było, że stanowią niezwykle zgrany zespół. Charlotte mimo woli porównywała ich ze swoimi rodzicami, których też łączyły sprawy zawodowe. Tyle że Yves i Marie nie mieli dzieci, więc mogli podróżować po świecie i pomagać innym.

Zaczęła się zastanawiać, co by było, gdyby przed dwudziestoma laty wybrała Jacksona, zamiast wychodzić za Adriana. Gdyby uczucia, jakimi darzyła hotel i Nowy Orlean, nie były tak silne, by wykluczać możliwość wyjazdu. Czy byłiby teraz równie kochającą się i zgraną parą jak państwo Fortier?

Pytanie wydawało się bezprzedmiotowe, bo przeszłości i tak nie można zmienić. Podejrzewała jednak, że gdyby zrezygnowała wówczas ze swych marzeń, zaczęłaby z czasem winić za to Jacksona. Stałaby się zgorzkniała i niezadowolona z życia.

Yves odsunął swoje krzesło od komputera i przeciągnął się, unosząc ręce nad głowę. - Na dziś dosyć, Jacques - powiedział, a potem zwrócił się do Marie. - Możesz wyłączyć swoją maszynkę, kochanie.

Jego żona nacisnęła jakiś guzik, a potem podeszła do Jacksona i poklepała go po ramieniu.

- Nie wiem, dlaczego Yves tak na ciebie narzeka. Jesteś wyjątkowo cierpliwym pacjentem.

- On zawsze stara się zrobić dobre wrażenie na pięknych kobietach - mruknął drwiącym tonem Yves.



- To prawda - przyznał Jackson, odrywając czujniki od ręki. -  
Piękne kobiety potrafią skłonić każdego mężczyznę do poprawnego zachowania.

- Ach, i właśnie dlatego jesteś nadal kawalerem - zadrwił Yves. -  
Przecież są sytuacje, w których kobiety wolą, żeby mężczyzna zapomniał o poprawności. Prawda, Marie?

- Sama nie wiem, dlaczego cię jeszcze toleruję - wyznała ze śmiechem jego żona.

- Dlatego, że jestem geniuszem. Byłem nawet na tyle mądry, by poprosić cię o rękę.

Charlotte wstała z krzesła i podeszła do Jacksona.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Na to pytanie potrafi odpowiedzieć tylko Yves. Po to właśnie robiliśmy to badanie.

Choć jego twarz rozjaśniał pogodny uśmiech, widać było, że jest zdenerwowany. Charlotte spojrzała pytająco na jego przyjaciela.

- Za wcześnie na to, żebym mógł być czegokolwiek pewny. - Yves wstał i wzruszył ramionami. - Te zabawki, które przetwarzają dane, potrzebują trochę czasu. Na razie mogę powiedzieć tylko tyle, że niektóre wyniki nie są jednoznaczne...

Jackson położył zdrową rękę na dłoni Charlotte.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest najlepiej, prawda?

- Jacques... - Yves głęboko westchnął. - Jako twój przyjaciel miałbym ochotę cię okłamać. Ale jako twój kolega po fachu za bardzo cię szanuję, żeby się na to zdobyć. Masz rację, sprawy nie wyglądają dobrze,

W pokoju zapadła cisza. Jackson wstał i włożył marynarkę.

Charlotte przybliżyła się do niego jeszcze bardziej, by wesprzeć go psychicznie, a on objął ją w pasie zdrową ręką.

- Mówiłeś mi kilka dni temu, że w mojej dłoni mogły pozostać odłamki kości. Czy nie możesz ich usunąć operacyjnie?

- Jeśli było ich więcej, niż wynika ze zdjęć, to twoje ciało wchłonęło je już do tkanki bliznowatej. Nie możemy cofnąć tego procesu. One zostaną w końcu całkowicie wchłonięte, ale jeśli przeprowadzę teraz zabieg, to istnieje ryzyko, że utracisz nawet tę część sprawności, którą udało ci się odzyskać.

- Czy nie możesz przeprowadzić tego badania jeszcze raz, Yves?

- Mógłbym, ale...

- Absolutnie - przerwała mu Marie. - Nie poddamy się tak łatwo. Te zabawki, które tak kocha mój mąż, zostały zaprojektowane przez człowieka, więc nie są nieomyślne.

Yves odetchnął głęboko i kiwnął głową. - Marie ma rację. To badanie należy zweryfikować. Przyjdź w czwartek, to przeprowadzimy je jeszcze raz.

- A tymczasem dostaniesz ode mnie coś, co ci pomoże. - Marie zdjęła z półki zawinięty w papier pakunek wielkości ludzkiej dłoni i podała go Jacksonowi. - To dla ciebie.

- Pozwól, że zgadnę - powiedział Jackson, zdobywając się na sceptyczny uśmiech, a potem schował pakunek do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Czy to jest gris-gris?

- Wiem, że nie wierzysz w takie rzeczy, ale noś ten talizman przy sobie. - Poklepała go po kieszeni. - Sztuka leczenia obejmuje zjawiska, których nie potrafi wyjaśnić nauka.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jackson miał ochotę na drinka. Nie, nie na jednego drinka, tylko na całą butelkę. Chciał się napić dobrej, mocnej whisky, a nie łagodnego białego wina, które stało w lodówce Charlotte. Czegoś, co pomogłoby mu jak najprędzej oderwać się od rzeczywistości.

Próbował sobie uświadomić, że to było tylko jedno badanie, a technika nie zawsze jest niezawodna. Widział już rezultaty testów, które okazywały się błędne. Być może szanse na to, że drugi wynik okaże się bardziej obiecujący, są niewielkie, ale to jest jego jedyna deska ratunku.

Energicznym ruchem zamknął drzwi lodówki. Kuchnia pogrążyła się w ciemności. Zamiast zapalić światło, podszedł do okna, wyjrzał na dziedziniec i pogrążył się w myślach. Uświadomił sobie, że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego nie może się upić. Ma opiekować się Charlotte. Pracownicy ochrony zapewnili go, że dom posiada znakomity system alarmowy, a on, idąc za ich radą, sprawdzał regularnie zamki drzwi i okien, ale nie mógł obudzić w sobie złudnego poczucia bezpieczeństwa. Corbinowie nie dawali znaku życia, więc zapewne szykują nowy atak.

- Nie możesz spać? Odwrócił się gwałtownie, czując przyspieszone bicie serca. Charlotte stała w drzwiach kuchni. Miała na sobie kremowy, długi do kostek szlafrok. Wyglądała na osobę, która jeszcze przed chwilą

pograżona była we śnie.

- Przepraszam, jeśli cię obudziłem.

- Nie spałam. - Zawiązała pasek szlafroka, a on ujrzał pod nim zarys jej kuszących kształtów. - W lodówce jest butelka wina. Może masz ochotę?

- To nie ułatwiłoby naszej sytuacji, Charlie.

- Więc może powinniśmy o niej porozmawiać.

- Nasza rozmowa do niczego nie doprowadzi.

- To brzmi tak samo jak to, co powiedziałam do ciebie w zeszłym tygodniu. - Podeszła do kuchenki i zapaliła wiszącą nad nią lampkę. - Zaraz mi pewnie powiesz, że to nie moja sprawa.

- Charlie...

- Dobrze wiem, jak się czujesz, Jackson. Trudno jest spełnić oczekiwania wszystkich ludzi.

- To znaczy?

- Być silnym. Odpowiedzialnym. Doskonałym. Jackson potrząsnął głową.

- To ty musiałaś żyć w taki sposób, żeby spełnić oczekiwania otoczenia. Po mnie nikt niczego się nie spodziewał. Byłem biednym chłopcem, który nikogo nie obchodził.

- To nieprawda. Nigdy nie myślałam o tobie w taki sposób.

- Ty może nie, ale myśleli tak inni.

- Jeśli mówiąc „inni”, masz na myśli moją babkę, to przecież dowiodłeś już przed laty, że się myliła. - Charlotte pochyliła się nad stojącą obok kuchenki szafką.

- Co ty robisz?

Kiedy się wyprostowała, zauważył, że trzyma w ręku mały garnuszek.

- Gorącą czekoladę.

- Chyba żartujesz!

- Nie umiem gotować, ale czekolada mi się udaje. Jackson zauważył, że choć Charlotte nie ma maki-

jażu, jej policzki są lekko zaróżowione, a usta wyglądają kusząco.

- Teraz sobie przypominam, że czasem mnie nią częstowałaś, kiedy odwiedzałem cię po szkole.

- Podobno pomaga zasnąć.

Był środek nocy, a on przebywa w towarzystwie skąpo ubranej i bardzo atrakcyjnej kobiety. Sen był ostatnią rzeczą, o jakiej marzył. Podobnie jak gorąca czekolada.

Zerknął na stojący w rogu faks, przed którym jak zwykle leżał stos zadrukowanych kartek.

- Czy Renee dowiedziała się czegoś na temat pożaru?

- Tak, otrzymała wiele nowych relacji. Wszyscy starają się nam pomóc. Chyba niektórzy nie mają wysokiego mniemania o Fergussonie.

- A co mówi ten agent ubezpieczeniowy? Manning?

- Nie odbiera moich telefonów. - Wyjęła z lodówki karton mleka, a potem zajrzała do kilku szuflad i znalazła czekoladę oraz cukier. - Nie mam mu tego za złe. Jeśli nie doprowadzimy do zmiany oficjalnego protokołu, nie możemy liczyć na odszkodowanie. Firmy ubezpieczeniowe nadal nie odzyskały równowagi po katastrofie, jaką był dla nich huragan Katrina.

- Podobnie jak hotele - dodał Jackson. - Dlatego właśnie macie

kłopoty z przepływem gotówki, prawda?

Charlotte postawiła garnek na kuchence i milczała przez chwilę, jakby zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Nasze problemy zaczęły się na kilka lat przed huraganem - wyznała w końcu. - Wyszły na jaw wkrótce po wypadku ojca. Z jakiegoś nieznanego powodu podjął on znaczną część rodzinnych oszczędności i przekazał te pieniądze do banku na Kajmanach.

Jackson usiłował ukryć zdumienie. Remy Marchand był jednym z najbardziej uczciwych i prostolinijnych ludzi, jakich kiedykolwiek poznał. Co więcej, człowiekiem całkowicie oddanym żonie i córkom. I ostatnią osobą, jaką można by podejrzewać o jakieś ciemne interesy.

Więc dlaczego zamienił rodzinne aktywa na gotówkę i dokonał jej transferu do znanego raju podatkowego?

- Odkryliśmy brak tych pieniędzy dopiero po pogrzebie - ciągnęła Charlotte. - Początkowo myśleliśmy, że nastąpiła jakaś pomyłka w księgowości, ale dokumenty ujawniły nam całą prawdę. Nadal nie mamy pojęcia, dlaczego papa to zrobił. Ale znałam go na tyle dobrze, by nie wątpić, że miał ważne powody.

- Ja też jestem o tym przekonany.

- Chciał zapewne przechowywać tam te pieniądze tylko przez jakiś czas. Nie naraziłby nas dobrowolnie na kłopoty finansowe. Ale utrzymywanie hotelu po huraganie pochłonęło większość kapitału obrotowego, więc utrata tego miliona była dla nas bardzo ciężkim ciosem.

- Więc to była aż tak duża suma? - spytał ze zdumieniem Jackson, a Charlotte kiwnęła potakującą głową.

- Dlatego na hipotece hotelu ciąży ogromny dług. Nie mamy już

żadnych rezerw. Jeśli w przyszłym tygodniu nie zaczniemy zarabiać, największym zagrożeniem staną się dla nas nie bracia Corbin, tylko banki.

Jackson milczał przez chwilę, usiłując uświadomić sobie rozmiary klęski, która spadła na rodzinę Marchand. Kiedy był dzieckiem, jej bogactwo wydawało mu się niewyczerpane.

- Próbuję zachować spokój i zdrowy rozsądek, bo wszyscy tego ode mnie oczekują. Ale czasem ogarnia mnie rozpacz.

- Wyobrażam sobie.

- Przewodnim motywem naszego tegorocznego balu są bajki. Cała rodzina jest bardzo tym przejęta. - Gdy zdejmowała garnek z palnika, zauważył, że jej ręka drży. - Może to zabrzmieć głupio, ale czasem żałuję, że nie wierzę już w magię, bo tylko ona mogłaby rozwiązać nasze problemy. Bóg wie, że spróbowałam wszystkiego innego.

Jackson usiadł okrakiem na krześle i splótł dłonie na jego oparciu.

- Wiem, co masz na myśli. Pewnie wszystko byłoby prostsze, gdyby to gris-gris od Marie okazało się skuteczne.

- Zupełnie o tym zapomniałam. Gdzie je schowałeś?

- Chyba nadal jest w kieszeni. Nie mam serca go wyrzucić, bo nie chcę zranić jej uczuć.

- Tak samo jest ze mną. Wolałabym nie urządzać tego balu, ale rodzina bardzo na mnie liczy, a goście od dawna się na niego cieszą. - Zaczęła nalewać czekoladę do kubków. - Ale żałuję, że zgodziłam się na ten baśniowy motyw, bo...

Urwała nagle, wydając cichy okrzyk bólu. Garnek, który trzymała, upadł z głośnym stukiem na podłogę. Jackson poderwał się i chwycił Charlotte za ramię, by ją podtrzymać.

- Co się stało?
- To nic groźnego. Trochę się oparzyłam.
- Daj mi obejrzyć rękę.

Podprowadził ją do lampy i przyjrzał się jej dłoni. Skóra na czubkach palców była lekko zaczerwieniona.

- Włóżmy tę rękę pod strumień zimnej wody - powiedział. - To powinno zmniejszyć ból.

Charlotte kiwnęła głową i nagle zaczęła się śmiać.

- Oto co mnie spotyka, kiedy tylko wspominam o magii - oznajmiła, unosząc w górę mokre palce.- Wystarczy, że o niej pomyślę, a natychmiast dzieje się coś złego. - Spojrzała na garnek. - Właśnie dlatego nie gotuję.

- Tym razem miałaś dobre intencje.

- Ale koniec jak zwykle był żaloszny. Sama nie wiem, dlaczego mnie to tak rozbawiło. Nie ma nic śmiesznego w rozlewaniu czekolady, a w dodatku muszę teraz wytrzeć podłogę.

- Zawsze byłaś perfekcjonistką i robiłaś wszystko dokładnie. Pewnie dlatego kuchnia wygląda jak pobojuwisko. A twój szlafrok przypomina nakrapiane jajko.

Dotknął palcem wskazującym jednej z plam i poczuł bijące od jej skóry ciepło.

- Jackson!

Wszystkie opcje były jeszcze otwarte. Mógł opuścić rękę, cofnąć się o krok i zamienić całą sprawę w żart. A potem pomóc jej w sprzątaniu kuchni i schronić się swoim pokoju. Ale kilka centymetrów od swego palca dostrzegł zarys czubka jej piersi. I poczuł przyspieszone bicie serca.



- Jackson...

- Tak...?

Słowa uwięzły mu w gardle, bo Charlotte pochyliła się i przywarła do jego dłoni. A kiedy poczuła na piersi delikatny uścisk jego palców, wydała jęk rozkoszy, zagłuszając głos rozsądku. Nie chciała go słuchać. Pragnęła tylko tego, żeby ta chwila szczęścia trwała jak najdłużej.

Jackson zaczął powoli przesuwając rękę po jej ciele, a ona odchyliła się do tyłu, jakby prosząc o coś więcej. Choć żaden mężczyzna nie dotykał jej w taki sposób już od dawna, wcale nie czuła wstydu. Miała wrażenie, że oboje przeżywają na nowo swoją młodość. Przecież Jackson zna ją lepiej niż ktokolwiek inny. Miała ochotę rzucić mu się w ramiona, gdy tylko weszła do kuchni i ujrzała go na tle okna.

- Charlie...

Uniosła głowę, spojrzała w jego twarz i dostrzegła na niej pożądanie. Zdała sobie sprawę, że jeszcze nie jest za późno. Że może się cofnąć przed zrobieniem ostatecznego kroku. Że do tego właśnie nakłania ją głos rozsądku. A potem uświadomiła sobie, iż od początku znajomości z Jacksonem nigdy nie kierowała się rozsądkiem. Więc westchnęła głęboko i przywarła do niego całym ciałem.

- Jackson... - szepnęła. - Jackson, proszę cię...

Wyprostował się i odpowiedział na jej prośbę namiętym pocałunkiem. Nigdy dotąd nie przeżyli czegoś podobnego. Potem wsunął kolano między jej uda, a ona poczuła tak wielkie pożądanie, że ugięły się pod nią kolana. Wsunął dłonie pod jej pośladki i uniósł ją, przyciskając plecami do ściany. Usłyszała zgrzyt zamka błyskawicznego i zdała sobie sprawę, że Jackson zdejmuje dzinsy. Wysunęła biodra na jego spotkanie i

po chwili go poczuła. Nie zdając sobie z tego sprawy, zamknęła oczy i poddała się działaniu magii.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudził ją zapach kawy. Otworzyła jedno oko i ujrzała stojący na jej nocnym stoliku kubek. Czowała w całym ciele miłe odrętwienie. Nie przypominała sobie, by parzyła kawę, doszła więc do wniosku, że musiała potem ponownie zasnąć.

- Dzień dobry, Charlie.
- Jackson...? - spytała, gwałtownie otwierając oczy.
- Jak się miewasz? - spytał z uśmiechem.

Zaraz po obudzeniu nigdy nie była zupełnie przytomna, ale teraz przypisywała swoje oszołomienie obecności Jacksona. Jego włosy były teraz mokre i gładko zaczesane, a skóra na twarzy błyszczała po niedawnym goleniu. Miał na sobie dżinsy, ale nie zapiął jeszcze koszuli, której poły zwisały po obu stronach jego klatki piersiowej. Zapach mydła i jego skóry wydał jej się znacznie bardziej podniecający niż aromat kawy.

Jęknęła cicho i zasłoniła oczy dłonią.

- Nie zamierzam cię przeproszać - powiedział, kładąc się obok niej na kołdrze.
- Jackson...
- W każdym razie nie za to, co zrobiliśmy. Czuję się dziś rano zbyt

dobrze, by udawać, że jest mi przykro. Jeśli idzie o sposób, w jaki to zrobiliśmy... to mam nadzieję, że nic ci nie dolega.

Charlotte była trochę obolała, ale poza tym czuła się doskonale. Od dawna już nie obudziła się w tak doskonałym humorze. Dobrze pamiętała cudowne przeżycia ubiegłej nocy. Na ich wspomnienie zamknęła oczy. Potem spojrzała na Jacksona.

Żyła ze swoim mężem przez dwanaście lat. Pod koniec tego związku łączyły ich jedynie zdawkowe rozmowy podczas śniadania i wspólnej jazdy do pracy. Ale nawet na samym początku ich związku seks nie sprawiał jej przyjemności. Zakładała wtedy, że wina leży po jej stronie, a jej mąż utwierdzał ją w tym przekonaniu. Właśnie dlatego doszła do wniosku, że nie nadaje się do małżeńskiego życia.

A jednak to, co przeżyła z Jacksonem, sprawiło jej wielką rozkosz.

- Nigdy nie czułam się lepiej - odparła uśmiechnięta.

- To doskonale. Bałem się, że wykazałem zbyt wielki entuzjazm.

Istotnie, pomyślała Charlotte. Dobrze, że zaniósłeś mnie do łóżka, bo kiedy staliśmy przy tej ścianie, miałam miękkie kolana i omal nie upadłam na podłogę.

- Oboje wykazaliśmy wiele zapału - mruknęła cicho.

Jackson oparł się na łokciu i spojrzał jej w oczy.

- Mam nadzieję, że tego nie żałujesz - wyszeptał.- Nie, ale zrobiliśmy głupstwo.

- Dlaczego?

- Czy naprawdę muszę ci to tłumaczyć? Przecież ustaliliśmy, że będziemy tylko przyjaciółmi. To wszystko, na co możemy sobie pozwolić. Każde z nas ma własne życie i własne cele. Pod tym względem

nic się nie zmieniło.

- Nic nie musiało się zmienić - powiedział, owijając jej włosy wokół palca.

- Przecież...

- Posłuchaj mnie. Sporo o tym myślałem. Wiemy, kim jesteśmy i do czego dążymy. To, co się wydarzyło, niczego w tej sprawie nie zmienia, prawda?

- Oczywiście, że nie.

- Postaw sprawę uczciwie, Charlotte. Miałaś ochotę, żeby się ze mną przespać, prawda?

- Tak, Jackson, ale...

- I nie czułabyś się dziś tak dobrze, gdybyśmy tego nie zrobili?

- Owszem, ale...

- Tylko bez żadnych „ale” - powiedział, przykładając palec do jej ust. - To wcale nie jest tak bardzo skomplikowane. Oboje przeżywaliliśmy trudne chwile i musieliśmy rozładować napięcie.

Być może jej umysł nie funkcjonował jeszcze całkiem sprawnie, ale nie potrafiła znaleźć żadnych argumentów podważających jego sposób myślenia.

- Mówisz o tym w taki sposób, jakbyś nie wiedział, że zrobiliśmy głupstwo.

- Ja po prostu usiłuję rozumować logicznie.- Trudno rozumować logicznie, leżąc w łóżku.

- Nie przychodzi mi do głowy żadne lepsze miejsce. - Przesunął palec z ust na jej szyję, a potem dotknął nim nasady ucha. - Jesteśmy parą dorosłych ludzi, których ciągnie ku sobie jakaś chemia. Dlaczego nie

mielibyśmy cieszyć się tym, co mamy?

I tym razem nie potrafiła wymyślić żadnej przekonującej odpowiedzi. Kiedy była rozsądna i odpowiedzialna, nigdy nie czuła się tak dobrze jak teraz, więc może Jackson ma rację. Dlaczego nie powinni po prostu cieszyć się tym, co mają? Zamiast nadmiernie to wszystko komplikować. Bądź co bądź są dorosłymi ludźmi, a nie parą sentymentalnych nastolatków, kierujących się nierealistycznymi oczekiwaniami. To one właśnie naraziły ich w przeszłości na ból rozstania. Teraz wszystko wygląda inaczej. Oboje wiedzą, czego chcą. Są realistami. Cóż może być złego w tym, że...

Zdała sobie sprawę, że nie potrafi logicznie myśleć, kiedy Jackson dotyka jej w taki sposób. Przesunęła dłonią po jego ramieniu.

- No dobrze, skoro powiemy sobie jasno, że chodzi tylko o seks...

Przytulił ją mocniej i wsunął kolano między jej uda.

- No cóż, to nie był zwykły seks, tylko cudowne przeżycie.

Charlotte roześmiała się głośno.

- Trzeba przyznać, że jesteśmy w tym lepsi niż dawniej.- Mogę powiedzieć na swoją obronę tylko tyle, że byłem po prostu napalonym smarkaczem. Nie miałem pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Przytuliła policzek do jego włosów, czując, że unosi ją fala wspomnień. Wspólnie przeżyli swą pierwszą miłosną przygodę. Choć podczas spotkań trzymali się za ręce i wymieniali niewinne pocałunki, Charlotte uważała się za porządną dziewczynę, więc „pozwoliła mu na wszystko” dopiero wtedy, kiedy zdali maturę.

Nie było to romantyczne przeżycie, jakiego oczekiwała. Oboje byli zbyt młodzi i zbyt naiwni. Pierwsze zbliżenie, które nastąpiło w

samochodzie jego ojca, zawiodło jej oczekiwania. Kolejne próby narażyły ją na frustrację, a dla niego stały się przyczyną zażenowania. Zanim zdążyli nabrać wprawy, Jackson wyjechał do college'u. Ona zaś, nadal pielęgnując marzenie o romantycznej miłości, postanowiła odłożyć dalsze zbliżenia aż do nocy poślubnej.

Jak się okazało, nie spędziła jej z Jacksonem. Ale kiedy wyszła za mąż, życie erotyczne nadal nie sprawiało jej większej satysfakcji.

Zakładała więc, że wina leży po jej stronie.

- Żadne z nas nie miało wtedy pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, Jackson - szepnęła.

- Ale teraz już to wiemy, prawda?

- Chyba tak... - odparła z uśmiechem. Jackson uniósł głowę i spojrzał na nią z wyrzutem.

- Chyba? Czy chcesz zobaczyć, jak mnie podrapałaś?- Czyżbyś oczekiwał ode mnie komplementów?

- Nie muszę. Twój uśmiech mówi sam za siebie.

- Która godzina?

- Dochodzi siódma. O której musisz być w hotelu?

- Dopiero o dziesiątej.

- W takim razie mamy trochę czasu - mruknął, odchylając pościel i kładąc dłoń na jej biodrach.

Jackson siedział na barowym stołku, nieświadomie poruszając głową w rytm jazzowej melodii. Wykonawczyni piosenki, Holly Carlyle, zaczynała karierę właśnie tutaj. I choć przeniosła się później do klubu swego przyjaciela, postanowiła wystąpić gościnnie z okazji karnawału. Miała piękny głos znakomicie współbrzmiający z akompaniującym jej sa-

ksofonem.

Jackson przeniósł wzrok na stół, przy którym siedziała Charlotte. Choć była pogrążona w rozmowie z Melanie, przez cały czas wybijała rytm stopą. Był zadowolony, kiedy wkładała buty na obcasach. Wydłużały one jej nogi i sprawiały, że chodziła bardziej seksownym krokiem. Zostawiła dziś w domu swój elegancki kostium i włożyła sweter. Komuś, kto dobrze jej nie znał, ten strój mógł się wydać konserwatywny, niemal bezpłciowy. Ale Jackson wiedział dobrze, że kryje się pod nim namiętna kobieta.

Jakby czując na sobie jego wzrok, odwróciła się i posłała mu serdeczny uśmiech. Potem wróciła do rozmowy z siostrą, ale on poczuł jej spojrzenie całym ciele. Był przekonany, że po kilku godzinach, które spędzili rankiem w łóżku, jego pożądanie trochę osłabnie. A ono stało się jeszcze silniejsze. Pamiętając ich nieudane, młodzieńcze próby uprawiania seksu, nie domyślał się, że mogą tak bardzo pasować do siebie w łóżku. Kładł to na karb specyficznych okoliczności, które sprawiły, że oboje potrzebowali chwili zapomnienia.

Ale dlaczego odczuwa taki niepokój? Przecież chodzi tylko o seks. Nie zamierzał otwierać żadnych dawnych ran. Ani tym bardziej zakochać się w tej kobiecie po raz drugi. Na myśl o tym przestał się uśmiechać. Nie, nie może sobie pozwolić na powtórzenie tego błędu. Tym razem wszystko jest jasne. Ma jej pomóc w przeżyciu kilku następnych dni, a potem zniknąć.

Rozejrzał się po sali i dostrzegł przy wejściach umundurowanych strażników. Inni pracownicy ochrony byli ubrani po cywilnemu i siedzieli wśród gości hotelu.

Do stołu Charlotte podszedł szybkim krokiem jakiś wysoki mężczyzna. Jackson nie dostrzegł w tym nic niepokojącego. Wiedział, że jest to Robert LeSoeur, który ma omówić z siostrami Marchand szczegóły dotyczące wtorkowego balu.

Robert usiadł obok Melanie i położył rękę na oparciu jej krzesła. Nie ukrywał swych uczuć wobec najmłodszej z sióstr Marchand. Na jego twarzy malowała się miłość. Oboje pracowali w tym samym miejscu i mieli takie same cele. Najwyraźniej doskonale się dobrali. Żadne z nich nie musiało zdobywać się na jakiegokolwiek poświęcenie.

Przecież miałem nie otwierać dawnych ran, przypomniał sobie Jackson.

- Przepraszam cię, Luc, ale myślę, że masz już dosyć.

Jackson zerknął w kierunku, z którego dochodził głos. Para gości zajmująca sąsiednie stołki właśnie wyszła, więc widział doskonale człowieka, który siedział na drugim końcu baru. Luc Carter nadal miał na sobie służbową marynarkę, ale jego krawat był rozluźniony, a guzik koszuli odpięty. Jego z reguły nienagannie zaczesane włosy były tak zmierzwione, jakby stale przesuwał po nich palcami.

- Wcale nie mam dosyć, Leo - powiedział, stukając szklanką o blat.

- Nalej mi jeszcze jednego.

- Człowieku, ja usiłuję wyświadczyć ci przysługę - mruknął barman, wyjmując z jego ręki pustą szklankę. - Czy chcesz zrobić z siebie durnia w obecności szefowej?

Luc obejrzał się tak gwałtownie, że omal nie spadł ze stołka. Musiał chwycić się krawędzi baru, by odzyskać równowagę.

- I co z tego? Skończyłem już dyżur. Strzemiennego.



Jackson przesunął się wzdłuż baru i usiadł obok Luca.

- Jak wygląda twoja ręka?

- Doskonale, doktorcu - odparł Luc, usiłując skupić na nim błędny wzrok. - Nigdy nie wyglądała lepiej. Bijący od niego zapach alkoholu potwierdził podejrzenia, jakie budził niechlujny wygląd i brak koordynacji ruchów. Jackson nie dziwił się, że Leo nie chce mu nalać następnego drinka. Luc był pijany.

- Proszę o czarną kawę - powiedział do barmana. Kiedy ją dostał, dotknął palcem rękawa Luca, niedaleko miejsca, w którym zabandażował jego zranioną rękę. - Czy ktoś oglądał tę ranę od dnia pożaru?

- Już mówiłem, że wszystko jest w porządku.

Jackson odchylił rękaw i delikatnie dotknął palcem miejsca, w którym znajdowała się krawędź bandaża. Skóra Luca była chłodna, co wykluczało infekcję rany.

- Chcę ci raz jeszcze podziękować za pomoc przy opatrywaniu Emilia - rzekł do recepcjonisty. - Powiedziano mi w szpitalu, że szybko wraca do zdrowia.

Luc zacisnął dłoń w pięść i uderzył nią w blat tak mocno, że filiżanka z kawą zaklekotała o spodek.

- Niech ich szlag trafi... - wymamrotał.

- Kogo?

- Tych Corbinów. To szubrawcy.

Nie było żadnego powodu, dla którego właścicielki hotelu Marchand miałyby ukrywać swe podejrzenia wobec Corbinów. Charlotte, chcąc uchronić się przed kolejnymi aktami sabotażu, musiała ostrzec przed nimi wszystkich pracowników. Jackson nie był więc zaskoczony

stwierdzeniem Luca, choć zdziwiła go gwałtowność, z jaką wypowiedział ostatnie zdanie.- Robimy, co możemy - stwierdził zdawkowym tonem, nie chcąc wdawać się w dłuższą dyskusję.

- Trzeba ich powstrzymać, zanim skrzywdzą kogoś innego.
- Nie damy im tej szansy.
- Marchandowie byli dla mnie dobrzy. Traktowali mnie jak członka

rodziny. Oni na to nie zasługują.

- To prawda - przyznał Jackson, przesuwając filiżankę w stronę Luca. - Są uczciwymi ludźmi.

Luc spojrzał podejrzliwie na kawę.

- Ja tego nie chcę. Mam ochotę na drinka.

- To ci w niczym nie pomoże.

- Co mi nie pomoże?

- Upijanie się. Unikanie problemu nie przyczyni się do jego rozwiązania. Kiedy wytrzeźwiejesz, on nadal tam będzie. A kac sprawi, że wyda ci się jeszcze trudniejszy niż przedtem.

Luc wychylił się do przodu, oparł łokcie o bar i ukrył twarz w dłoniach. Jackson zerknął w stronę stolika, przy którym siedziała Charlotte, nadal pogrążona w dyskusji z Melanie i Robertem. Ludzie Maca dyskretnie krążyli po sali, obserwując gości i wejścia. Śpiewaczka zaczęła następny utwór. Wszystko wyglądało normalnie, więc Jackson ponownie skupił uwagę na Lucu.

Ten zaś sprawiał wrażenie człowieka pogrążonego w głębokiej depresji. Jackson podejrzewał, że jej przyczyną nie są jedynie problemy, jakie przeżywa hotel, że musi ona mieć bardziej osobiste podłoże.-

Chodzi o pieniądze czy o kobietę? - spytał cicho.

Luc spojrział na niego jednym okiem.

- Czego chcesz?

- Pytam, co leży ci na sercu.

- Zawsze wtykasz nos w cudze sprawy? - spytał pogardliwym tonem Luc. - Czy masz takie hobby?

- Prawdę mówiąc, owszem - odparł Jackson. - Tak się składa, że wbrew własnej woli robię to przez całe życie.

- Jasne, łatwo jest grać rolę miłego faceta, kiedy ktoś się urodził w czepku. Nie masz pojęcia, co przeżywają ludzie nie należący do elity.

- Jeśli chodzi o mnie, to nigdy nie byłem bogaty, Luc. Nie wiem, skąd ci to przyszło do głowy.

- Ale utrzymujesz kontakty z Marchandami. I jesteś lekarzem.

Jackson wiedział, że został zaakceptowany przez rodzinę Charlotte, ale wątpił, by babka Celeste zmieniła zdanie na jego temat. Nie zamierzał jednak tłumaczyć tego Lucowi.

- Jestem lekarzem, bo zdobyłem stypendium do Harvardu. Pieniądze, które zarabiałem w firmie ojca, rozwożąc lodówki, nie wystarczyłyby nawet na jeden rok nauki w miejscowym college'u. Wiem, jak czuje się człowiek, który nie należy do elity.

Luc potrącił łokciem filiżankę z kawą, potem powoli podniósł głowę i strząsnął krople z rękawa. Przez chwilę milczał, jakby zastanawiając się, czy mówić dalej.- Mój stary urodził się w bogatej rodzinie - wyznał w końcu. - Mieli pieniądze, wielką rezydencję, wszystko, czego mógł zapragnąć. Ale matka wyrzuciła go z domu.

- Musiała mieć jakiś powód.

- Miała, ale nigdy się do tego nie przyznał. Oskarżał wszystkich

innych o to, że sam zmarnował sobie życie.

- A gdzie jest teraz?

- Nie żyje.

Jackson nie wierzył w to, że Luc może pić z żalu po śmierci ojca, więc nie złożył mu kondolencji. Czekał w milczeniu na jego dalsze słowa.

- Problem polega na tym... - Luc urwał, odchrząknął głośno i podniósł oburącz do ust filiżankę z kawą. - Ja też oskarżałem wszystkich oprócz niego. Potępiłem jego rodzinę, choć nie znałem sprawy.

Uważałem, że powinienem się na niej zemścić za jego marny los, i w rezultacie schrzaniłem własne życie.

- W jaki sposób, Luc?

- Jest już za późno, by cokolwiek naprawić. Jackson z trudem nadał za chaotycznymi wypowiedziami Luca, ale postanowił nie rezygnować.

- Czy chcesz mi powiedzieć, że przyczyną twojej depresji jest chęć pojednania się rodziną?

Luc powoli potrząsnął głową.

- Za wiele kłamstw. Nie wiem, jak się do tego zabrać.

- To proste. Musisz tylko wyznać prawdę. Luc wypił duży łyk kawy, zakrztusił się i wytarł oczy. Spojrzał w kierunku stołu, przy którym siedziała Charlotte, a potem nagle zsunął się z barowego stołka.

- Tylko ostrożnie - mruknął Jackson, chwytając go za ramię.

Luc zrobił kilka chwiejnych kroków.

- Miałeś rację.

- Luc...

- Siedzenie w barze i picie niczego nie rozwiąże. A tak właśnie

postępował przez całe życie mój stary. - Przygładził włosy i poprawił krawat, starając się nadać sobie wygląd człowieka trzeźwego. - Muszę powiedzieć prawdę.

Jackson spojrział na niego z niepokojem.

- Poprośmy barmana, żeby wezwał ci taksówkę. Luc poklepał się po kieszeniach i wyjął komórkę.

- Dziękuję, doktoru, ale dam sobie radę bez niego.

Jackson zdał sobie sprawę, że nie może zrobić dla niego nic więcej. Poza tym przyszedł do baru, by opiekować się Charlotte, a nie po to, by udzielać dobrych rad obcym ludziom. Spojrzął w kierunku jej stołu, stwierdził, że jest pusty, i poczuł gwałtowny przypływ lęku. Ale zanim odszedł od baru, usłyszał za plecami jej głos.

- Cześć, przystojniaku. Często bywasz w tym lokalu?

Odwrócił się i odetchnął z ulgą, zadając sobie w duchu pytanie, co właściwie było przyczyną jego niepokojów. Potem wyciągnął w jej kierunku zdrową rękę.

- Nie, ale słyszałem, że tu właśnie można spotkać najpiękniejsze kobiety.

Charlotte ścisnęła palcami jego dłoń. Nie miała już w ręku teczek, lecz białą papierową torbę.

- Podoba ci się ta muzyka?

- Jasne. Miałaś rację, ta Holly jest doskonała. Czy załatwiłaś już swoje sprawy?

- Tak, wszystko jest ustalone. A w dodatku zamieniłam z Melanie teczkę na nocny poczęstunek z Chez Remy.

- Chyba zrobiłaś dobry interes. Co tam jest? Wyciągnął rękę, ale

Charlotte ukryła torbę za plecami.

- Wolno ją otworzyć dopiero o północy. Jackson objął ją w pasie i zaczął się delikatnie

kołysać w takt muzyki.

- Więc co ustaliliście w sprawie balu? Przypuszczam, że nie podacie hamburgerów i piwa?

- Robert i Melanie zamierzają pójść na całość i wydać ucztę, którą każdy zapamięta do końca życia. Ale ja chciałabym mieć to już za sobą. Oferta Corbinów traci ważność o północy, a więc w momencie zakończenia balu.

Jackson zdał sobie sprawę, że gdy zagrożenie zniknie, będzie musiał wyprowadzić się od Charlotte. A ponieważ Yves zdaży tymczasem sprawdzić ponownie wyniki badań, być może czeka go operacja i powrót do pracy.- Czym się martwisz? - spytała Charlotte.

Dobre pytanie. Dlaczego myśl o tym, że jego marzenia się spełnią - że oboje osiągną swoje cele - nie sprawiała mu żadnej przyjemności?

Orkiestra zwolniła tempo. Saksofonista zaczął grać starą pieśń o tęsknocie i utraconym szczęściu. Jackson nie chciał jej słuchać. Nie chciał też słuchać pytań, które rozbrzmiewały w jego głowie. Pochylił się do ucha Charlotte.

- Czy chcesz pójść gdzieś, gdzie moglibyśmy się rozebrać?

- Myślałam, że nigdy o to nie spytasz - odparła ze śmiechem.

Na dziedziniec dochodziły tylko strzępy melodii, ale zawarty w niej smutek był czytelny. Luc chwiejnym krokiem minął ustawione w narożniku leżaki i stanął w cieniu cytrusowego drzewa. Oparł się o jego pień i odetchnął głęboko, usiłując uporządkować myśli.

Mógłby po prostu odejść. Zniknąć i znaleźć inną pracę. Zawsze budził sympatię i zaufanie ludzi, którzy widzieli go po raz pierwszy w życiu. Odziedziczył ten dar po ojcu. Podobnie jak tchórzostwo...

Spojrzał na trzymany w rękę telefon komórkowy. Nie musi nigdzie dzwonić. Może jeszcze uniknąć konsekwencji swoich czynów. Zniknąć z pola widzenia sióstr w taki sam sposób, w jaki zrobił to jego ojciec. Jego babka nie złagodniała z wiekiem. Nadal była apodyktyczną staruszką, która wygnała z domu swego jedyne go syna. Wiedział, że nie będzie mu jej brakowało.

Owszem, będzie tęsknił za innymi członkami rodziny. Anne i jej córki były niezwykłymi kobietami. Pokonały wszystkie problemy, na jakie naraził je w ciągu ubiegłych kilku miesięcy, i zachowały hotel w swoich rękach. Nie załamały się, były takie same jak dawniej. Ich odwaga potęgowała jego wstyd. Nie mógł po prostu odejść i zostawić ich własnemu losowi. Ale żeby zostać, musiałby wyznać prawdę. I bał się, że jeśli to zrobi, one nie będą chciały mieć z nim nigdy więcej do czynienia...

Oparł głowę o pień drzewa. Wiedział, że zmarnował życie. Żałował, że zdał sobie z tego sprawę tak późno. Teraz czeka go w najlepszym razie więzienie. O ile Blount nie każe go wcześniej zabić.

Na myśl o tym gwałtownie wytrzeźwiał. Nie miał wątpliwości, że akty wandalizmu, których dopuścili się bracia, były tylko wstępem. Mike Blount szykuje z pewnością jakiś duży numer. Ale nie zwierzył mu się ze swych planów, co samo w sobie było złą wróżbą.

Zdrowy rozsądek mówił mu, że powinien wiać, ale serce podpowiadało mu inne wyjście. Słuchając jego głosu, uświadomił sobie,

że jeśli pragnie wrócić na łono rodziny, musi coś dla niej zrobić. Spojrzał na telefon i wystukał numer, który znalazł w gabinecie Charlotte, kiedy podrzucał do jej teczki ofertę Corbinów. Nauczył się go na pamięć. W pewnym sensie przez cały czas zdawał sobie sprawę, że jest to dla niego jedyna droga ratunku.

W słuchawce rozległ się pogodny męski głos. Luc wziął głęboki oddech i zaczął mówić.

- Dobry wieczór, poruczniku Fergusson. Mówi Luc Carter...

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

*Creme brulee a la Charlotte* był jednym z czterech niezwykłych deserów, które skomponował Remy Marchand dla swych córek. Ten tradycyjny, elegancki przysmak odzwierciedlał charakter najstarszej z nich. Zapieczona karmelowa skorupka była dość twarda, ale gdy została rozbita, odsłaniała przepyszny słodki krem.

Deser ten był dostępny tylko w czterogwiazdkowej restauracji noszącej nazwę *Chez Remy*.

Charlotte jednak nie pamiętała, by smakował jej on kiedykolwiek tak bardzo jak teraz, kiedy jadła go we własnym salonie. Rozchyliła wargi, by Jackson mógł podać jej następną łyżeczkę. Krem natychmiast rozpląnął się w jej ustach, zalewając podniebienie falą wspaniałego smaku. Podwinęła pod siebie bosc stopy i oparła się wygodnie o kanapę. Miała na sobie tylko koszulę Jacksona, która dyskretnie osłaniała jej uda.

Jackson postawił talerz na leżącej między nimi poduszce i ponownie zanurzył łyżeczkę w kremie.



- Twoja twarz jest pełna ekspresji - oznajmił, pochylając się w jej stronę. - Kiedy patrzę, jak jesz, mam wrażenie, że czuję smak tego deseru. - Nic dziwnego - odparła z uśmiechem. - Zjadłeś go więcej niż ja.

- Tylko zewnętrzną warstwę. Cukier jest doskonałym źródłem energii, a ja muszę podtrzymywać siły.

- No cóż, skoro podchodzisz do tego w taki sposób, to otwórz usta - zażądała, nabierając na łyżkę następną porcję. - Przypomnij mi, żebym podziękowała Melanie.

- Więc to ona go przyrządziła?

- Nie, desery nie są jej najsilniejszą stroną. Ale to ona wpadła na pomysł, żeby go dla nas zapakować.

- Lubię twoje siostry. Ale czuję się najszcześniejszy, kiedy jesteśmy sami - oznajmił, odsuwając talerz i wyciągając do niej rękę. Ona zaś wydała radosne westchnienie i wtuliła się w jego ramiona.

- Mnie też jest z tobą bardzo dobrze - szepnęła cicho.

- Czy to znaczy, że odkupiłem swoje winy?

- O czym ty mówisz?

- Chyba nie zapomniałaś, jakim byłem kiepskim kochankiem, prawda?

- Jeśli masz na myśli czasy, w których oboje byliśmy dziećmi, to nie warto o nich wspominać.

- Ja je pamiętam, Charlotte. Moje niezdarne próby mogły zniechęcić do ranie każdą kobietę. Pewnie dlatego wydajesz się ciągle tak zaskoczona.

- Zaskoczona?

Przesunął palcem po czole Charlotte, a potem położył dłoń na jej

biodrze.

- Za każdym razem, kiedy szczytujesz, w twoich oczach maluje się bezbrzeżne zdumienie. Chyba nie przypuszczałaś, że jestem zdolny do...

- Jackson, wszystko ci się pomyliło. Jeśli byłam zdumiona, to nie twoim postępowaniem, lecz moją reakcją.

- Dlaczego?

Zawahała się. Trudno jej było ubrać w słowa to, co miała zamiar mu powiedzieć, gdyż bała się, że zabrzmiały one żałośnie. Z drugiej strony nie chciała, by Jackson myślał, że ocenia go na podstawie dawnych doświadczeń. Musiała przyznać, że jest on teraz wspaniałym kochankiem.

- Aż do wczoraj nie miałam orgazmu... - wyznała, dotykając dłonią jego policzka.

- Aż... - Zamrugął oczami. - Nigdy? Przesunęła palcem po jego ustach.

- Nie wiem dlaczego. Nie jestem przesadnie wstydliwa. Po prostu nigdy mi się nie udało...

Zacisnął dłoń na jej biodrze i spojrzał na nią badawczo. Jego niedowierzanie ustąpiło miejsca zrozumieniu, zabarwionemu po trosze męską dumą.

- Nie przeżywałam tego zbyt głęboko, Jackson. Pogodziłam się z rzeczywistością i nie rozpaczałam. Moje życie było pełne wydarzeń i czułam się spełniona. Seks nigdy nie miał dla mnie większego znaczenia.

- Przecież byłaś przez osiem lat mężatką.

- Owszem.

- I nigdy...?

- Nie. Przesunął rękę na jej udo i uniósł lekko brzeg koszuli.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Nie ma go nikt oprócz mojego byłego męża. Byłam zbyt nieśmiała, żeby z kimkolwiek o tym rozmawiać. A poza tym nie miało to znaczenia. Byłam zbyt zajęta pracą, by myśleć o romansach, więc z nikim się nie spotykałam. A teraz, kiedy mam czterdzieści lat, pogodziłam się z własnym życiem.

- A jednak teraz doceniasz uroki seksu.

- Jak sam powiedziałaś, jest to zapewne skutek zbiegu okoliczności.

- Dotknęła palcem jego piersi. - I chemii, która nas do siebie ciągnie.

- I to bardzo silnie. - Jackson położył głowę na oparciu kanapy i przyciągnął Charlotte jeszcze bliżej. Przez chwilę w milczeniu głaskał ją po włosach. - Czy dlatego rozwiodłaś się z Adrianem? Z powodu braku... tej chemii?

Rozmowa na ten temat była dla niej krępująca, ale sama ją zaczęła, więc nie mogła mieć do niego pretensji.

- W pewnym sensie.

- Co to znaczy „w pewnym sensie”?

- Adrian nie był wiernym mężem. Nie wiem, kiedy zaczął się zadawać z innymi kobietami, ale ja odkryłam to dopiero po pięciu latach małżeństwa.

- Ale mimo to wytrwałaś w tym związku jeszcze przez trzy następne lata.

- Myślałam, że wina leży po mojej stronie. Nasze życie erotyczne nie budziło we mnie żadnych emocji, więc nie mogłam mu mieć za złe tego, że szuka spełnienia gdzie indziej. Postanowiłam dać mu jeszcze jedną szansę. A poza tym byliśmy związani wspólnotą interesów.

- To prawda. Twoi rodzice dali mu posadę.
- On był bardzo cennym pracownikiem naszej firmy.
- A dla ciebie dochody z hotelu były ważniejsze niż wierność małżeńska.

Była dotknięta jego chłodnym tonem, ale nie mogła odmówić temu stwierdzeniu pewnej dozy słuszności. Sama nie mogła pojąć, dlaczego trwała w upokarzającym i niezadowolającym związku tylko po to, by nie narazić na szwank firmy. Przecież zawsze marzyła o takim małżeństwie, jakie mieli szczęście zawrzeć jej rodzice - o partnerstwie opartym na miłości i wspólnocie zainteresowań.

- Owszem. - Odsunęła się od niego i wstała z kanapy. - Można to tak ująć. W ostatecznym rachunku hotel był dla mnie ważniejszy niż Adrian.

- Może miał błękitną krew i imponujący rodowód, ale moim zdaniem był łobuzem.

- Och, jeszcze gorszym, niż myślisz. Wiedział, jak bardzo chcę mieć dzieci. Twierdził, że on też ich pragnie, i obiecywał, iż obdarzymy je taką samą miłością i troską, jaką moi rodzice otaczali mnie. Upierał się, że musimy mieć duży dom z wielkim ogrodem, położony blisko babci, żeby dzieci mogły ją codziennie odwiedzać. Przedstawił mi cudowną wizję takiego życia, jakiego zawsze pragnęłam. Jackson milczał. Była mu za to wdzięczna. Po raz pierwszy rozmawiała z kimkolwiek o swoim małżeństwie, ale skoro już raz zaczęła o nim mówić, chciała doprowadzić temat do końca. Zatrzymała się obok regału z książkami, na którym stała fotografia Daisy Rose. Przypomniała sobie bajki, które czytywała swojej siostrzenicy.

- Kiedy przez dłuższy czas nie udawało mi się zajść w ciążę, myślałam, że wina leży po mojej stronie. Nie chodziło o aspekt medyczny, bo przeszłam wszystkie możliwe badania i wiedziałam, że nic mi nie dolega. Zaczęłam wierzyć, że nie jestem w pełni kobietą, więc nie mogę być żoną i matką. Poznałam prawdę dopiero po ośmiu latach małżeństwa. Adrian przeszedł przed ślubem wazektomię, ale nie raczył mnie o tym powiadomić.

- Charlie, to okropne.

- Powiedziałeś, że nigdy go nie lubiłeś. Zawsze potrafiłeś prawidłowo oceniać charakter ludzi.

- Nie lubiłem go, bo był snobem. I za to, że ożenił się z tobą. - Wstał i położył dłoń na jej plecach. - Teraz, kiedy wiem, że cię oszukał, nie lubię go jeszcze bardziej.

- Powinnam była przejrzeć go na wylot, ale byłam tak zajęta budowaniem tej wymarzonej przyszłości, że nie dostrzegałam prawdy. Adrian zdecydował się na tę operację podczas jednego ze swych wcześniejszych romansów, bo nie chciał ryzykować, że zostanie ojcem nieślubnego dziecka. Małżeństwo ze mną podnosiło jego prestiż i dawało mu szansę prowadzenia hotelu, więc starał się zachowywać dyskrecję. Nie chciał zaszkodzić swej opinii, wywołując skandal w rodzinie. Zawsze bardzo dbał o swój wizerunek. Spędzał przed lustrem więcej czasu niż ja, ale nie jest to zaskakujące, gdyż był swoją pierwszą i jedyną miłością. - Ukryła twarz w dłoniach. Jej głos nagle się załamał. - Mój Boże, jak ja mogłam być aż tak głupia...

- Nie byłaś głupia, Charlie. - Jackson chwycił ją za ramiona i odwrócił twarzą do siebie. - Chciałaś po prostu zrealizować swoje

marzenie.

Charlotte opuściła ręce. Teraz wie, że jej małżeństwo z Adrianem było pomyłką od samego początku. Zdawało jej się, że go kocha, bo był przystojny i czarujący, a poza tym posiadał dyplom z dziedziny zarządzania hotelami. Wydawał się dla niej stworzony. A ona nie przyjrzała mu się dokładniej, by nie narazić na szwank tego idyllicznego związku. Myślała, że Adrian wypełni pustkę, jaka powstała w jej sercu po odejściu Jacksona.

Oparła głowę na jego ramieniu w taki sam sposób, w jaki robiła to za czasów ich młodości.

- Nie wiem, czy można kochać jakiś obiekt w taki sam sposób, jak kocha się człowieka - rzekła cicho. - Ale kiedy rozwiodłam się z Adrianem, ten hotel był wszystkim; co pozostało z, mojego wymarzonego życia. Był jedynym stałym elementem. Czymś więcej niż firma czy budynek. Był... jest... moją kotwicą. Naprawdę nie wiem, co bym bez niego zrobiła... Otworzył drzwi wyjściowe tak gwałtownie, że uderzyły głośno o framugę. Ich wibracja przeniosła się na jego rękę, wywołując ukłucie bólu. Charlotte minęła go i weszła do hotelu, ale przedtem spojrzała na niego pytająco.

- Klamka wysunęła mi się z ręki, bo mam za mało siły, żeby ją przytrzymać - wyjaśnił, wzruszając ramionami.

- Jesteś dziś od rana w dziwnym nastroju. Czy dobrze się czujesz?

- Nic mi nie jest - odparł z wymuszonym uśmiechem. - Od czego zaczynamy urzędowanie?

- Muszę wpaść do gabinetu i przeczytać maile. - Zerknęła nad jego ramieniem w głąb holu. - To dziwne... Chciałabym wiedzieć, gdzie jest

Luc.

- Pewnie odsypia kaca - mruknął z uśmiechem.

- Luc? Nie wiedziałam, że on pije.

- W każdym razie robił to wczoraj. Spotkałem go w barze. Był przygnębiony, wspominał coś o problemach rodzinnych.

- Niewiele wiem o jego życiu osobistym. Zawsze zachowuje dyskrecję i nie wspomina o...

- Charlotte!

W ich kierunku szybkim krokiem szła asystentka Charlotte, Julie Sullivan. Ledwie spojrzawszy na Jacksona, zaczęła omawiać ze swą szefową aktualne problemy. Tak było każdego ranka. Gdy tylko przekroczyli drzwi wejściowe, Charlotte wciągały sprawy hotelu.

Może to dobrze, pomyślał Jackson. Przecież sama stwierdziła wczoraj, że hotel jest jej kotwicą, jedynym pewnikiem w życiu. I że kocha go jak żywą osobę.

Włożył ręce do kieszeni i starał się dotrzymać kroku obu kobietom, które ruszyły w kierunku schodów. W holu było więcej gości niż kiedykolwiek dotąd. Uznał to za dobry znak. Nie chciał, by Charlotte straciła hotel, a przecież do końca karnawału zostało niespełna trzydzieści sześć godzin. Wypłacalność instytucji zależy od tego, czy osiągnie ona w tym czasie odpowiednio wysoki dochód.

Gdy Charlotte przekreśliła klucz, pchnął drzwi i zajrzał do wnętrza gabinetu. Na szczęście nie dostrzegł żadnych śladów zniszczenia. Wszystko wyglądało tak jak wczoraj. Niestety i tym razem drzwi wyrwały się z jego ręki i uderzyły o framugę. Charlotte zdjęła żakiet i powiesiła go na poręczy fotela, a potem wyjęła z kieszeni telefon i

odwróciła się w stronę Jacksona.

- Powiedz mi, co się naprawdę z tobą dzieje.

- Ręka nie jest w pełni sprawna - odparł, poruszając palcami. -

Czasem wkładam w najprostsze czynności zbyt dużo siły.

- Nie próbuj mnie oszukiwać, Jackson. Jesteś od rana spięty. Czy denerwuje cię czekanie na wyniki badań?

Trafiła w sedno. Perspektywa trwałego kalectwa wydawała mu się coraz bardziej realna, ale nie zamierzał się do tego przyznawać.

- Nie potrzebuję twojej litości, Charlie - mruknął przez zęby. - Ja ci jej nie okazuję. Myślałam, że znasz mnie na tyle, żeby to wiedzieć. Moje problemy finansowe różnią się od twojej rany, ale rozumiem, co przeżywasz. - Uniosła jego dłoń do swojej twarzy. - Jutro mamy wielki dzień.

Jak to możliwe, że oboje stoimy w obliczu utraty tego, czemu poświęciliśmy całe życie? - spytał się w duchu. Ale przyjmując jej współczucie, czuję się jak oszust. Bo choć z pewnością źle to o mnie świadczy, w gruncie rzeczy chciałbym, żeby straciła ten hotel.

Twierdząc, że nie nienawidzi Hotelu Marchand, nie powiedział jej całej prawdy. Jakaś jego częśćka zawsze go nienawidziła. Spędził w tych murach znaczną część swej młodości i miał z tego okresu wiele pięknych wspomnień, ale jego uczucia wobec tego miejsca były zawsze zabarwione zazdrością. Charlotte czuła się tu jak u siebie w domu, ale on nigdy nie pasował do tego wytwornego wnętrza.

W końcu hotel stał się jego konkurentem. Dlatego go nienawidził. Charlotte wybrała hotel, zanim jeszcze poślubiła Adriana. Nadal był jego konkurentem. Nawet leżąc w jego ramionach oświadczyła, że nie wie, co by zrobiła bez tego hotelu. Miał wtedy ochotę zawołać: przecież możesz



stąd wyjechać razem ze mną! A teraz zdawał sobie sprawę, że jeśli hotel zbankrutuje, ona odzyska wolność, a on będzie jej mógł zaproponować wspólną przyszłość.

Ale jej taka ewentualność w ogóle nie przychodziła do głowy. A on był zaskoczony, że to sprawia mu taki ból.- Przepraszam - mruknął. - Masz rację. Jestem po prostu zdenerwowany.

- To ja powinnam cię przeprosić, Jackson.

- Za co? Przecież nie ty jesteś w kiepskim nastroju.

- Za to, że rozmawiałam z tobą o Adrianie. Zauważyłam, że to cię zirytowało. Czy nie mam racji?

Bezradnie przesunął dłonią po włosach, zastanawiając się, co jej odpowiedzieć. Dla niego była to już przebrzmiała przeszłość.

- Chyba postąpimy rozsądniej, zmieniając temat - mruknął, podchodząc do okna i wyglądając na dziedziniec.

- Nie zgadzam się. Jeśli coś cię dręczy, powinniśmy o tym rozmawiać. Sam zawsze mnie do tego zachęcałeś.

- Co nam przyjdzie z rozgrzebywania przeszłości?

- Może przyczyni się do oczyszczenia atmosfery. Już raz udało nam się to osiągnąć, prawda?

- Czy jesteś pewna, że chcesz usłyszeć moje zdanie?

- Oczywiście, Jackson.

Zacisnął zdrową rękę w pięść i uderzył nią w okienną ramę.

- No dobrze. Byłem ci wdzięczny za szczerość, kiedy opowiadałaś o swoim małżeństwie, i zdaję sobie sprawę, że niełatwo ci o tym mówić, ale nie jestem święty, Charlie. - Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. -

Usiłuję być tolerancyjny, ale nie potrafię zapomnieć o tym, że rzuciłaś

mnie dla Adriana. Wyciągnęła przed siebie rękę w taki sposób, jakby chciała go dotknąć, ale zaraz ją cofnęła. Jej spojrzenie było czujne.

- Ja cię nie rzuciłam, Jackson. To ty mnie rzuciłeś. I nagle poczuli się tak, jakby wróciła do nich

przeszłość. Krążyli wokół tego tematu już od kilku dni, ale żadne nie odważyło się go poruszyć. Robili, co mogli, by zignorować ten problem. Rozmawiali o swoich drogach życiowych, nie wspominając o tym, co leżało u ich źródła. Ale nagle zdali sobie sprawę, że odkładają tę dyskusję od dwudziestu lat i że może nadszedł stosowny moment, by ją dokończyć.

- Rzuciłaś mnie, Charlie. Układaliśmy plany. Obiecywaliśmy sobie, że zostaniemy z sobą na zawsze.

- Och, ja dobrze pamiętam te plany, Jackson. - Jej ton stał się nagle agresywny. - Ale ty zmieniłeś wszystko, przyjmując to stypendium.

- Dla mnie nic się nie zmieniło. Pragnąłem ciebie, a nie tego starego budynku. Podjęcie pracy w waszym hotelu nie było warunkiem naszej umowy.

- Dla mnie było.

- I dowiodłaś tego. Kiedy okazało się, że nie pasuję do twojej wizji przyszłości, bez wahania znalazłaś zastępcę.

- Chciałam zrealizować moje marzenia.

- I bardzo się z tym spieszyłaś.

- To prawda. - Na jej twarzy pojawiły się rumieńce, a słowa zaczęły płynąć szybciej. - Przecież ty postępowałeś tak samo.

Realizowałeś swoje marzenia, nie przejmując się moim losem. - Przecież prosiłem cię, żebyś wyjechała ze mną.

- I nie miała nic do roboty, prawda?

Jej okrzyk zawisł w powietrzu jak miecz Damoklesa. Właśnie ten problem był przyczyną ich rozstania. Charlotte nie chciała zrezygnować z hotelu ani ze swego dotychczasowego trybu życia.

- Mogłaś zajmować się naszymi dziećmi. Przecież sama mówisz, że chciałaś zostać matką.

- W jakich warunkach? Uparcie powtarzałaś, że chcesz wyjechać do Afryki zaraz po ukończeniu studiów. Czy spodziewałaś się, że zerwę kontakty z rodziną, pojedę za tobą niczym bagaż i będę rodzić dzieci w obozie dla uchodźców? Albo czekać w pustym domu lub wynajętym mieszkaniu na wiecznie nieobecnego ojca, którego dzieci nie będą poznawać?

Jackson odetchnął głęboko, by się opanować. Sam nie wiedział, czy jest wściekły na Charlotte, czy na siebie.

- Pamiętasz to ostatnie Boże Narodzenie? - spytał zdławionym głosem. - Kiedy przyjechałem do domu?

- Owszem, pamiętam je doskonale. Właśnie wtedy mi oznajmiłaś, że zdecydowałaś się na pracę za granicą i że żadne argumenty nie skłonią cię do zmiany zdania.

- Nie widzieliśmy się od kilku miesięcy. Ja chciałem się z tobą kochać, ale ty mnie odpychałaś, twierdząc, że chcesz z tym poczekać do nocy poślubnej. Czułem się tak, jakbym miał za chwilę eksplodować, ale uszanowałem twoją wolę. A w niecałe dwa miesiące później wyszłaś za Adriana. Czy wiesz, jak to przeżyłem?

Charlotte podeszła do biurka i oparła się o blat, jakby w obawie przed utratą równowagi.

- Przecież ci to tłumaczyłam, Jackson. Mieliśmy inne cele w życiu.  
- Jasne, pamiętam, że mi to wmawiałaś. Ale ja podejrzewałam, że chodzi o coś więcej. Że uważasz go za lepszego ode mnie.

- Co takiego?

- Byłem przekonany, że myślisz tak jak twoja babka. Że nie traktujesz naszej znajomości poważnie, że jestem dla ciebie tylko epizodem. Że od początku zamierzałaś wyjść za człowieka, który będzie miał pieniądze, pozycję i...

- Jackson, nie mów tak!

- I doszedłem do wniosku, że on musi być lepszy w łóżku. -

Wybuchnął gorzkim śmiechem. - Czy to nie ironia losu? Wiedziałem, że seks ze mną nie sprawia ci przyjemności. Zakładałem, że Adrian musi być supersamcem, czymś w rodzaju seksmaszyny. Myśl o tym, że on potrafi ci dać coś, czego ja nie mogę, doprowadzała mnie do szaleństwa.

- Wcale tak nie było.

- Ale mówisz mi o tym dopiero teraz. Charlotte przysiadła na krawędzi biurka.

- Och, Jackson, strasznie mi przykro. Nie miałam pojęcia...

- Nic nie szkodzi. Jakoś to przeżyłem.

- Czy dlatego nigdy się nie ożeniłeś?- Co takiego?

- Czy miałaś wątpliwości dotyczące...

- ...wydolności seksualnej? Czy o to chciałaś spytać?

- Przepraszam. Nie miałam prawa...

Jackson odszedł od okna i stanął tuż przed nią. Potem położył dłonie na blacie biurka, zamykając ją w przestrzeni, jaka powstała między jego rękami.

- Czy sprawiam wrażenie człowieka, który miałby problemy w łóżku?

Charlotte potrząsnęła przecząco głową.

- Do korzystnych atrybutów zawodu lekarza należy dokładna znajomość anatomii i fizjologii kobiet.

- Pochylił się i spojrzał z bliska na jej twarz. - Być może miałem opóźniony start, ale nauczyłem się wykorzystywać tę wiedzę.

- Zauważyłam to - odparła chłodnym tonem.

- Ale ja pytałam o małżeństwo, a nie o twoje życie erotyczne.

Jackson opuścił wzrok. Charlotte nie zapięła najwyższego guzika bluzki, więc widział pulsującą żyłkę u nasady jej szyi. Poczul aromat kosztownych perfum zmieszany z zapachem jej ciała, którego wspomnienie prześladowało go od tylu lat. To właśnie w gruncie rzeczy było przyczyną jego gniewu. Wiedział doskonale, dlaczego pozostał kawalerem: ponieważ nie potrafił zapomnieć jedynej kobiety, jaką kiedykolwiek kochał. Wsunął kolano między jej nogi, a potem pochylił głowę i dotknął wargami jej szyi. Charlotte położyła dłoń na jego piersi. W tym momencie rozległ się sygnał telefonu, który przed chwilą położyła na biurku. Jackson objął ją mocno i przywarł do niej całym ciałem.

- Charlie... - wyszeptał, patrząc w jej oczy.

- Jackson, puść mnie. To może być coś ważnego. Zamiast spełnić jej prośbę, zaczął ją całować. Ale

ona chwyciła go za włosy i odsunęła od siebie.

- Czego chcesz w ten sposób dowieść? - spytała, ocierając usta drżącą ręką. Potem, nie czekając na jego odpowiedź, sięgnęła po telefon i zaczęła z kimś rozmawiać.

Jackson miał ochotę coś kopnąć, ale nie był pewien, czy którykolwiek ze stojących w gabinecie mebli wytrzyma siłę jego uderzenia. Podszedł więc ponownie do okna, otworzył je i wciągnął w płuca haust świeżego powietrza.

Czego chciał dowieść? Tego, że woli widzieć ją w swoich objęciach niż przy pracy? Że jeśli zechce, stanie się dla niej ważniejszy niż hotel? Że ich związek opiera się tylko na fizycznym zauroczeniu?

Znał już odpowiedzi na te wszystkie pytania, ale żadna z nich mu się nie podobała. Popułnił błąd, wprowadzając się do jej mieszkania. Powinien się wynieść, zanim sytuacja ulegnie pogorszeniu. Zanim zaczną sprawiać sobie ból.

Wyjrzał na dziedziniec. Jakiś jasnowłosy mężczyzna chwiejnym krokiem wyłonił się z zaułka. Był to Luc Carter, który najwyraźniej jeszcze nie wytrzeźwiał. Ledwie trzymał się na nogach i potracał mijających gości. Kiedy dotarł do basenu, upadł nagle na ziemię. Poły jego marynarki rozchyliły się, a Jackson zauważył ze zdumieniem, że zamiast nieskazitelnie białej koszuli ma na sobie tego dnia czerwoną.

Potem nagle zdał sobie sprawę, że Luc nie jest pijany, tylko skąpany we krwi.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Woń krwi jest zapachem, którego łatwo się nie zapomina. Kiedy Jackson przykłękał obok Luca, w jego głowie kłębiły się dziesiątki obrazów z przeszłości. Miał do czynienia z wieloma urazami, których przyczyną były klęski naturalne lub działalność człowieka, więc

instynktownie podjął rutynowe czynności ratownicze.

Funkcjonował z chłodną precyzją zawodowca, ale jak zwykle nie potrafił opanować współczucia. Luc był nieprzytomny, miał bladą twarz i lekko wilgotną skórę. Stracił tak wiele krwi, że Jackson nie mógł pojąć, jakim cudem przed chwilą jeszcze szedł.

Uniósł głowę i napotkał wzrok jednego ze zgromadzonych wokół gapiów. Był to młody chłopak w czerwonej podkoszulce, trzymający w ręku ciastko.

- Przynieś mi jak najwięcej ręczników - poprosił spokojnym tonem.
- Powinny leżeć przy leżakach.

Młody człowiek ruszył we wskazanym kierunku. Za jego plecami Jackson dojrzał nadbiegającego Maca. Usłyszał też głos Charlotte, która rozmawiała z dyspozytorem pogotowia. Mimo że miała buty na wysokich obcasach, nie pozostała daleko w tyle, kiedy biegi na dziedziniec. Był teraz zadowolony, że ona ma przy sobie jak zwykle swój telefon. Ale nie odwrócił się w jej kierunku, bo właśnie w tym momencie dojrzał na plecach Luca okrągły otwór.

Widział w życiu wiele ran postrzałowych, więc natychmiast ocenił sytuację. Kula, która trafiła Luca, pochodziła z broni kalibru 5,6 milimetra. Została wystrzelona z bliskiej odległości, a kąt jej wlotu wskazywał na to, że mogła dotrzeć w okolice wątroby. Uszkodzenie tego organu musiałoby wywołać wewnętrzny krwotok, który może okazać się śmiertelny, gdyby ranny nie dotarł w ciągu pół godziny na stół operacyjny.

Nawet gdyby Jackson posiadał pełnię władzy w obu rękach, nie byłby w stanie zrobić wiele bez medycznego sprzętu. W istniejącej

sytuacji starał się zatamować krew i nie dopuścić do wystąpienia szoku. Wiedział, że najbliższe minuty będą miały decydujący wpływ na szanse pacjenta.

- Ambulans jest już w drodze - oznajmiła Charlotte. - Policjanci też powinni się zaraz zjawić. Zostawiłam również wiadomość dla porucznika Fergussona.

- Jestem pewien, że stoją za tym bracia Corbin - mruknął Jackson, nie podnosząc wzroku.

- Ja też od razu tak pomyślałam. Ale jaki mogli mieć motyw, żeby postrzelić Luca?

- Ktokolwiek to zrobił, wykonał swoje zadanie bardzo sumiennie.

- Czy on z tego wyjdzie? - zapytała.- W tej chwili nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie.

- Jestem pewna, że zrobisz wszystko, żeby utrzymać go przy życiu.

Podniósł wzrok i spojrzał na nią badawczo. Wydawała się blada, ale jej policzki nadal były zaczerwienione i lekko opuchnięte od jego pocałunków. Targnęło nim poczucie winy. Nie miał pojęcia, jak wytłumaczyć swe zachowanie, a tym bardziej jak ją za nie przeprosić. Nie miał prawa wyładowywać swej frustracji w tak brutalny sposób.

- Charlotte...

- Och, Mac - przerwała mu, patrząc ponad jego ramieniem. - Czy twoi ludzie mogliby zrobić wolną drogę dla karetki? Julie, zaproś naszych gości do środka. Jestem pewna, że będzie im tam wygodniej.

Jackson pochylił się ponownie nad pacjentem. To nie był odpowiedni moment na wyjaśnienia. Nie był zresztą pewien, czy jakiegokolwiek wyjaśnienia są potrzebne. Ich ostatnia rozmowa dowiodła,



że nic się między nimi nie zmieniło.

Zanim nadjechała karetka, w hotelu zjawili się policjanci, którzy natychmiast przystąpili do wizji lokalnej i przesłuchiwania obecnych jeszcze na dziedzińcu gapiów. Kiedy przyjechali ratownicy, Jackson stwierdził z satysfakcją, że są oni równie sprawni jak ich koledzy, którzy udzielali pomocy ofiarom pożaru. Podczas gdy oni stabilizowali stan Luca przed przewiezieniem go do szpitala, on ocierał ręce z krwi.- Odzyskuje przytomność - obwieścił jeden z ratowników.

Jackson pospiesznie podszedł do noszy i stwierdził ze zdziwieniem, że oczy Luca są otwarte.

- Spokojnie, panie Carter - rzekł ratownik. - Zaraz wniesiemy pana do karetki.

Luc nerwowo poruszał głową. Miał otwarte usta i usiłował coś powiedzieć. Jackson poklepał go delikatnie po ramieniu.

- Luc, to ja, Jackson. Zostałeś postrzelony. Nie próbuj się poruszać, bo sobie zaszkodzisz.

- Powstrzymać... - wymamrotał Luc, odwracając głowę w kierunku Jacksona. - Trzeba... ich... powstrzymać...

- Kogo, Luc?

- Corbinów... Blounta... - Z trudem chwycił oddech, a jego klatka piersiowa podnosiła się i opadała.

- Fergussona...

- Czy to zrobili Corbinowie, Luc?

- Fergusson...

- Porucznik jest już w drodze. Powtórzę mu to, co powiedziałeś.

- Ratujcie Charlotte - wykrztusił Luc. - Oni...

- Jego dalsze słowa przerwał atak kaszlu.

- Przepraszam, panie doktorze, ale musi się pan teraz cofnąć - rzekł ratownik, wsuwając nosze do karetki.

Jackson zignorował jego słowa, wszedł do karetki i pochylił się nad rannym.

- Co mówiłeś o Charlotte? - zapytał. Luc przez chwilę zbierał siły, a potem szepnął:

- Oni... chcą ją... porwać... Oni myśleli... - Znow wstrząsnął nim atak kaszlu. - Myśleli, że nie żyję... Mówili, że chcą porwać Char...

Zamknął oczy i znieruchomiał. Jackson dotknął jego szyi, odruchowo pragnąc sprawdzić tętno. Było słabe, ale wyczuwalne. Wiedząc, że pacjent jest w dobrych rękach, wyskoczył z ambulansu i rozejrzał się po dziedzińcu.

Ale nigdzie nie dostrzegł Charlotte.

Był tak skupiony na swej pracy, że nie zauważył, kiedy odeszła. Pożyczył od jednego z ratowników telefon i wystukał jej numer, ale usłyszał tylko nagraną wiadomość. Oddał więc aparat, prosząc obsługę ambulansu, by powtórzyła policjantom to, co mówił Luc, a potem pobiegł w stronę wejścia do baru, przy którym stał Mac.

- Czy widziałeś Charlotte? - spytał nerwowo.

- Była tu przed minutą - odparł Mac. - Powiedziała, że idzie do biura, aby poszukać adresu krewnych Luca.

- Wezwij swoich ludzi - zażądał Jackson, chwytając go za ramię. - Powiedz im, żeby znaleźli Charlotte i zostali przy niej. Luc twierdzi, że Corbinowie chcą ją porwać.

Mac nie tracił czasu na pytania. Trzymał już przy uchu słuchawkę i

wydawał polecenia.

Jackson zerknął na otwarte okno gabinetu Charlotte i pobiegł przez dziedziniec w stronę drzwi do holu. Skoro chciała zajrzeć do dokumentów, musiała pójść na górę. Ale dlaczego nie odbiera telefonu? Miał sobie za złe, że stracił ją z oczu. Przecież był tu właśnie po to, by ją chronić.

Od ścian hotelu odbił się krótki ryk syreny. Jackson nie zatrzymał się, by spojrzeć na odjeżdżający ambulans. Podejrzewał, że Corbinowie kazali postrzelić Luca właśnie po to, by skupić na nim uwagę ochroniarzy i uzyskać swobodny dostęp do hotelu.

W holu nie było Charlotte, ale na podłodze, u podnóża- schodów, leżał mały, srebrny telefon komórkowy.

Jackson szybko go podniósł. Tak, to jej aparat. Rzadko się bez niego poruszała. Musiała go przypadkiem upuścić...

Poczuł gwałtowny przyływ niepokoju. Usiłował rozmawiać logicznie, ale nie mógł skupić myśli. Poczucie zagrożenia zamieniało jego krew w lód. Wiedział, że straci ją po raz drugi, ale nie miał pojęcia, że może to nastąpić tak szybko. I w takich okolicznościach...

Szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi wyjściowych. Kierował się nie logiką, lecz instynktem. Kątem oka dostrzegł dwóch ochroniarzy, którzy zmierzali w stronę galerii sztuki, ale nie zatrzymał się. Wybiegł przez frontowe drzwi na ulicę i zaczął głośno krzyczeć.

- Charlie!

Niedaleko wejścia do hotelu stała długa, czarna limuzyna. Jakiś potężnie zbudowany mężczyzna w czapce szofera zamykał właśnie jej tylne drzwi. Nagle ukazał się w nich elegancki damski but na wysokim

obcasie.

Jackson podbiegł do samochodu i chwycił za krawędź drzwi, usiłując je otworzyć. Widział wnętrze limuzyny tylko przez ułamek sekundy, ale to, co zobaczył, przeniknęło do jego świadomości. Charlotte leżała na podłodze, machając nogami i usiłując odepchnąć trzymających ją mężczyzn. Dan Corbin ścisnął ją za gardło i zatykał dłonią jej usta. Jego brat Richard przyciskał czarny rewolwer do jej boku.

To było wszystko, co udało mu się zobaczyć. W sekundę później w jego czaszce eksplodował ból. Stracił przytomność, zanim jeszcze uderzył twarzą o krawężnik.

Nie chciała płakać. Nie mogła sobie pozwolić na luksus, jakim byłaby utrata panowania nad sobą. Musi zachować spokój. Corbinowie mogą wrócić w każdej chwili. Powinna więc wymyślić jakiś plan ucieczki.

Ale nawet gdyby drzwi zostały otwarte, a droga ku wolności stanęła otworem, nie opuściłaby tego pokoju bez Jacksona. Położyła jego głowę na swych kolanach i spojrzała w jego twarz. W pomieszczeniu nie było okien. Jedyne źródłem światła była wisząca pod sufitem żarówka. Klitka miała zaledwie dwa metry szerokości i dwa długości. Rzędy otworów wywierconych w betonowych ścianach mogły świadczyć o tym, że kiedyś znajdowały się tam półki. Ale teraz na cementowej podłodze leżały tylko pogniecione kawałki tektury. Charlotte zadrzała. Jedwabna bluzka i krótka spódnica nie zapewniały jej ochrony przed chłodem.

- Obudź się! - szepnęła. - Otwórz oczy!

Jackson miał czerwone ślady na czole i prawym policzku oraz guza na tyle czaszki, ale na szczęście nie krwawił. Zasnęte plamy na jego

rękawach i klapach marynarki powstały wtedy, kiedy opatrywał Luca. Charlotte usiłowała sobie wmówić, że nic mu nie będzie, a utrata przytomności ma tylko charakter przejściowy, ale jej nadzieje nie były oparte na wiedzy medycznej. W jej rozumowaniu nie było żadnej logiki; po prostu nie mogła sobie wyobrazić jego utraty. A on przecież został zraniony z jej powodu.

I to nie po raz pierwszy w życiu. Usiłowała powstrzymać łzy, ale jedna z nich stoczyła się po jej policzku i spadła na czoło Jacksona. Otarła ją dłonią, a potem przesunęła palcami po jego włosach. Teraz, kiedy groziła im śmierć, nie zamierzała rozmyślać o żenującej scenie, do jakiej doszło w jej gabinecie. Oboje stali w obliczu spraw znacznie ważniejszych niż relacje pomiędzy nimi.

Ale mimo to nie potrafiła wyrzucić z pamięci jego gniewu i swojego lęku. Przez wszystkie minione lata miała do niego żal i czuła się porzucona. Ale teraz wiedziała, że on też miał powody do pretensji. Powinna była zdać sobie sprawę, jak ważna jest dla niego dzieląca ich przepaść społeczna. I uświadomić sobie, jak bardzo musiał przeżywać jej związek z Adrianem, który należał do tej samej co ona sfery. Ale ona tak dalece nie zwracała uwagi na kwestie pochodzenia, że w ogóle nie przyszło jej to do głowy. I choć obwiniała siebie za ich niepowodzenia w sferze seksu, nie domyślała się, że on może mieć na tym tle jakieś kompleksy. A teraz nie mogła pojąć, jakim cudem dwoje tak kochających się ludzi może zadawać sobie wzajemnie tyle bólu.

Z korytarza dobiegły odgłosy rozmowy. Spojrzała na stalowe drzwi i poczuła paniczny lęk. Rozpoznała chrapliwy baryton Richarda Corbina i łagodniejszy tenor jego brata, ale nie miała pojęcia, do kogo należy trzeci

głos. Czy do szofera, który ogłuszył Jacksona? Wszyscy trzej stali zbyt daleko, by mogła rozróżnić poszczególne słowa. W chwilę później rozmowa ucichła.

Jackson zaczął oddychać szybciej, a potem wydał gardłowy jęk. Charlotte pogładziła go po policzku.

- Czy mnie słyszysz?

- Charlotte... - wymamrotał. - Co się...

- Zostałeś uderzony w głowę. - Dotknęła palcami miejsca, w którym poprzednio wyczuła guz. - Jak się czujesz? Czy mogę dla ciebie coś zrobić?

Otworzył oczy. Przez chwilę wodził błędnym wzrokiem po pokoju, usiłując zorientować się, gdzie jest. Potem skupił spojrzenie na jej twarzy.

- Czy nie zrobili ci nic złego, Charlie?

Czuła ucisk w gardle, za które chwycił ją Dan Corbin, i bolał ją stłuczony bok, ale poza tym czuła się nieźle.

- Nic mi nie jest – odparła. Uniósł głowę z jej kolan i szybko usiadł, a potem zacisnął zęby i dotknął swojej głowy.

- Uważaj! - ostrzegła go. - Uderzyli cię bardzo mocno.

Jackson odetchnął głęboko i dźwignął się na kolana.

- Usiłowałem ich zatrzymać, ale niewiele to dało.

- Nie miej do siebie pretensji. To była moja wina. Wiedziałam, że powinnam zachować ostrożność, ale niepokoiłam się o Luca i nie zwracałam uwagi na otoczenie. Corbinowie wyłonili się nie wiadomo skąd.

- Liczyli na to, że Luc odciągnie naszą uwagę.

- Czy on...?

- To twardy facet. Kiedy widziałem go po raz ostatni, jakoś się trzymał. - Poklepał się po kieszeniach. - Do diabła, zabrali mi telefon.

- Miałeś go przy sobie?

- Nie, ale znalazłem w holu twój. Gdzie my jesteśmy? - spytał, rozglądając się po pokoju.

- Nie wiem. Kiedy cię ogłuszyli, założyli mi na oczy opaskę i... - Westchnęła głęboko na wspomnienie tego koszmarnego przeżycia. - Nie widziałam cię. Nie miałam pojęcia, jak ciężko jesteś ranny, dopóki nie wrzucili nas do tej klitki. Czy na pewno nic ci nie jest?

Jackson przesunął palcami po głowie, a potem uważnie je obejrzał.

- Nie ma krwi, a opuchlizna jest nieznaczna. Chyba mam tylko lekki wstrząs mózgu. Przez jakiś czas będzie mnie bolała głowa, ale nie wymagam szpitalnego leczenia.

Zdjął marynarkę i spróbował okryć jej ramiona, ale ona szybko ją zrzuciła.

- Nie, Jackson, ty jej potrzebujesz bardziej niż ja.

- Przecież drżysz z zimna.

- Nic mi nie jest.

- To nie jest czas na demonstrowanie uporów, Charlie. Włóż tę marynarkę. Słyszę, że dzwonisz zębami.

Wsunęła ręce do rękawów i natychmiast poczuła się lepiej. Zawinęła mankiety i przypomniała sobie, że zaledwie ubiegłej nocy nosiła jego koszulę. Czas ten wydał jej się teraz niezwykle odległy.

- No i co? - zapytał Jackson.

Przełknęła ślinę, hamując następny wybuch płaczu.

- Wszystko się rozpadło - wykrztusiła przez łyżę. - Jak to możliwe,

że stoimy w obliczu takiego końca?

Jackson patrzył na nią w milczeniu, jakby nie będąc pewny, czy ma na myśli ich los, czy też ich związek. Na wszelki wypadek wybrał mniej osobisty temat rozmowy.

- Luc podsłuchał rozmowę Corbinów, którzy mówili, że chcą cię porwać. Pewnie mają zamiar cię zatrzymać, dopóki twoja matka nie podpisze aktu sprzedaży hotelu.

- Ona tego nie zrobi.

- Zrobi to bez wahania, jeśli uzna, że może w ten sposób ocalić twoje życie.

Charlotte owinęła się mocniej jego marynarką i usłyszała dochodzący z zewnętrznej kieszonki szelest papieru. Przypomniała sobie, że Marie wsunęła do niej paczuszkę z gris-gris. Miała wrażenie, że i to odbyło się bardzo dawno temu.

- Mama nigdy się nie podda - mruknęła. - Ten hotel nie jest dla niej tylko kupą cegieł.

- Anne cię kocha. Hotel nigdy nie będzie dla niej ważniejszy od ciebie.

Charlotte odetchnęła głęboko i oparła się o ścianę. - Bardzo mi przykro, Jackson.

- Mnie też. - Wsparł się rękami o podłogę i wstał. Chwiejnym krokiem podszedł do drzwi i spróbował je otworzyć, ale były najwyraźniej zaryglowane. - Powinienem był myśleć o tobie, a ja skupiłem uwagę na swej pracy, i...

- Nie miałam na myśli naszej obecnej sytuacji - przerwała mu, wskazując ręką pomieszczenie. - Choć oczywiście nie jest ona najbardziej



korzystna. Miałam na myśli to, co wydarzyło się... wcześniej...

Jackson przyglądał się przez chwilę drzwiom, a potem podszedł do niej i spojrzał jej prosto w oczy.

- Ja też miałem na myśli przeszłość, Charlie.

W ostrym świetle żarówki widziała wyraźnie blizny na jego twarzy i zmarszczki okalające usta. I smutek malujący się w niebieskich oczach.

Otarła policzki i stwierdziła, że są mokre od łez.

- Ja nigdy nie płaczę. Nie tracę panowania nad sobą i nie podnoszę głosu. Ale odkąd tu wróciłeś, ciągle mi się to wszystko przydarza.

- Hotel był twoim domem, a nie moim - zaproponował Jackson. - Ja zawsze bywałem w nim tylko gościem.

Charlotte oparła głowę o betonową ścianę.

- Zostaliśmy uprowadzeni i zamknięci w pozbawionej okien klitce przez dwóch przestępców, którzy chcą zgarnąć dziedzictwo mojej rodziny. Czy to nie dziwne, że w takiej sytuacji spieramy się o przeszłość?

- Być może. Ale teraz, kiedy otworzyliśmy tę ranę, możemy ją oczyścić.

- Mówisz jak lekarz.

- Bo jestem lekarzem. I tak już pozostanie.

- Wiem o tym. Widziałam cię w akcji. Jesteś stworzony do tego zawodu.

Jackson zacisnął zęby i spojrzał na swoje dłonie. W ostrym świetle blizna na prawej ręce wydawała się jeszcze ciemniejsza i dłuższa niż zwykle.

- Teraz już to wiem, ale wtedy, na początku, chciałem po prostu się

sprawdzić. Dlatego poszedłem na studia medyczne, zamiast przejąć firmę ojca lub pomóc ci w prowadzeniu hotelu. Chciałem poczuć, że potrafię coś osiągnąć o własnych siłach.

- Jackson...

- Powiedziałaś, że żadasz ode mnie szczerości. Zaslugujesz na to, żeby poznać całą prawdę. Medycyna była dla mnie szansą nadania życiu jakiegoś sensu. Skierowania mojej chwiejnej natury na drogę, na której mógłbym zrobić coś dobrego dla innych. Ale to nie dlatego przyjąłem to stypendium. Widziałem w nim okazję do wyrwania się z Nowego Orleanu.- Co takiego?

- Ty miałaś wielką rodzinę i głębokie korzenie, oraz pieniądze i wytworny hotel. Byłem o to wszystko zazdrosny. Wiedziałem, że nie jestem w stanie z tobą rywalizować, że nigdy nie będę tu szczęśliwy. Nawet wtedy, kiedy byliśmy jeszcze w szkole średniej i układaliśmy te wszystkie plany, wiedziałem, że one mnie nie dotyczą. Wyjechałem, nie zamierzając tu wracać.

Charlotte poczuła ucisk w gardle.

- Moje motywacje nie były szlachetne, lecz egoistyczne - ciągnął Jackson. - Myślałem, że jeśli wyjadę, zmuszę cię do rezygnacji z tutejszego życia. - Dotknął palcem jej opuchniętej wargi. - Przepraszam za to, że usiłowałem cię zmusić.

Kiwnęła głową, a on usiadł naprzeciwko niej.

- Właśnie dlatego praca za granicą wydawała mi się tak atrakcyjna. Nie myślałem o tym, co mogłoby cię uszczęśliwić. Byłem skupiony na sobie.

- A ja zostałam w Nowym Orleanie, bo chciałam, żebyś dowiedział

swoich uczuć, przedkładając nasz związek nad karierę zawodową - szepnęła Charlotte.

- Wiem.
- Postąpiłam niesłusznie.
- Żadne z nas nie miało racji.

Znów otarła łzę, zdając sobie sprawę, że dzielące ich problemy są głębsze, niż jej się wydawało.

- Można powiedzieć, że oboje spieprzyliśmy sobie życie.
- No właśnie. - Podciągnął nogi i oparł ręce na kolanach. - Ale nawet gdybyśmy mogli zmienić przeszłość, nie miałyby to znaczenia, bo nadal byłibyśmy tymi samymi ludźmi.

Jak często powtarzała sobie to samo podczas ostatnich kilku dni? Przecież jej marzenia dotyczące przyszłości nie ograniczały się do hotelu, dzieci czy współpracy z mężem. Najważniejszym punktem jej marzeń była w gruncie rzeczy miłość, ale ona, wiedzona uporem, nie chciała postawić jej na pierwszym miejscu. A przecież powinna była to zrobić. Kochała Jacksona od chwili, w której ujrzała go po raz pierwszy. Kochała tego niesforenego chłopca o szelmowskim uśmiechu i błękitnych jak letnie niebo oczach.

A jeszcze bardziej kochała mężczyznę, którym ten chłopiec się stał. Uświadomiła to sobie nagle, ale bynajmniej nie była tym zaskoczona.

Tak, kocha go. Nigdy nie przestała go kochać. Jest zakochana w Jacksonie. Ponownie. Nadal. Zapewne na zawsze. I uświadomiła to sobie dopiero wtedy, kiedy zostali zamknięci w pozbawionym okien pomieszczeniu i zdani na łaskę bezlitosnych drani.

Zbliżyła się do niego na kolanach, bez słowa ob- jąła oburącz jego

twarz i zaczęła go całować. Przez kilka następnych minut nie czuła chłodu, bólu, ani lęku. Znow była młodą dziewczyną, zakochaną w Jacksonie. A przyszłość była dla niej sferą nieograniczonych możliwości.

Mój Boże, pomyślała, jaka szkoda, że nie wierzę już w magię!

Z korytarza dobiegł nagle głośny szczęk. Jackson

wstał. Charlotte uniosła się z trudem i chciała stanąć obok niego, ale on chwycił ją za rękę i ustawił za swoimi plecami.

W tym momencie drzwi zostały otwarte i stanął w nich Richard Corbin. Trzymał w ręku niewielki rewolwer, zapewne ten sam, którym posłużył się podczas uprowadzenia Charlotte. Teraz skierował wylot lufy w stronę Jacksona.

- To dobrze, że się obudziłeś - mruknął ochryplym głosem. - Jesteś taki ciężki, że nie mam ochoty cię więcej dźwigać.

Jackson rozstawił nogi i skrzyżował ręce na piersiach.

- Czego chcesz, Corbin?

- Nie jesteś tak głupi, żeby o to pytać. Dobrze wiesz, czego chcemy.

Hotelu.

Charlotte stanęła obok Jacksona. Choć nie miała na sobie butów, które gdzieś po drodze zaginęły, wyprostowała się na całą wysokość i spojrzała wyniośle na Richarda.

- To jest oburzające, panie Corbin. Żądam, żeby pan nas natychmiast uwolnił.

- Dopiero wtedy, kiedy dostaniemy hotel - odparł, kierując w jej stronę wylot lufy.

Jackson postąpił krok do przodu.

- Jeśli myślisz, że zdobędziecie hotel takimi metodami, to się

mylisz.

- To ty się mylisz, doktorku. I przestań udawać bohatera, zasłaniając ją swoim ciałem. Na razie jej

nie zabijemy.- Jeszcze nie jest za późno na to, żebyś się z wszystkiego wycofał, Richard - powiedział Jackson. - Luc żyje. Nie grozi ci oskarżenie o morderstwo.

- Luc? - Corbin parsknął drwiącym śmiechem. - Znowu błąd. Słyszałem, że wykorkował w drodze do szpitala.

Charlotte miała wrażenie, że przeżywa jakiś koszmarny sen. Nie mogła uwierzyć w to, że czarujący młody człowiek, którego cała rodzina tak lubiła, odszedł z tego świata. Czy ją i Jacksona czeka taki sam los?

Na korytarzu rozległy się czyjeś kroki, a po chwili na progu stanął Dan Corbin. W odróżnieniu od brata, który wydawał się zdenerwowany, był on tak spokojny, jakby brał udział w negocjacjach. Zamiast rewolweru trzymał w ręku rolkę grubej taśmy izolacyjnej.

- Pójdiesz z nami - powiedział, patrząc wyzywająco na Charlotte. Jackson wyciągnął rękę, by zatrzymać ją na miejscu.

- One nie sprzedadzą tego hotelu, Dan - powiedział. - Lepiej wypuście nas, zanim...

Richard skierował wylot rewolweru w stronę ściany i nacisnął spust. Huk wystrzału był tak ogłuszający, że Charlotte krzyknęła głośno i zakryła uszy rękami.

- Następną kulkę dostanie twój przyjaciel - krzyknął do niej Richard. - Więc lepiej chodź z nami.

- Nie róbcie mu nic złego - wyjąkała, opuszczając ręce.

- Nic mu nie będzie, jeśli zrobisz to, co ci każemy. Charlotte zrobiła

krok do przodu, ale Jackson ponownie chwycił ją za ramię.

- Ona nigdzie beze mnie nie pójdzie, Richard - oznajmił. - A twój rewolwer jest tak mały, że z pewnością cię dopadnę, zanim zdążysz wystrzelić po raz drugi.

- Spróbuj zrobić krok do przodu, to ją zastrzełę.

- Jeśli zrobisz jej coś złego, zabiję cię - rzekł spokojnym tonem Jackson.

Dan zaczął rozwijać rolkę taśmy.

- Tracimy czas - mruknął do brata. - Niech oboje idą z nami.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Mike Blount podniósł do nosa kieliszek i łakomie powąchał jego zawartość. Było to dobre wino, za którego butelkę płacił w detalu ponad dwieście dolarów, więc zamierzał delektować się każdą jego kroplą. Tego wieczoru pragnął uczcić ważne wydarzenie. Wiedział, że następną butelkę tego trunku wypije przy zarezerwowanym dla niego stoliku w eleganckiej restauracji Hotelu Marchand. Kryształowy i biały lniany obrus. Od tej pory będzie dostawał tylko to, co najlepsze.

Wypił następny łyk i trzymał go przez chwilę w ustach, rozkoszując się smakiem. Potem postawił kieliszek na biurku, zerknął na zegarek i wskazał aparat telefoniczny.

- Już czas, Dan.

Tym razem Dan Corbin spełnił jego rozkaz bez wahania. Podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

Mike z uśmiechem rozparł się w fotelu. Myślenie nie było

najsilniejszą stroną braci. W ubiegłym tygodniu wpadli na dobry pomysł, bo zagrożenie dla życia było zawsze skutecznym sposobem wymuszania posłuchu. Ale usiłując uprowadzić Anne, wybrali niewłaściwą przedstawicielkę rodziny Marchand. Mike przesunął spojrzenie na siedzącą w rogu pokoju kobietę. Najstarsza z sióstr była naczelnym dyrektorem hotelu. To ona sprawiła, że poczynania braci nie przyniosły pożądaných rezultatów. Kochała ten hotel bardziej niż którakolwiek z jej sióstr i poświęcała mu cały swój czas. Hotel nie przeżyłby jej nieobecności, nawet gdyby Anne Marchand nie zgodziła się natychmiast na jego sprzedaż.

Tak czy owak, Mike zamierza go zagarnąć.

- No i co? - spytał Dan. - Czy podpisała pani umowę?

Charlotte zachowywała do tej pory niewzruszony wyraz twarzy. Unikała wzroku Mike'a i zachowywała się w taki sposób, jakby siedziała na przyjęciu, na którym on podaje do stołu. Nie było to łatwe, gdyż zdawała sobie sprawę, że w zakurzonej spódnicy i za dużej, pomiętej dzinsowej marynarce musi wyglądać groteskowo. Ale choć była przywiązana do metalowego krzesła taśmą izolacyjną, którą spętano też w przegubach jej ręce i zaklejono usta, zachowywała osobistą godność.

Gdy jednak dotarło do niej, z kim rozmawia Dan, w jej zielonych oczach pojawił się wyraz przerażenia.

- Owszem, żyje - powiedział do słuchawki. Mike, wyraźnie rozbawiony tą sytuacją, machnął ręką w kierunku Richarda.

- Odklej taśmę z jej ust - polecił. - Chcę, żeby mogła się przywitać z mamuszką.

Richard zerknął niepewnie w kierunku mężczyzny, który siedział obok Charlotte, również przywiązany do krzesła. Jego niepewność była usprawiedliwiona. Jackson Bailey nie przypominał żadnego znanego mu lekarza i wyglądał na człowieka, który może być niebezpieczny. Jego wysoki wzrost i atletyczna budowa budziły przypuszczenie, że potrafiłby poważnie uszkodzić każdego przeciwnika. Ale najbardziej niepokojący był wyraz jego oczu.

Ten mężczyzna niewątpliwie zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Przez cały czas obserwował otoczenie i ludzi, którzy go uwięzili. Sprawiał wrażenie człowieka, który widział śmierć wystarczająco często, by wyczuć jej obecność. W odróżnieniu od tej Charlotte Marchand zdawał sobie sprawę, że Mike nie może wypuścić ich żywych.

- Richard! - warknął Blount, strzelając palcami. Richard, nie spuszczać z muszki Jacksona,

podszedł do Charlotte, chwycił za koniec taśmy zaklejającej jej usta i mocno go szarpnął. W jej oczach pojawiły się łzy bólu, ale nie wydała żadnego dźwięku. Natomiast lekarz spojrzał na Richarda w taki sposób, że ten odruchowo cofnął się o krok.

- Zdejmij też taśmę z ust jej przyjaciela - rozkazał niecierpliwym tonem Mike.

Richard przycisnął lufę do szyi Charlotte, wyciągnął rękę i oderwał taśmę zasłaniającą usta Jacksona. Potem ponownie się cofnął. Mike przypomniał sobie, że Corbinowie odegrali już niemal do końca przypisane im role. Udało mu się zachować aż do tej pory czyste ręce, bo oni wykonywali za niego całą brudną robotę. Ale cieszyła go świadomość, że nie będzie musiał znosić ich obecności o wiele dłużej.



- Dan! - warknął rozkazującym tonem. Starszy z braci podszedł do Charlotte i przycisnął

słuchawkę do jej ucha.

- Gadaj!

- Mamo, nic mi nie jest - powiedziała pospiesznie Charlotte. - Jackson też jest cały i zdrowy. My...

- Wystarczy - oznajmił Dan, odrywając słuchawkę od jej ucha. - Jak pani słyszała, córka żyje. To, jak długo utrzyma się ten stan rzeczy, zależy od pani. Pytam więc ponownie, czy podpisała pani umowę.

Nastąpiła krótka pauza. Potem Dan spojrzał na Mike'a.

- Ona chce wiedzieć, dlaczego jest na niej twoje nazwisko, a nie nasze.

Mike wyciągnął rękę po słuchawkę. Nadal sprawiał wrażenie człowieka, który jest z siebie bardzo zadowolony.

- Witam, pani Marchand - powiedział. - Mówi Mike Blount. Jestem współnikiem braci Corbin.

- Niech pan im nie pozwoli skrzywdzić mojej córki - poprosiła Anne Marchand głosem, w którym nie było ani śladu paniki.

- Zrobię, co będzie w mojej mocy, ale oni są zdesperowani. Podobnie jak pani, mają trudności natury finansowej. Krótko mówiąc, są moimi dłużnikami, więc chcąc wyrównać nasze rachunki, obiecali mi, że kupią od pani tę nieruchomość w moim imieniu. - Spojrzał na Charlotte ze złośliwym uśmiechem. - Czy zgadza się pani na moje warunki?

- Tak, tak! - zawołała Anne Marchand. - Niech pan wypuści Charlotte i Jacksona.

- A co z umową?

- Jest podpisana i potwierdzona notarialnie, tak jak chciał Dan Corbin.

- Doskonale. Proszę ją położyć na biurku recepcjonisty w głównym holu. Ktoś ją niebawem stamtąd odbierze. I żadnych policjantów, bo uznam nasze porozumienie za nieważne.

- Przysięgam, że nikomu o tym nie powiedziałam. Mike wygłosił swoje ostrzeżenie tylko po to, by

zrobić wrażenie na słuchaczach. Wiedział dobrze, że pani Marchand nie zadzwoniła na policję. Otis, który przesłuchiwał Anne i jej córki, doniósł mu, iż żadna z nich nie wspomniała o porwaniu. Odkąd poinformowano je, jak ma wyglądać okup, zachowywały kompletne milczenie. To samo dotyczyło innych pracowników hotelu. Wszyscy wypełniali ściśle polecenia Mike'a.

- Co będzie z moją córką i z Jacksonem? - spytała pani Marchand.

- Zostaną wypuszczeni, gdy tylko dostanę umowę.

- Jak? Kiedy?

- Będziemy w kontakcie - powiedział Mike. - Och, jest jeszcze jedna sprawa.

- O co chodzi?

- Mam nadzieję, że nadal będzie pani się stosować do moich poleceń. W przeciwnym razie... - Zamilkł, by jego groźba została dobrze zrozumiana. - Ma pani trzy inne córki. I Wnuczkę. Słyszałem, że to bardzo miłe dziecko.

- Co... - Głos Anne Marchand gwałtownie się załamał. - Co pan ma na myśli?

- Jeśli spróbuje pani unieważnić tę umowę, twierdząc, że została

podpisana pod przymusem, albo rozmawiać z policją teraz lub w przyszłości, inni członkowie waszej rodziny będą narażeni na ten sam los, który spotkał pani najstarszą córkę.

- *Mon Dieu* - szepnęła Anne Marchand. - Możecie sobie zabrać ten hotel. Nic nikomu nie powiem. Ale proszę, żeby zostawił pan w spokoju moją rodzinę.

Mike przerwał połączenie i odłożył telefon. Przez chwilę rozkoszował się tą chwilą. Smak zwycięstwa był niemal tak dobry jak smak wina.

- Czy połknęła haczyk? - spytał Dan.

- Tak - odparł Mike, kiwając głową. - Hotel jest mój.

Richard triumfalnym gestem uniósł rękę i sięgnął po butelkę z winem.

- Trzeba to oblać.

- Odstaw ją - warknął Mike. - To nie koniec. Chcę, żebyście wyszli na dwór i poczekali na mojego szofera.

Richard zerknął na Dana, który niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

Mike uderzył nagle obiema dłońmi o biurko tak mocno, że obaj bracia Corbin niemal podskoczyli. - Wynoście się - mruknął. - Richard, połóż swoją spluwę przy butelce. Może mi być potrzebna.

Młodszy z braci spełnił po chwili wahania jego polecenie. Dan poprawił krawat i odchrząknął.

- A zatem nasze rachunki są już wyrównane, Mike?

- Oczywiście, Dan. Ja zawsze dotrzymuję słowa. Kiedy tylko mój szofer przywiezie umowę, będziemy mogli uznać, że wasz dług został

spłacony.

Dan i Richard wyszli. Mike słuchał ich kroków, kiedy schodzili po metalowych schodach prowadzących do jego biura, a potem obserwował ich przez szklaną ścianę, gdy szli przez halę magazynu. Kazał im spotkać się ze swoim kierowcą, ale wiedział dobrze, że idą oni na spotkanie z losem, który dla nich przewidział. Zerknął na rewolwer i uśmiechnął się. Był zadowolony, że Richard zostawił na nim odciski palców. Musiał wydać polecenie zabicia Cartera nieco wcześniej, niż zamierzał, ale poza tym wszystko przebiega zgodnie z jego planem.

- Masz już w ręku to, o co ci chodziło - powiedział Jackson. - Więc pozwól nam odejść.

Mike bez pośpiechu wypił następny łyk wina.

- Chyba sam rozumiesz, że nie mogę tego zrobić. Jackson spojrzał na Charlotte, a potem na Mike'a.

- Rozumiem, że chcesz zademonstrować pani Marchand swoją siłę... zastraszyć ją do tego stopnia, żeby nie wycofała się z umowy. Możesz to zrobić, zabijając mnie i wypuszczając Charlotte.

- Co ty mówisz? - rzekła Charlotte, patrząc na niego z przerażeniem. - Chirurdzy dobrze zarabiają - ciągnął Jackson, nie odrywając wzroku od Mike'a. - Oddaję większą część moich dochodów na instytucje dobroczynne, ale moje honoraria za ubiegły rok leżą jeszcze w banku. Możesz je dostać, jeśli pozwolisz jej wrócić do domu.

- To mi się zdarza po raz pierwszy w życiu - oznajmił Mike. - Nikt jeszcze nie proponował mi pieniędzy za to, żebym kazał go wykończyć, zamiast kogoś innego.

- Jackson, nie rób tego! - zawołała Charlotte.

- Ty się do tego nie mieszaj.
- Nie wyjdę stąd bez ciebie!
- Owszem, zrobisz to. I będziesz musiała przysiąc, że nie pójdziesz na policję.

- Nie, im chodziło o mnie. Ty znalazłeś się tu przypadkiem. -  
Zwróciła się do Mike'a. - Pozwól mu odejść. Przecież on nie jest ci już potrzebny.

Mike upił spory łyk wina i trzymał je przez chwilę w ustach, rozkoszując się jego aromatem. Potem otworzył szufladę biurka i wyjął z niej myśliwski nóż, który zwrócił mu Otis Fergusson.

- To wszystko jest bardzo wzruszające, ale biznes to biznes - powiedział cicho, dotykając ostrza czubkiem kciuka. - Czekałem bardzo długo na chwilę, w której hotel wpadnie w moje ręce. I wierzcie mi, że nie mogę sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko.

Jackson starał się zachować obojętny wyraz twarzy, ale jego nerwy były napięte do granic ostateczności. Dan tak pospiesznie krepował mu rękę taśmą izolacyjną, że jej koniec nie przylegał dokładnie do reszty. Po kilkudziesięciu minutach usilnych starań udało mu się wsunąć wskazujący palec w powstałą dzięki temu szparę.

Taśma była owinięta wokół jego przegubów trzy razy, więc wiedział, że jeśli chce się uwolnić, będzie musiał odgarniać ją milimetr po milimetrze. Ale w istniejącej sytuacji musiał podjąć próbę wykorzystania nawet tak małej szansy ratunku.

Okaleczona dłoń bardzo go bolała. Miał wrażenie, że nieużywane od miesięcy mięśnie rozrywają się na strzępy. Ale w tym momencie nie obchodziło go to, czy będzie jeszcze kiedykolwiek w stanie wziąć do ręki

skalpel. Chciał ocalić tylko jedno życie... życie Charlotte.

- Przepraszam cię, Jackson.

Jej szept był tak słaby, że ledwie go słyszał. Spojrzał w jej kierunku i stwierdził, że patrzy na niego oczami pełnymi łez. Oboje mogli sobie wzajemnie wiele zarzucić, więc nie usiłował nawet zgadywać, co ma na myśli. Nie chciał, aby ich ostatnie chwile były zatrute przez wyrzuty sumienia, więc potrząsnął głową, ale poczuł w niej tak silny ból, że musiał zacisnąć zęby, by nie krzyknąć.

- To wszystko z powodu tego hotelu, a ty przecież nigdy nie chciałeś mieć z nim nic wspólnego. Przykro mi, że zostałeś w to wciągnięty...

- Staraj się zyskać na czasie - szepnął.

- Co?- Wciągnij Blounta w rozmowę. Charlotte zerknęła w kierunku rąk Jacksona.

- Co wy tam do siebie szepczecie? - spytał Mike.

- Teraz sobie pana przypomniałam, panie Blount - oznajmiła Charlotte.

Jackson podjął swe wysiłki. Na twarzy Charlotte malowało się napięcie, ale mówiła tak spokojnym tonem, jakby siedziała na przyjęciu. Był zadowolony, że odzyskała dumę. Kiedy błagała o litość, czuł się zażenowany.

- Widziałam pana w zeszłym tygodniu w naszym hotelu - mówiła takim tonem, jakby codziennie prowadziła rozmowy z mężczyznami trzymającymi w rękach myśliwskie noże. - Rozmawiał pan z naszym recepcjonistą.

- Bywałem w hotelu wiele razy - odburknął Mike. - Widocznie

nigdy przedtem nie zwróciła pani na mnie uwagi.

- Miałam ostatnio sporo pracy.

Blount wybuchnął śmiechem, odłożył nóż i nalał sobie następny kieliszek wina. Nie zdradzał objawów podniecenia, ale wyraźnie rozkoszował się sytuacją.

- Na pewno była pani zajęta! - mruknął ironicznie.

- Czy to pan był przyczyną wszystkich naszych problemów? Czy też narazili nas na nie bracia Corbin?

Mike zmrużył oczy i obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Dlaczego mnie pani o to pyta właśnie teraz? Charlotte uniosła wyzywająco głowę.- Zamierza pan nas zabić, więc chyba może pan przedtem zaspokoić moją ciekawość.

Jackson miał ochotę ją uściskać. Choć była wyraźnie przestraszona, potrafiła zdobyć się na odpowiednio wyniosły ton. Blount lubił się przechwalać, więc istniała nadzieja, że połknie haczyk.

- Jak na taką kobietę, jest pani zaskakująco naiwna - odparł z ironią.

- Na większość problemów naraził panią ten wasz przystojny recepcjonista.

Charlotte gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Luc?

Mike wypił łyk wina, najwidoczniej zadowolony z tego, że udało mu się ją zaskoczyć.

- Współpracował z Corbinami od miesiący. To jest ich stała metoda działania. Kiedy chcą przejąć jakiś hotel, lokują w nim kogoś, kto sabotuje jego działalność. Kiedy właściciel czuje, że grozi mu bankructwo, musi sprzedać interes za grosze. Robili takie numery w Azji,

i to przez wiele lat. Luc Carter był ich wtyczką.

- To niemożliwe - szepnęła z rozpaczą Charlotte.

- To był dobrze pomyślany przekręt. Wszystko szło dobrze, dopóki w Lucu nie obudziły się wyrzuty sumienia.

Jackson widział, jak bardzo Charlotte jest wstrząśnięta tą wiadomością. On sam też dał się oszukać Lucowi. Jego rozpacz podczas pożaru wydawała mu się autentyczna. Widocznie już wtedy odczuwał wyrzuty sumienia. To tłumaczyłoby również jego pijacki atak na braci Corbin, którego Jackson był świadkiem w hotelowym barze.- Czy dlatego go zabiliście? - zapytał. Blount podszedł z kieliszkiem w rękę do drzwi.

- Postanowił poinformować o wszystkim policję, ale nie docenił zasięgu moich wpływów.

Jackson wykorzystał chwilę nieuwagi Mike'a i silnie przekręcił ręce w przegubach. Pięciocentymetrowy kawałek taśmy odkleił się nagle, wydając charakterystyczny dźwięk. Charlotte poruszyła się gwałtownie, mając nadzieję, że skrzypnięcie jej krzesła zagłuszy poczynania Jacksona.

- Przecież pan w odróżnieniu od Corbinów nie jest hotelarzem, prawda? - spytała szybko.

- Nie - odparł, odwracając się od drzwi. - Działam w innej branży.

- Więc dlaczego zadał pan sobie tyle trudu, żeby zdobyć mój hotel?

- To jest teraz mój hotel, panno Marchand. Wasza rodzina nigdy nie dostrzegła jego potencjalnych możliwości. Będę mógł w nim rozwinąć moje dotychczasowe interesy. Ten prestiżowy adres i piękne wnętrza będą idealnym tłem dla moich kasyn i dziewcząt...

- Co pan ma na myśli? - spytała Charlotte.



- Hazard i prostytutkę - odparł Jackson. — Chce zamienić hotel Marchand w kwaterę główną.

Blount spojrział na niego z uznaniem.

- Wiedziałem, że jest pan byстрыm człowiekiem, doktorze Bailey. Do tego właśnie od początku zmierzałem.

- Skoro ten hotel ma zostać tak splugawiony, to żałuję, że nie spalił się doszczętnie - wykrztusiła Charlotte przez zaciśnięte usta. -

Członkowie mojej rodziny poświęcili mu całe życie. Nigdy nie spodziewali się, że czeka go tak żałosny koniec.

- Członkowie pani rodziny? - powtórzył drwiącym tonem Blount. - Coś pani powiem o członkach waszej rodziny, panno Marchand. To właśnie dzięki nim zwróciłem uwagę na ten hotel. Powinien być mój już przeszło cztery lata temu.

- Nie rozumiem.

- Musiałem przez całe życie tolerować takich ludzi jak Marchandowie. Uważali się za lepszych ode mnie, bo urodziłem się na bagnach, w biednej rodzinie, ale ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Zbiłem fortunę, odbierając pieniądze członkom waszej rodziny. Pani wuj był jednym z moich najlepszych klientów. Stale grywał u mnie w pokera.

- Mój wuj? O kim pan mówi?

- Czyżby już pani zapomniała wujaszka Pierre'a?

- Pierre? - Charlotte gwałtownie wychyliła się do przodu. - *Mon Dieu*, co pan o nim wie? Gdzie on jest?

Jackson odkleił następny kawałek taśmy. Chciał, aby Charlotte podtrzymywała rozmowę z Blountem, ale obawiał się, jak zniesie ona kolejne spadające na nią ciosy. Wiedział, że Pierre Robichaux był czarną

owcą w rodzinie Anne Marchand. Ale ten człowiek, skompromitowany i wygnany z domu przez Celeste, zniknął jeszcze przed narodzeniem Charlotte.

- Nie żyje - odparł Blount. - Ale przed jego śmiercią wydarłem z niego to, czego chciałem. Oczy Charlotte ponownie wypełniły się łzami. Zagryzła wargi, by powstrzymać się od wybuchu płaczu.

- Wiedziałem, że Pierre pochodzi z bogatej rodziny - ciągnął Blount - więc pozwoliłem mu przegrywać. Kiedy był mi już winien milion, zażądałem zwrotu należności. Myślałem, że pójdzie do swojej bogatej mamy i poprosi, żeby go wykupiła, ale on tego nie zrobił. Poszedł do waszego ojca. Mnie było wszystko jedno, kto spłaci jego długi, bylebym dostał swoje pieniądze.

Charlotte miała wrażenie, że wszystkie kawałki zaczynają się nagle układać w logiczną całość.

- Mój ojciec przekazał tuż przed śmiercią milion dolarów do jakiegoś banku na Kajmanach - powiedziała. - Czy chce pan powiedzieć, że one trafiły do pana?

- Remy był honorowym facetem. Kiedy zagroziłem, że zabiję jego szwagra, spłacił jego długi bez zmrużenia oka. - Zaśmiał się drwiąco. - Zdecydował się na to niemal tak szybko, jak dzisiaj wasza matka.

- Och mój Boże - szepnęła Charlotte, nadal nie mogąc się pogodzić z rzeczywistością. - A więc te pieniądze były przeznaczone dla wuja Pierre'a. Mama o tym nie wiedziała.

- Obliczyłem sobie, że jeśli Marchandowie stracą taką kupę pieniędzy, hotel szybko zacznie bankrutować. - Blount wskazał palcem Charlotte. - Nie mam pojęcia, jakim cudem utrzymywaliście się tak długo

na powierzchni, ale tak czy owak teraz jest już mój. Jestem człowiekiem cierpliwym, ale zaczynałem się już denerwować.

- Jest pan sędzią żerującym na mojej rodzinie - wycedziła przez zęby Charlotte.

Blount wypił resztę wina, postawił kieliszek na stole i sięgnął po nóż.

- Pani ojciec był naiwny. Podobnie jak wujek i kuzyn. A pani wyzwiska nie robią na mnie wrażenia. Wolę być bogatym sędzią niż martwym głupcem.

- Mój kuzyn? - spytała Charlotte. - Jaki...

- Ach, prawda, przecież o tym również pani nie wie. - Blount zachichotał. - Jest pani źle poinformowana. Luc Carter był pani kuzynem.

- Luc?

- To zabawne, prawda? Nienawidził wszystkich Marchandów tak bardzo, że doprowadziłby was do bankructwa za darmo.

Jackson zaczynał wszystko rozumieć. Luc był kuzynem Charlotte. Podczas ich spotkania w barze mówił o Marchandach i Celeste Robichaux; to oni byli krewnymi, których obwinił o nieszczęście swego ojca. Oczywiście! Pierre urodził się w dostatku, matka wygnała go z domu... wszystko się zgadza! Jego pijacki bełkot nabrał nagle sensu.

Jaka szkoda, że nie domyśliłem się tego wszystkiego wcześniej, pomyślał z żalem. Charlotte wyglądała na załamana. Oddychała szybko i nieregularnie.

- Luc chciał wyznać ci prawdę - powiedział, chcąc ją choć trochę pocieszyć. - Chciał stać się członkiem waszej rodziny. - Więc ty o tym wiedziałeś? - spytała, gwałtownie odwracając ku niemu głowę.

- Nie miałem pojęcia, kim jest, ale czułem, że żałuje tego, co zrobił.

- To też jest bardzo wzruszające, ale dla mnie nie ma żadnego znaczenia - wtrącił Mike. - Wszyscy skończycie w tym samym miejscu.

Jackson szarpnął rękami tak gwałtownie, że poczuł przenikliwy ból w dłoni i przedramieniu. Taśma nie krępowała już tak mocno jego rąk, odzyskiwał swobodę ruchów, ale postęp był zbyt powolny. Ostatnia wypowiedź Blounta nie wróżyła nic dobrego.

- Będzie pan potrzebował kogoś, kto potrafi prowadzić hotel - zauważył. - Jeśli chce pan zachować prestiż, musi pan zadbać o jego opinię. Charlotte jest najlepszą dyrektorką...

- Dobry pomysł, doktorku, ale panna Marchand nie jest mi do niczego potrzebna. - Mike ponownie podszedł do drzwi. - Zatrudniam tylko ludzi, którym mogę ufać.

Jackson zastanawiał się, ile mogło upłynąć czasu od telefonu do Anne. Zdawał sobie sprawę, że człowiek, którego Blount posłał po umowę, może się pojawić w każdej chwili. Zaciśnął dłoń w pięść i poczuł, że taśma się naciąga, a potem odkleja na długości następnych kilku centymetrów.

Z ciemności, która roztaczała się za drzwiami biura, dobiegł nagle głośny okrzyk. Jackson odniósł wrażenie, że jest to głos Richarda. Blount wszedł na schodki i spojrzał w górę. Jackson wsunął palce pod nieodklejony jeszcze kawałek taśmy i spojrzał na rewolwer, który Mike zostawił na biurku. Znał się dobrze na broni, choć nigdy nie był zmuszony do wykorzystania swej wiedzy. Nie strzelał nawet dla zabawy. Ale gotów był zrobić wszystko, co będzie konieczne, by uratować Charlotte.

Z magazynu dobiegły następne krzyki, a potem odgłosy

pospiesznych kroków. I seria wystrzałów.

Charlotte spojrzała na Jacksona. W jej oczach pojawiła się po raz pierwszy iskierka nadziei.

- To musi być policja - szepnęła. - Och, Jackson, chyba uda nam się przeżyć!

Na metalowych schodkach rozległy się ciężkie kroki. Blount cofnął się w głąb pokoju. Na progu stanął porucznik Fergusson, który trzymał w ręku swój duży, służbowy pistolet. Jackson odchylił głowę i wydał westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu - szepnęła Charlotte.

- Jak poszło, Otis? - spytał Blount.

- Żadnych problemów - odparł Fergusson. - Corbinowie już się nie liczą. Musiałem ich zastrzelić, bo stawiali opór, kiedy próbowałem ich aresztować. Czy to jest rewolwer Richarda?

Jackson poczuł, że krew zastyga mu w żyłach.

- Owszem - odparł Blount. - To ta sama spluwa, z której zastrzelił Cartera, więc wszystko układa się w logiczną całość.

Fergusson schował swój pistolet do kabury, wyciągnął z kieszeni lateksowe rękawiczki i wsunął je na dłonie. - Dziękuję ci, Mike - mruknął. - Chyba dzięki tobie dostanę w końcu awans.

- Poruczniku Fergusson... - wykrztusiła z przerażeniem Charlotte. - Co się tutaj dzieje?

- Mój stary przyjaciel Otis pomaga mi zatrzeć wszystkie ślady - odparł Blount.

Fergusson wziął do ręki rewolwer.

- Bracia Corbin popełnili na terenie hotelu Marchand szereg

przestępstw, a dziś dopuścili się brutalnego porwania - oznajmił, kierując lufę w stronę Charlotte. - Niestety, przybyłem za późno, by im przeszkodzić w zabiciu zakładników.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Charlotte poczuła nagle przyływ wściekłego gniewu. Nie chciała umierać w taki sposób, ani w tych okolicznościach. Rzuciła się gwałtownie do przodu, pociągając za sobą metalowe krzesło, do którego była przywiązana. Nie mogąc się wyprostować, podbiegła do Fergussona i uderzyła go głową w żołądek. Ułamek sekundy wcześniej dostrzegła Jacksona, który zdołał już uwolnić się z więzów, bo skoczył w ich kierunku i chwycił policjanta za rękę. Potem zatoczyła się do tyłu, poczuła, że nogi krzesła uderzają o jakiś ciężki przedmiot, i upadła na podłogę.

Do jej uszu dotarło głośnie przekleństwo Blounta i stukot uderzającego o podłogę noża. W tym momencie na schodach rozległy się kroki kilku ludzi, a z ciemnego korytarza dobiegł okrzyk:

- FBI! Nie ruszać się!

Usłyszała wystrzał, a potem odgłos uderzenia i trzask pękających kości. Uniosła głowę i ujrzała kilku uzbrojonych mężczyzn w kuloodpornych kamizelkach, Mike'a Blounta, który zdążył już podnieść ręce do góry i złożyć je na karku, oraz osuwającego się na podłogę porucznika Fergussona. Ale ona szukała tylko Jacksona. Z jego przegubów

zwisłały kawałki taśmy, a blizny na twarzy nabierały barwy ciemnego fioletu, ale nadal trzymał się na nogach i chyba nawet nie był ranny. Gdy tylko wymówiła jego imię, przyklęknął obok niej i chwycił ją za ramię.

- Czy nic ci nie jest?

Nie mogąc wymówić słowa, kiwnęła tylko głową i przytuliła policzek do jego twarzy. Żyją. Otrzymali od losu jeszcze jedną szansę. Tylko to się liczy.

Jackson oderwał taśmę, którą była skrepowana, i chwycił ją w ramiona.

- Jesteś bezpieczna, Charlie - szepnął. - Nic ci już nie grozi.

- Przyślijcie ambulans - mówił do mikrofonu jeden z mężczyzn. - Mamy kilku rannych.

Charlotte dostrzegła na podłodze rewolwer Fergussona - a raczej Richarda - i błyszczący nóż Blounta. Teraz dopiero zdała sobie sprawę, że musiała wytrącić mu go z ręki, kiedy zatoczyła się na niego z krzesłem. Drżąc z przerażenia, przywarła całym ciałem do Jacksona.

Naraził się dla niej na śmierć. Gotów był oddać życie, by ją uratować. Zdała sobie nagle sprawę, że kocha go jeszcze bardziej niż przedtem. Wiedząc, że w jego ramionach jest bezpieczna, rozejrzała się po pokoju. Skutego Blounta wyprowadzali właśnie dwaj mężczyźni w ciemnoniebieskich kurtkach z napisem FBI. Fergusson nadal leżał na podłodze, jęcząc i trzymając się za nos. - Nie bój się, Charlie, już po wszystkim - szepnął jej do ucha Jackson.

- O Boże! - mruknęła. - Mało brakowało! A jak ty się czujesz? Co z twoją głową? Czy nie boli cię ręka?

- Nie martw się, nic mi nie jest.

Od grupy policjantów oderwał się jakiś potężnie zbudowany mężczyzna w cywilnym ubraniu i podszedł do nich szybkim krokiem. Jego twarz wydała jej się znajoma. Był to detektyw, który kilka tygodni wcześniej prowadził śledztwo w sprawie śmierci jednego z hotelowych gości.

- Witam, poruczniku Rothberg - powiedziała, wyciągając rękę.

- Przykro mi, że przybyliśmy tak późno. Czy któreś z państwa potrzebuje opieki lekarskiej?

- Nie, nic nam nie jest - odparł Jackson.

- Jak na lekarza, ma pan niezły cios - mruknął z uznaniem

Rothberg. - Nos Otisa jest chyba złamany.

Charlotte zerknęła ponownie na Fergussona, odtworzyła w pamięci odgłosy towarzyszące dramatycznym wydarzeniom i zdała sobie sprawę, że nie został on postrzelony, tylko uderzony przez Jacksona.

- Chciałbym zadać państwu kilka pytań - oznajmił Rothberg. - O ile wiem, zamierza was też przesłuchać FBI.

- Chętnie powiemy wam wszystko, co wiemy, ale najpierw musimy odpocząć - odparł Jackson. - Prosimy o odwiezienie nas do domu.

Policjant zamierzał najwyraźniej nalegać, ale ujrawszy wyraz twarzy swego rozmówcy, wyprowadził ich do jednego ze stojących przed budynkiem policyjnych samochodów. Kilka metrów dalej stała długa czarna limuzyna, zablokowana przez dwa migające światłami radiowozy. Jej drzwi były otwarte.

- To chyba ten samochód, którym posłużyli się Corbinowie, żeby nas porwać - odezwała się Charlotte.

- Jej właścicielem jest Mike Blount - oznajmił Rothberg. - Wydział



przestępczości zorganizowanej od lat go śledził, ale jemu zawsze udawało się wykręcić od zarzutów, głównie dlatego, że nie zostawiał świadków.

- Blount czekał na kierowcę, który miał przywieźć okup - przypomniał sobie Jackson. - Czy znaleźliście nas, jadąc jego śladem?

- Nie, dostaliśmy informację od pewnego człowieka, który jest w rękach policji. Zdążyliśmy zatrzymać tego kierowcę, ale nie udało nam się aresztować w porę Fergussona.

Charlotte przypomniała sobie koszmarną rozmowę z Blountem i zacisnęła usta.

- Nie wiem, jak będę w stanie przekazać mamie wiadomości na temat Pierre'a. Ona nie wie o jego śmierci, a bardzo go kochała. Był jej młodszym bratem. Będzie też zdruzgotana, kiedy się dowie o zdradzie Luca i o jego śmierci, choć...

- Czy ma pani na myśli Luca Cartera? - przerwał jej Rothberg. - Tak, tego, który nas usiłował ostrzec przed zamachem na Charlotte - odparł Jackson. - Blount kazał go zabić, bo chciał oddać się w ręce policji.

- Ależ on żyje, panie Bailey - oznajmił Romberg. - Leży w szpitalu Bożego Miłosierdzia. Odzyskał świadomość dopiero przed godziną i przekazał nam wiele cennych informacji. To on nam powiedział, gdzie was znaleźć.

Jackson oparł się o ścianę szpitalnego korytarza i ciężko westchnął. Widział przez szybę Charlotte, która siedziała obok jednego z łóżek na oddziale intensywnej terapii. Powinna była pojechać wprost do domu i odpocząć po ciężkich przejściach, ale ona uparła się, że odwiedzi Luca.

Pielęgniarki ostrzegły ją, że jest bardzo wyczerpany po rozmowie z policją, więc nie zamierzała go budzić. Chciała tylko, żeby w tym

momencie nie był sam.

Jackson usłyszał za plecami cichy sygnał zatrzymującej się windy. Wsiadły z niej wszystkie siostry Charlotte.

- Jackson! - zawołała Melanie, podchodząc do niego szybkim krokiem. - Tak się cieszę, że... - Urwała i spojrzała na jego posiniaczoną twarz. - Jak się miewasz?

- Nie najgorzej.

- Nie mogę uwierzyć w to, co się stało. Gdzie jest Charlotte?

- Tam - odparł, wskazując jej szybę zamykającą drugą stronę korytarza. - W to też nie mogę uwierzyć - mruknęła Melanie. - Czy to prawda, że Luc jest naszym kuzynem?

Sylvie i Renee zbliżyły się do Jacksona, objęły go czule i zarzuciły pytaniami.

Sylvie zerknęła na policjanta siedzącego na krześle przed drzwiami oddziału intensywnej terapii.

- Jak myślisz, Jackson, czy Luc zostanie postawiony w stan oskarżenia?

- To możliwe. Nie usiłował zapewnić sobie gwarancji bezkarności, zanim wyznał policji prawdę. Najważniejsze było dla niego to, żeby ocalić nam życie.

- Wszyscy popełniamy błędy. - Melanie podeszła do szyby i przyjrzała się Lucowi. - Przyznanie się do nich wymaga wielkiej odwagi.

- Luc został postrzelony, bo usiłował się zmienić - dodała Sylvie, stając obok siostry. - Wyznał prawdę, choć naraziło go to na aresztowanie.

- Czy jego stan jest bardzo ciężki? - spytała Renee.

- Lekarze mówią, że z tego wyjdzie - odparł Jackson. - Jego motywacją jest nadzieja na to, że uda mu się zacząć życie od nowa.

Zerknął w kierunku Charlotte, która, jakby czując na sobie jego spojrzenie, uśmiechnęła się i wstała z krzesła.

Gdy tylko wyszła na korytarz, otoczyły ją wszystkie trzy siostry. Jackson, nie chcąc przeszkadzać w rodzinnym zgromadzeniu, pozostał na miejscu. Po chwili znów usłyszał sygnał windy, z której wysiadła Anne Marchand. Towarzyszył jej William Armstrong, wysoki siwowłosy mężczyzna, który miał na sobie piżamę i ciemnoczerwony szlafrok. Wyglądał w tym stroju tak wytwornie, jakby był ubrany w smoking. Jackson szybko do nich podszedł. Przed kilkoma dniami lekarze pozwolili Williamowi wstać z łóżka, ale prosili go, by ograniczył swą aktywność do krótkich przechadzek.

- Dzień dobry, wuju Williamie. Czy pielęgniarce wiedzą, że opuściłeś oddział?

- Widzę, że nie jestem jedyną osobą, która się o ciebie martwi - rzekła do swego narzeczonego Anne Marchand, obejmując go w pasie. - Nie musiałeś wcale wychodzić mi na spotkanie.

- Oczywiście że musiałem - odparł, wspierając się na lasce i robiąc kolejny krok do przodu. - Od mojej operacji upłynął już przeszło tydzień. Nie mogę tak długo leżeć w łóżku i zostawiać cię bez opieki.

Jackson przyjrzał się uważnie wujowi, by ocenić jego stan. Widząc, że starszy pan wygląda już o wiele lepiej, doszedł do wniosku, że lekki wysiłek może tylko poprawić jego samopoczucie.

Anne podeszła do Charlotte i czule ją objęła.

- Kochanie, bardzo się o ciebie niepokoiłam - szepnęła, hamując

wybuch płaczu. Potem spojrzała na Jacksona. - O was oboje.

- Przykro mi, że musiałam ci przekazać te złe wiadomości dotyczące wuja Pierre'a - powiedziała Charlotte.

- Cicho, maleńka, nie psuj nastroju. I tak dowie- działabym się niedługo o losie mojego brata. William wynajął detektywów, którzy mieli go poszukiwać.

- I wcale nie mam zamiaru ogłaszać, że dochodzenie jest zakończone - wtrącił William. - Jestem pewien, że chcesz poznać wszystkie szczegóły.

- Dziękuję ci, kochanie. Ty zawsze wiesz, czego mi potrzeba. - Podeszła do szyby i przyglądała się przez chwilę swemu bratankowi. - Chciałabym też kiedyś poznać Luca. Lubiłam go od samego początku. Być może to los chciał, żeby syn Pierre'a trafił w końcu do nas.

- Oczywiście, że los odegrał w tym wszystkim ważną rolę - zauważyła Charlotte. - Bądź co bądź mamy dziś ostatki. To dla nas najważniejszy dzień roku. - Zwróciła się nagle do Jacksona. - Musimy zadzwonić do Yves'a i Marie. Poprosić, żeby na nas poczekali. Wstąpimy po drodze do domu, żeby się przebrać.

- Wizyta u Yves'a może poczekać.

- Nie, nie może. Dziś jest magiczny dzień. A ja wierzę w magię, więc...

- Charlie, popatrz - przerwał jej Jackson, unosząc prawą rękę i zaciskając ją w pięść.

- O Boże, jest spuchnięta i zaczerwieniona. Powinniśmy jechać na pogotowie. Musiałeś... - Zamilkła nagle i spojrzała na niego ze zdumieniem. - Jackson, ty uderzyłeś Fergussona prawą ręką, prawda?

- Nie miałem wyboru, bo lewą trzymałem go za ramię, żeby nas nie postrzelił. Pewnie dlatego mnie tak cholernie boli.- Boli cię? To znaczy, że odzyskałeś czucie! Co się mogło stać?

- Kiedy usiłowałem odkleić tę taśmę, przerwałem najwyraźniej jakiś fragment tkanki mięśniowej blokujący normalne funkcjonowanie nerwów.

- Jackson, to cudowne! - Jej oczy wypełniły się łzami. - Jak się cieszę!

- To dopiero początek. Minie jeszcze wiele czasu, zanim będę mógł wziąć do ręki skalpel.

- Ale jestem pewna, że ci się uda.

- Tobie też, Charlie. Twój ukochany hotel jest teraz bezpieczny. Nie stracisz go, cokolwiek by się stało. Przy pomocy dobrego prawnika powinnaś odzyskać choć część sumy, którą Remy przelał na konto Blounta. A twój agent ubezpieczeniowy musi wypłacić odszkodowanie za pożar. Wszystko jest na dobrej drodze.

Charlotte otarła łzy i uśmiechnęła się.

- Masz rację. Chyba oboje zdobędziemy to, czego najbardziej pragniemy.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Charlotte obudziła się, czując szybsze bicie serca. Kotary w oknach były zasunięte i w pokoju panował mrok, więc przez chwilę wydawało jej się, że znowu przebywa w ciemnej klitce na terenie magazynów Blounta...

Potem usłyszała oddech leżącego obok niej mężczyzny, zdała sobie

sprawę, że jest w domu, i wydała jęk radości.

- Nareszcie - mruknął Jackson. - Myślałem, że już nigdy się nie obudzisz.

- Która godzina?

- Trzecia po południu.

Odwróciła się i pocałowała go w ucho, a potem znów cicho jęknęła. Kiedy w końcu dotarli do domu i wzięli kąpiel, byli tak zmęczeni, że po czułym, lecz krótkim miłosnym interludium natychmiast zasnęli. Dopiero teraz miała dość sił, by rozpocząć bolesną, ale niezbędną rozmowę.

- Kiedy zamierzasz odwiedzić Yves'a?

- Zadzwoń do niego, kiedy spałaś, i przełożylem wizytę na jutro.

- Czy powiedziałeś mu o rękę?

- Oczywiście.- I co on na to? Czy zgodził się z twoją diagnozą?

- Hm... - mruknął, przylegając do niej całym ciałem.

- Jackson, to ważna sprawa. Odpowiedz na moje pytanie.

- Nie chciał się wypowiadać, dopóki mnie nie zbada.

- A czy powiedział coś, co dawałoby powody do optymizmu?

- Wrzasnął z radości tak głośno, że dotąd boli mnie ucho. Marie jest przekonana, że to zasługa tego talizmanu, tego gris-gris. Nie powiedziałem jej, że nawet go nie rozpakowałem. Moim zdaniem wszystko zawdzięczam tobie.

- Nie, to ty ocaliłeś nam życie. Gdybyś nie uwolnił się z więzów...

- Nie zdołałbym tego zrobić, gdybyś nie odwróciła uwagi Blounta.

Obserwowałem cię z zachwytem. Oboje zasłużyliśmy na pochwały.

Stworzyliśmy zgraną drużynę.

- To prawda, Jackson - mruknęła Charlotte. - Jesteśmy zgraną drużyną. I o tym właśnie chciałabym z tobą porozmawiać.

- Zamieniam się w słuch.

- Czy Yves wspominał coś o operacji albo rehabilitacji?

- Nie zaszliśmy tak daleko. Dlaczego o to pytasz?

- Bo chciałabym wiedzieć, jak długo zostaniesz w Nowym Orleanie. Jackson oparł głowę na poduszce i milczał przez dłuższą chwilę.

- Czyżbyś zamierzała mnie stąd wyrzucić?

- Nic podobnego. Zamierzam wyjechać razem z tobą.

Znowu zapadła cisza. W przytłumionym świetle nocnej lampki blizny na twarzy Jacksona wyglądały jak cienie. Charlotte nie po raz pierwszy doszła do wniosku, że jest on najbardziej przystojnym ze wszystkich znanych jej mężczyzn. Zwłaszcza kiedy uśmiecha się tak jak teraz.

- Chcesz wyjechać razem ze mną... - powtórzył.

- Wiem, że to jest niezgodne z naszą umową, ale...

- Umową? Nie wiem nic o żadnej umowie.

- Przecież rozmawialiśmy o tym właśnie w tym pokoju.

Powiedzieliśmy sobie, że łączy nas tylko seks i że nic w tej sprawie się nie zmieni. Że jesteśmy dwojgiem dorosłych ludzi, którzy chcą rozładować stres i...

- A czy ty w to wierzysz?

- Tak właśnie powiedziałaś.

- Jasne, powiedziałem to, ale się myliłem. Nie możemy dłużej udawać, że łączy nas tylko seks. - Potrząsnął głową. - To, co nas łączy, jest najprostszą rzeczą na świecie. Powinienem to wiedzieć, bo widziałem

ją w najdalszych zakątkach świata. To ona jest źródłem siły, która umożliwia ludziom przeżycie. To po prostu miłość, Charlie. Ja ciebie kocham.

Chciała mu wyznać miłość już od tak dawna, że dopiero po chwili zdała sobie sprawę, iż Jackson ją uprzedził.

- Naprawdę mnie kochasz?

- A czy ty naprawdę gotowa jesteś pojechać ze mną?

- Oczywiście. Nie możemy zmienić przeszłości, ale nie musimy powtarzać dawnych błędów.

- I byłabyś gotowa porzucić swój dom?

- Czuję się w domu wtedy, kiedy jestem z tobą - odparła, kładąc dłoń na jego piersi.

- A co będzie z hotelem?

- Właśnie dlatego pytałam, kiedy wyjeżdżasz. Muszę wyszkolić następcę.

- Charlie, ja nie mogę tego od ciebie wymagać. Przecież Hotel Marchand jest całym twoim życiem.

- To tylko budynek - odparła. - Nie mogę kochać budynku bardziej niż ciebie. Czy chcesz, żebym złożyła oficjalne oświadczenie? A więc kocham cię.

- W takim razie ja ci oświadczam, że moja propozycja małżeństwa jest nadal aktualna...

Zamknęła mu usta pocałunkiem. Czekwała na ten moment przez dwadzieścia lat. Jackson przytulił ją do piersi, a ona znów poczuła dreszcz podniecenia. Ale on odsunął się od niej nagle i opadł na poduszkę.

- Charlie, czy zdajesz sobie sprawę, co my robimy?



- Chyba tak... - odparła z uśmiechem, przesuwając dłonią po jego nagim brzuchu.

- Powtarzamy tę scenę z młodości. Czy pamiętasz, jak mój zegarek wkręcił się w twoje włosy?

- Tak, rozmawialiśmy o tym w zeszłym tygodniu.- Ja nie pozwalałem ci obciąć włosów, a ty nie chciałaś, żebym rozbił zegarek. To samo dzieje się teraz. Nie chcę, żebyś rezygnowała z hotelu.

- A ja nie zgadzam się zostać w Nowym Orleanie bez ciebie.

- Nowy Orlean też potrzebuje lekarzy.

- Przecież powiedziałeś, że nie mógłbyś być tu szczęśliwy. Że nienawidzisz tego miasta.

- Byłem wtedy młody i głupi. Ale od tej pory trochę wydorostałem. Nie rozumiem, jak mogłem powiedzieć coś podobnego. Jak mogłem być zazdrosny o twoją rodzinę. Przecież to ona wychowała cię na kobietę, którą teraz jesteś.

- Czy jesteś pewien, że nie zmienisz zdania?

- Charlie, kiedy spałaś, odbyłem kilka rozmów z ludźmi, których numery podała mi Yves. Rozważaliśmy możliwości otwarcia w tym mieście nowej kliniki, charytatywnej, a nie komercyjnej. Teraz, kiedy trwa odbudowa miasta, jest ona potrzebna bardziej niż kiedykolwiek.

- Jackson, to jest... - Nie mogła znaleźć właściwych słów, więc objęła oburącz jego twarz i powiedziała tylko: - Kocham cię.

## EPILOG

Bal wydany w salonach Hotelu Marchand z okazji zakończenia karnawału przekroczył wszystkie oczekiwania Charlotte. Tłumnie zgromadzeni goście bawili się niemal tak dobrze, jak członkowie jej rodziny. Renee zamieniła wszystkie wnętrza w bajeczny ogród. Z sufitu zwisały łańcuchy kolorowych lampek, a wśród zieleni ukryte były wykonane z drewna podobizny różnych mitycznych postaci. W rogu sali balowej zbudowano miniaturowy zamek ozdobiony wieżami i zwodzonym mostem, a wszystkie stoły udekorowano bukietami świeżych kwiatów.

Mury hotelu znów rozbrzmiewały echem wspomnień z jego wspaniałej przeszłości.

- Ciociu, wypowiedz jakieś życzenie!

Charlotte odwróciła głowę i spojrzała z zachwytem na swą siostrzenicę. Daisy Rose miała na sobie błękitną sukienkę z białymi skrzydłami, a w ręku trzymała czarodziejską różdżkę.

- Tak, Charlie, powiedz nam, o czym marzysz - zawtórował dziewczynce Jackson.

- Hm, to trudne pytanie - mruknęła Charlotte. - Może o jeszcze jednym wolnym dniu?- Twoje życzenie będzie spełnione - oznajmiła Daisy Rose, dotykając jej ramienia różdżką.

- Nikt z nas nie zapomni tegorocznego karnawału - powiedział Jefferson, wznosząc kieliszek z szampanem. - Musimy to uczcić toastem.

Potem zaprowadził Daisy Rose na parkiet, chwycił ją za rękę i zaczął z nią tańczyć walca. Charlotte wsparła głowę na ramieniu Jacksona i obserwowała z uśmiechem rozbawiony tłum. Jeszcze przed tygodniem myślała o tym balu z przerażeniem. Była przekonana, że jej sprawy ułożyły się jak najgorzej. Teraz nie mogła sobie wyobrazić ich lepszego obrotu.

- Dobry wieczór, Charlotte Anne.

Uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy, a ona wyprostowała się jak mała dziewczynka.

- Babciu, bardzo się cieszę, że postanowiłaś wziąć udział w naszym balu.

Celeste Robichaux była drobną kobietą, ale emanowała z niej siła charakteru. Wyciągnęła rękę w kierunku Jacksona.

- Mówiono mi, że wróciłeś - rzekła niechętnym tonem.

Charlotte wiedziała, że Jackson nie jest już nieśmiałym młodym człowiekiem, którego zawsze przerażał widok jej babki, ale lekceważenie, jakie okazała mu Celeste, wzbudziło w niej potrzebę wystąpienia w jego obronie.

Zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jackson zrobił krok do przodu i ucałował starą damę w oba policzki.

- Dobrze pani wygląda, pani Robichaux.

- Dziękuję. - Znow spozrzała na Jacksona wyzywajaco. - Twoja twarz jest tak posiniaczona, jakbyś był jakimś prymitywnym bokserem.

- Bardzo mi przykro. Postaram się poprawić swój wyglądo do następnego balu - odparł z uśmiechem.

- Czy to prawda, że ocaliłeś życie mojej wnuczki?

- Byliśmy członkami jednej drużyny. Wspólnym wysiłkiem udało nam się pokonać nieprzyjaciół.

- A wczoraj uratowałeś od śmierci mojego wnuka...

- Zrobiłem, co mogłem, żeby ustabilizować jego stan. Całą zasługę ponoszą lekarze tutejszego szpitala.

Celeste kiwnęła głową.

- Wygląda na to, że twoje wykształcenie nie poszło na marne.

- Chcę je wykorzystać dla dobra mieszkańców Nowego Orleanu.

Zamierzam osiąść tu na stałe.

Celeste spojzała badawczo na Charlotte.

- A więc to prawda? Że ty i ten...

- Tak, babciu, zamierzam spędzić resztę życia z tym chłopcem od Baileyów.

- A więc rób, jak uważasz. Nie dziwię się, że chcesz wyjść za mąż. Ale ja nie będę cię za nic przepraszać. Działalam w waszym interesie.

Charlotte poczuła, że Jackson napina mięśnie, więc delikatnie ścisnęła palcami jego ramię.

- Nie rozumiem, co masz na myśli, babciu.- Widziałam, że do siebie nie pasujecie, więc zrobiłam, co mogłam, żeby was rozdzielić. - Spojzała Jacksonowi w oczy. - Chyba nie myślisz, że stypendium tak prestiżowego uniwersytetu jak Harvard wpadło w twoje ręce

przypadkiem, prawda? Tak się złożyło, że dziekan do spraw rekrutacji był moim starym przyjacielem.

Charlotte była wstrząśnięta, a wyraz twarzy Jacksona dowodził, że on również jest zszokowany.

- Czy chcesz nam powiedzieć, że miałaś coś wspólnego ze stypendium Jacksona?

- I że pochodziło ono w pięćdziesięciu procentach z mojej kieszeni - oznajmiła staruszka wyzywającym tonem.

Charlotte postąpiła krok do przodu.

- Jak śmiałaś wtrącać się w nasze sprawy? Przecież to była zwykła manipulacja, a my...

Jackson przyciągnął ją do siebie.

- Dziękuję za hojny dar, pani Robichaux - oświadczył, składając lekki ukłon. - Czy możemy go uważać za zaliczkę na ślubny prezent?

Celeste mruknęła coś pod nosem, a potem odwróciła się na pięcie i zniknęła w tłumie. Charlotte spojrzała na Jacksona, który wybuchnął śmiechem.

- To wcale nie jest zabawne! - oznajmiła zirytowana. - Moja babka świadomie doprowadziła do naszego zerwania.

- W gruncie rzeczy doszło do niego z naszej winy. Ale mimo wszystko jesteśmy razem. A to dowodzi, że byliśmy sobie przeznaczeni.- Tak, chyba masz rację. To było zrządzenie losu.

- To była miłość, Charlie - powiedział Jackson, ruszając z nią w kierunku parkietu. - Po tym wszystkim, co się wydarzyło, zacznę chyba wierzyć w magię.